tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 14 (1160)
28.03-3.04.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. PIOTR KIMLA
UKRAINA, CZYLI WOJNA AMERYKAŃSKO-ROSYJSKA

NEGOCJACJE POKOJOWE
– TO BĘDZIE DŁUGI MARSZ

TOMASZ LIPIŃSKI
OD FRONTMANA DO TRENERA

FRANCJA – KAZIRODZTWO NA NIEWYOBRAŻALNĄ SKALĘ

WOLONTARIUSZ

CZYLI

KTO?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115
14 >
9 771509 311201

ADAPTACJA POWIEŚCI ERICHA KÄSTNERA

REŻYSERIA DOMINIK GRAF („NIEPOKONANI", „SIOSTRY I SCHILLER")

W KINACH OD 1 KWIETNIA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Jerzy Domański

Jedziemy na rezerwach

Mam sporą wyobraźnię, ale nie przypuszczałem, że w Polsce możliwy jest taki wysyp mężów stanu. Co rusz ktoś ma pomysł, jak uratować świat, a przynajmniej Europę. A celują w tym prezydent Duda i premier Morawiecki. Samozwańczy reprezentanci Unii pokochali fotki na tle jej flag. Szybko zapomnieli, że ich obóz polityczny nazywał je szmatami.

Aktywność dyplomatyczna prezydenta i premiera o tyle mnie nie zaskakuje, że przecież gdzieś muszą sobie odbić klęski na krajowym podwórku. Im więcej problemów z inflacją, drożyzną, kredytami i Polskim Ładem mają firmy i zwykli ludzie, tym większa jest pokusa, by się od tego oderwać. Dla polityków każda wojna to okazja, by zyskać na popularności. Najlepszym przykładem jest prezydent Zełenski, którego popularność przed wojną szorowała po dnie, a teraz bije rekordy aprobaty. Ilekroć słucham bardzo sprawnych wystąpień Zełenskiego, przypomina mi się dla kontrastu bohater polskiej prawicy Edward Rydz-Śmigły. Stawianie pomników uciekinierowi, który porzucił własną armię, nadawanie alejom i ulicom jego imienia, jest taką aberracją, że rozumem nie da się tego ogarnąć.

Najłatwiej jest teraz o piękne słowa. Gorzej albo wręcz fatalnie jest z czynami. Tam, gdzie obywatel czeka na aktywność administracji i na szybkie, skuteczne działania pomocowe, może sobie czekać i czekać. Na razie kryzysowe nastroje tłumią wydarzenia w Ukrainie. Ale ten stan cierpliwości szybko się kończy.

Pogarszające się nastroje mają przede wszystkim wewnętrzne, krajowe przyczyny. Prawie wszystkie branże są dziś w gorszym położeniu niż miesiąc temu. Jeszcze jakoś sobie radzą. Ale często jest to jazda na rezerwach.

Pisałem już, że zarządzanie państwem ustało. I dostałem od Czytelników sporo potwierdzeń, jak maszerują od kłopotu do kłopotu.

A może mamy wobec tej władzy nierealistyczne oczekiwania? Może oni nie mają już wolnego czasu na rządzenie? Przecież ich głównym celem jest urządzenie siebie, rodzin i kolegów. I doskonalenie propagandy. Sprawnie odciągają uwagę Polaków i opozycji od tego, co jest dla ludzi najważniejsze. Robią to takimi wrzutkami jak potrzeba zmian w konstytucji. Tej konstytucji, którą od siedmiu lat taktują jak zbędny rekwizyt. Nie potrafią poprawnie napisać żadnej ustawy, ale kombinują przy konstytucji.

Ja też nie mam dla Czytelników dobrej wiadomości. Musimy podnieść cenę tygodnika. Wiem, że większość z Was ma już płytkie kieszenie, ale przy podwyżkach cen papieru, energii i praktycznie wszystkiego, co jest nam niezbędne, innej drogi nie ma. Wybaczcie. I kupujcie.

BĄKOWSKI

NAJNOWSZY NUMER ZDANIA (1/2022) W WERSJI ELEKTRONICZNEJ

15 zł
9 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

JOE BIDEN, prezydent USA
Kapitalizm bez konkurencji to nie kapitalizm. To wyzysk.
„Forum"

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ, politolog, UW
Kryzys klimatyczny, kryzys surowcowy i miliardy zbędnych ludzi to efekty panującego od dwóch stuleci systemu gospodarczego.
„Trybuna"

eprasa.pl 2b0bcd76fd

W NUMERZE

KRAJ
8 **Wolontariusz, czyli kto?**
70% Polaków pomaga
14 **Przeczekalnia**
Znaleźli schronienie w Polsce
16 **Dla wszystkich znajdzie się miejsce**
Śmierć na granicy białoruskiej
48 **Hipisowska kultura z dala od cywilizacji**
Stacja Wolimierz zaprasza

WOJNA W UKRAINIE
18 **Negocjacje Rosja-Ukraina: jaka to jest gra?**
Niby się toczą. Ale czy coś z nich wynika?
22 **Generał na celowniku**
Dlaczego giną rosyjscy dowódcy

OPINIE
24 **Piotr Kimla**
Wojna w Ukrainie z perspektywy mocarstw

ZAGRANICA
26 **Pomoc uchodźcom to maraton, a nie sprint**
Korespondencja z Niemiec
29 **Izrael szuka przyjaciół**
Zwrot w stronę Moskwy, Kijowa, Abu Zabi i Kairu
32 **Zły dotyk Republiki**
Francja wobec masowego molestowania
36 **Pora na nowe technologie**
Nauka a kryzys na rynku paliw

PSYCHOLOGIA
40 **Trauma karmi się milczeniem i izolacją**
– rozmowa z Tomaszem Bilickim

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
43 **Musimy dać radę!**
Kryzys uchodźczy jak covidowy

KULTURA
44 **Muzyka pozwala przekraczać siebie**
– rozmowa z Tomaszem Lipińskim
47 **Qulturalia**
66 **Tamara Łempicka. Kobieta w podróży**

ZDROWIE
52 **Najpierw pojawiła się biała plamka**
Oswoić czerniaka

EKOLOGIA
56 **Czarna przyszłość białego szaleństwa**
Igrzyska na sztucznym śniegu

ZWIERZĘTA
58 **Mimowolni obrońcy przyrody**
Jak kochać zwierzęta

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Jedziemy na rezerwach
13 **Andrzej Romanowski**
Blamaż. Jak zawsze
35 **Roman Kurkiewicz**
Polska – najwspanialsze dobro świata
39 **Tomasz Jastrun**
Skok w mrok
51 **Wojciech Kuczok**
Malowniczy altruizm

44
KULTURA

MUZYKA POZWALA PRZEKRACZAĆ SIEBIE
– rozmowa z Tomaszem Lipińskim

56
EKOLOGIA

CZARNA PRZYSZŁOŚĆ BIAŁEGO SZALEŃSTWA
Igrzyska na sztucznym śniegu

58
ZWIERZĘTA

MIMOWOLNI OBROŃCY PRZYRODY
Jak kochać zwierzęta

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA WYBORCZA.PL, P. DZIURMAN/REPORTER, MAREK LASYK/REPORTER, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3)

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Mundurowanie głów

Właśnie po to wymyślono sport – zamiast emocjonować się zdjęciami spalonych czołgów, do 24 lutego siłę poszczególnych państw i nacji mogliśmy mierzyć liczbą zdobytych olimpijskich medali. Teraz TikTok spowodował, że obrazy wojny są viralowymi filmikami z netu. Prawda jest taka, że zwykłych Rosjan, mimo całej ich kultury i może nawet specyficznej subtelności, karmi się od pokoleń nacjonalistyczną propagandą. „Bratnie narody Związku Radzieckiego" i ich przywódców traktowano z wyższością. Mówimy, jak to kochamy świat, ludzi, przyrodę, nasze matki, ale wszystkich innych na podbitych ziemiach możemy doić do woli, pozbawiać suwerenności, organizować skrytobójcze zamachy, rozwijać agenturę wpływu. Ktoś zaraz powie, że inni też tak robią – mimo wszystko na trochę mniejszą skalę. Ukraińcy też mają czarne karty w swojej historii, ale to oni dzisiaj są ostrzeliwani rakietami przez Rosjan, którzy także mają dzieci, matki, żony, kochają muzykę, literaturę itd. Przestańcie więc relatywizować i bronić agresora. Gdyby Rosjanie wyszli dziesiątkami, setkami tysięcy na ulice swoich miast z hasłem „Niet wajnie!", to przecież reżim by się od tego zawalił – jeśli nie za tydzień, nie za miesiąc, to za rok. Ukraińcy w 2005, 2013 i 2014 r. wiedzieli, że innej drogi nie ma. Nie bali się szykan, represji, zwolnień z pracy itp. U Rosjan tego instynktu jakby mniej. Powiedzenie, że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje, ma dzisiaj wyjątkowe znaczenie.

Andrzej Kula

Dlaczego John Mearsheimer obwinia Stany Zjednoczone o konflikt w Ukrainie

Wszystko świadczy o tym, że Ukrainie obiecano więcej, niż chciano jej dać. Obecnie Ukraińców wykorzystuje się do – jak to się mówiło w czasie II wojny światowej – rozpoznania bojem armii rosyjskiej. Tylko że wtedy wysyłano do takich zadań bataliony karne.

Jerzy Szubert

To nie może się udać

Podzielam tezy artykułu „To nie może się udać" (PRZEGLĄD nr 13) w sprawie nauczania ukraińskich dzieci. Obawiam się, że czas nie będzie sprzyjał integracji, zamiast tego będzie pogłębiał zniecierpliwienie stron. Oczywistą frustrację spowoduje niższy niż dotychczas standard życia przybyszów. Z naszej strony mogą działać podobne zjawiska oraz „obywatelska troska", bo Ukraińcy na wiele chorób nie są zaszczepieni, bo to inna niż nasza kultura, z trzewi prawosławia. Obawiam się, że opisane problemy wzmoże rosyjski trolling. Pytanie, jak wobec ukraińskich dzieci zachowają się katecheci. W klasach obligatoryjnie zawieszone są krzyże, a będą w nich się uczyć dzieci prawosławne.

Tadeusz Kalinowski

Droższy PRZEGLĄD

Drodzy Czytelnicy, trzecia w tym roku podwyżka cen papieru zmusiła nas do podniesienia ceny PRZEGLĄDU. Od tego numeru będzie on kosztował 8,90 zł. Odwlekaliśmy tę decyzję, ale dłużej już nie możemy jej odkładać. Szukamy oszczędności, lecz koszty stale rosną. Mamy nadzieję, że dołożycie 1,40 zł tygodniowo, żeby spotkać się z Waszymi autorami.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Pizza w Jasionce. Prezydent USA Joe Biden z wizytą u amerykańskich żołnierzy pod Rzeszowem. 25 marca 2022 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 2b0bcd76fd

20 marca minęło 40 lat od powstania Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (od 1989 r. Stowarzyszenie Dziennikarzy RP). Pierwszym prezesem SDPRL został bezpartyjny Klemens Krzyżagórski, były szef wrocławskiej „Odry" i białostockich „Kontrastów". Po kilku miesiącach stowarzyszenie miało ponad 6 tys. członków.

Prof. Zbigniew Szmyt, antropolog społeczny z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, **autor książki „Zbyt głośna historyczność. Użytkowanie przeszłości w Azji Wewnętrznej", został laureatem Nagrody im. Kotarbińskiego przyznawanej przez Uniwersytet Łódzki.**

Naczelny Sąd Administracyjny orzekł, że wyciągi z rachunków bankowych partii politycznych stanowią informację publiczną i od 1 lipca będzie można je kontrolować. Muszą być w rejestrze wydatków, a ten ma być udostępniany elektronicznie. Wreszcie się dowiemy, na co i komu partie polityczne dawały kasę.

Po ponad 480 dniach zawieszenia przez Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego sędzia Igor Tuleya może wrócić do orzekania. Czas pokaże, czy decyzja Sądu Okręgowego Warszawa-Praga zostanie zrealizowana.

Prawie 2 mln Polaków żyje w gospodarstwach o dochodach poniżej 640 zł miesięcznie na osobę.

272 tys. przedsiębiorstw ma zaległe płatności. Zadłużenie firm wynosi 9,03 mld zł.

Prof. Jakub Lewicki, mazowiecki konserwator zabytków, złożył rezygnację po pięciu latach sprawowania funkcji. Bilans jego rządów to posunięta do absurdu dyspozycyjność wobec pomysłów PiS, m.in. zgoda na koszmarny pomnik ofiar katastrofy smoleńskiej i odbudowę architektonicznie nic niewartego pałacu Saskiego.

Z trzech kolejnych raportów Konferencji Episkopatu Polski wynika, że od 1950 r. do 2021 r. 810 księży i zakonników skrzywdziło co najmniej 1234 osoby.

Maciej Jaskulski, rzeszowski rzecznik dyscyplinarny prokuratora generalnego, postawił zarzuty prok. Katarzynie Kwiatkowskiej, prezes Stowarzyszenia Lex Super Omnia. Zarzucił jej m.in. naruszenie godności urzędu prokuratora i negatywną ocenę działalności prok. Jacka Skały, szefa prokuratorskiego związku zawodowego, którą przedstawiła na łamach PRZEGLĄDU.

Polska ma na 100 tys. mieszkańców najmniej chirurgów w Europie, a ich średni wiek to ponad 60 lat.

PRZEBŁYSKI

Ach, te autka

• Hatchback z silnikiem benzynowym, moc 120 KM, z przyciemnianymi tylnymi szybami i podgrzewanymi fotelami;
• SUV z silnikiem benzynowym o mocy 150 KM, m.in. z asystentem martwego pola i tylnymi czujnikami parkowania;
• hatchback z silnikiem elektrycznym o mocy 140 KM, m.in. z asystentem martwego pola;
• pięciodrzwiowy samochód z silnikiem elektrycznym o mocy 150 KM, z kamerą 360 st. i dodatkowo przyciemnianymi szybami.

To nie jest reklama salonu samochodowego. Te autka są marzeniem Jana Edmunda Kowalskiego, prezesa spółki Pałac Saski, i jego współpracowników. Pan prezes i członkowie zarządu z pensjami po ok. 30 tys. zł nie będą przecież wozić swoich cennych członków byle czym. O ich sprawności dobrze świadczy to, że już w trzy miesiące od nominacji zdecydowali, czym będą jeździć. Prawdą jest też niezły gust zarządu. Bo to naprawdę dobre autka. Ludzie, cieszcie się. Bo wydanie 2,5 mld zł na badziewie zwane pałacem Saskim będzie wymagało nie takich zakupów.

O socjalu w Łosicach

Zburzenie Pałacu Kultury to nie był szczyt myśli własnych Cezarego Kaźmierczaka. Prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców zaproponował rządowi „korektę polityki socjalnej". Może chce rząd PiS uwalić, bo proponuje „likwidację 13. emerytury, likwidację 500+ na pierwsze dziecko i innych form pomocowych dla rodzin".

PO przy nim to pikuś. A najbardziej z pomysłów Kaźmierczaka zadowoleni będą w jego rodzinnych Łosicach na Mazowszu. Pewnie marzą o tym, by oddać ten cały socjal na jakiś zbożny cel. Choćby przedsiębiorcom Kaźmierczaka. Taki nowy program 100 tys.+ dla naszych kochanych biznesmeników mógłby zostać ogłoszony na wiecu w Łosicach. Entuzjazm gwarantowany.

Max Kolonko, czyli nowy Duda

Znacie tę chorobę. Z telewizji. Zaczyna się zwykle od sukcesu. Pojawia się utalentowany dziennikarz i robi furorę. Ludzie chcą go oglądać. Jego popularność rośnie. A z nią przychodzą autografy, selfie i… zawrót głowy. Tak zaczynał Mariusz Max Kolonko.

A jak kończy? Ogłosił się prezydentem ad interim, czyli „do czasu przeprowadzenia uczciwych, wolnych od zbiórek podpisów wyborów prezydenckich". I z rozpędu powołał w czerwcu 2020 r. Stany Zjednoczonej Polski. A jako prezydent 27 grudnia 2021 r. na Facebooku napisał: „Wydaję nakaz aresztowania dla obywatela: Andrzej Duda. Do 12.31.2021 ma pan opuścić pałac prezydencki" (pisownia oryginalna).
Przewidując, że uzurpator tego nie zrobi, Kolonko zapowiedział, że Duda będzie musiał pokryć koszty nielegalnego użytkowania pałacu.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy zniesienie nakazu noszenia maseczek ma sens?

DR HAB. MAGDALENA KOZELA,
Instytut Zdrowia Publicznego Collegium Medicum UJ

Nie jestem w stanie podać żadnego racjonalnego argumentu, który by za tym przemawiał. Dotychczas przy podejmowaniu decyzji o obostrzeniach brano pod uwagę przede wszystkim liczbę zachorowań, a ta pozostaje wysoka. Co więcej, część zachorowań jest niezarejestrowana, m.in. ze względu na łagodniejsze przebiegi obecnie dominującego wariantu choroby oraz to, że niektóre osoby poprzestają na testowaniu się testami dostępnymi w aptekach. Należy ponadto się spodziewać, że decyzja o odejściu od obowiązku kwarantanny zwiększy liczbę potencjalnych roznosicieli wirusa. Wydaje się zatem, że nakaz noszenia maseczek powinien zostać utrzymany, zwłaszcza jeżeli inne obostrzenia będą odwoływane.

DR GRAŻYNA CHOLEWIŃSKA,
Wojewódzki Szpital Zakaźny w Warszawie

Można pomyśleć, że skoro na Zachodzie szaleje omikron, poluzowanie obostrzeń epidemicznych nie powinno mieć miejsca. Problem w tym, że znaczna część społeczeństwa już dawno ich nie respektuje. Mamy wręcz do czynienia z dwoma światami: światem zarządzeń i rekomendacji oraz światem realnym, w którym ludzie sami decydują, czy mają się szczepić, testować, chodzić w maskach, urządzać duże przyjęcia itd. W tym kontekście najbardziej racjonalne wydaje się znalezienie złotego środka. Nie utrzymujmy fikcji, a jednocześnie nie traćmy czujności. Dajmy ludziom dobrowolność, ale w granicach zdrowego rozsądku – przykładowo maski powinny pozostać obowiązkowym narzędziem pracy w jednostkach ochrony zdrowia. Ich używanie w słabo wietrzonych salach pełnych ludzi, a więc np. podczas koncertów, tak samo jak korzystanie z dezynfektorów rąk powinno być stosowane niezależnie od tego, co mówią decydenci, bo to po prostu racjonalne.

PROF. PIOTR KUNA,
Wydział Lekarski Uniwersytetu Medycznego w Łodzi

Myślę, że decyzja ministra zdrowia jest słuszna. Koronawirus pozostanie z nami na zawsze i upodobni się do wirusów wywołujących przeziębienie (oczywiście nadal będzie stwarzał ryzyko zaostrzenia przebiegu innych chorób, ale tak się dzieje w przypadku każdej infekcji wirusowej czy bakteryjnej). 99% osób noszących maseczki robi to w sposób nieprawidłowy, który przed niczym nie chroni, więc obowiązek w tym zakresie był jedynie utrzymywaniem fikcji. Także kwarantanna straciła sens, dlatego że testy, które stosujemy, nie są wystarczająco swoiste ani czułe, by w przypadku wariantu omikron można było uniknąć wyników fałszywie dodatnich lub fałszywie ujemnych. Biorąc to wszystko pod uwagę, powinniśmy traktować zakażenia wirusem SARS-CoV-2 jak normalne infekcje. Jeżeli pacjent będzie źle się czuł, może iść do lekarza i uzyskać zwolnienie, natomiast nie ma konieczności kwarantanny, izolowania wszystkich domowników tylko dlatego, że widzieli się z taką osobą – potrzebne są objawy kliniczne.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Beata Dżon-Ozimek

WOLONTARIUSZ, czyli kto?

Niemal 70% Polaków jest zaangażowanych w pomoc osobom uchodzącym z Ukrainy

Pomagać, pomagam, wolontariat, wolontariusz, uchodźca to od inwazji Rosji na Ukrainę chyba najczęściej pojawiające się w polskiej przestrzeni publicznej słowa. Słyszę od znajomych, którzy od lat udzielają się społecznie na rzecz osób marginalizowanych albo praw zwierząt, że przez lata spotykali się z pewnym lekceważeniem, pobłażliwością, wzruszaniem ramionami. Ten odbiór społeczny się zmienia, ale do nie tak dawna wolontariusz to nie brzmiało dumnie. Zaangażowanie społeczne, za darmo, za „swoje", w czasie wolnym, kojarzyło się najczęściej ze zbiórkami Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, potem pojawili się wolontariusze np. Świątecznej Paczki i innych organizacji. I niejeden raz przyprawiano wolontariuszom gębę.

Od 24 lutego wolontariusz stał się kimś innym, lepszym, dobrem powszechnym, dumą narodową. Wolontariuszami, czyli tymi, którzy pomagają, opiekują się, stali się niemal wszyscy. Nie wypada nie pomagać, nie angażować się w pomoc ofiarom wojny i sąsiadom zza wschodniej granicy. – Pomagamy, bo to pozwala nam radzić sobie w czasach niepewności i niepokoju, uzyskiwać kontrolę, poczucie skuteczności. Pomagamy, żeby zaspokoić nasze różnorodne potrzeby, a w działaniach pomocowych kierujemy się różnymi motywami: bo tak trzeba, bo to ważne, bo to dobre, bo wierzymy, że dobro powraca. Pomagamy, bo wynika to z naszych obowiązków zawodowych, bo robią tak autorytety, bo można się „pokazać", ale też dlatego, że to dla nas ważne, satysfakcjonujące i, po prostu, ludzkie i dobre. Każdy motyw jest dobry, jeśli odpowiadamy na prawdziwe potrzeby – zrealizowanie jej powoduje, że wciąż się angażujemy i czerpiemy satysfakcję, nie wypalamy się tak szybko – wyjaśnia Dominik Adamek z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Śląskiego.

Świeżutkie badania CBOS, zakończone 10 marca br., mówią, że niemal 70% Polaków jest zaangażowanych w pomoc osobom uchodzącym z Ukrainy. Ale już badania CBOS opublikowane w kwietniu 2020 r., a więc pięć lat po pierwszym kryzysie uchodźczym i tyle samo od przejęcia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość, pokazywały naszą większą skłonność do pomagania. „Niemal trzy czwarte Polaków (73%) twierdzi, że obecnie trzeba być wrażliwym i gotowym do pomocy innym ludziom. Jedna piąta (20%) uważa natomiast, że należy koncentrować się na swoich sprawach, nie zważając na nikogo". Odsetek osób, którym bliżej jest do postaw altruistycznych, był najwyższy, odkąd badacze zajęli się tą kwestią (2002 r.). Niemal dwie trzecie Polaków (63%) dobrowolnie i nieodpłatnie pracowało „na rzecz swojego środowiska, Kościoła, osiedla, miejscowości lub na rzecz potrzebujących". Ci wolontariusze angażowali się społecznie średnio 27 dni w roku, o tydzień dłużej niż w badaniach dwa lata wcześniej. I warto podkreślić, że w wolontariat czy działalność społeczną angażowały się najczęściej osoby w wieku 35-44 lata, mieszkańcy wsi, osoby z wyższym wykształceniem, technicy i średni personel, rolnicy oraz uczniowie, studenci i uczestniczący w praktykach religijnych kilka razy w tygodniu.

Postawy Polaków obecnie zaangażowanych w pomaganie dopiero są badane. Psycholog społeczny, prof. UW dr hab. Michał Bilewicz z Zakładu Psychologii Stosunków Międzygrupowych, zapowiada, że już spływają aktualne wyniki. Być może powiedzą coś nowego o naszych motywacjach do pomagania.

> Od 24 lutego wolontariusz stał się kimś innym, lepszym, dobrem powszechnym, dumą narodową.

Nie na łapu-capu

W odpowiedzi na wojnę i przybywanie osób uchodzących z Ukrainy pojawiło się uniwersum nowych, niedoświadczonych, ale pełnych zapału wolontariuszy – na granicy, na dworcach, w głębi kraju. Wielu rzuciło się w wir działań, poczuli, że muszą pomagać, bo dzieje się krzywda. Czasami to jednak nie najlepsza pomoc, kiedy np. zbiera się na łapu-capu w knajpie wózki i sprzęt dla dzieci, który potem zalega, bo nie jest już potrzebny i przyprawia właścicieli o rozpacz. Trudno odmówić użyczenia garażu czy magazynu, jeśli zarządzającym pomocą jest mieszkający tu wolontariusz Ukrainiec czy Ukrainka. Wolontariusz wyjeżdża na wojnę, wolontariuszka nie wie, co dalej. Gdzie indziej sołtys jeździ po wsi i zbiera artykuły higieniczne dla dzieci, nie uprzedzając o akcji. Starsza pani rusza na dworzec pomagać, ale z przejęcia zapomina o swoich tabletkach na serce i jest kłopot, bo trzeba zadbać o nią, zamiast zajmować się potrzebami Ukraińców. Są wolontariusze działający w myśl: pomogę, jak mogę i potrafię, oferujący się z tłumaczeniami na język rosyjski czy

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Kącik dla dzieci na Dworcu Wschodnim w Warszawie.

ukraiński, a dokumenty, wzory umów itd. potrzebne są szybko. Może się okazać, że taki wolontariusz pracuje sobie nad materiałem tydzień, przestaje się odzywać.

Są też wolontariusze nie do końca z wyboru, bo pomagający swoim znajomym z Ukrainy, przywożący ich z granicy, pomagający się urządzić w Polsce, troszczący się o tych „swoich", bez rozwijania dalszej pomocy innym, jednak dający przybyszom poczucie bezpieczeństwa. Albo też ktoś zachęca, zobowiązuje do działania innych, np. do codziennego robienia kilkudziesięciu kanapek, a potem nagle ich nie odbiera i zostawia poważnie podchodzącego do zobowiązań wolontariusza z tymi kanapkami. No to sumienny czuje się dotknięty i zaprzestaje działalności pomocowej. Właściciel ośrodka z basenem udostępnia go Ukraińcom z okolicy za darmo, piękna inicjatywa, by dać im nieco relaksu. Wzywa znajomych do zbiórki strojów kąpielowych, ci nagłaśniają sprawę, po dwóch dniach okazuje się, że jakaś firma przekazała kilkaset strojów szefowi ośrodka, ale nie informuje o tym organizującego zbiórkę, która już żyje własnym życiem i dobrze byłoby ją zatrzymać, bo inni niepotrzebnie tracą siły i pieniądze. – Chęci i zapał są ważne, ale odpowiedzialność jeszcze ważniejsza – mówi mi stara pomagaczka z warszawskich Bielan. Pomaganie jest trudne, obciążające i niesie ze sobą odpowiedzialność za tych, którym się pomaga, i za tych, których się włącza w tę pomoc. Nie zawsze wiedzą lub też nie pamiętają o tym hurraoptymistyczni samozwańczy pomysłodawcy różnych działań pomocowych. Tak jak i o tym, że nasze wyobrażenia na temat ofiar wcale nie muszą odpowiadać ich potrzebom, stąd niesprawiedliwy obrazek „niewdzięczników".

Każdy motyw pomagania jest dobry, jeśli odpowiadamy na prawdziwe potrzeby.

Wolontariusz świadomy

Lepiej udaje się pomagać, kiedy osoby włączają się w działania doświadczonych aktywistów z organizacji pozarządowych, którzy rozkładają racjonalnie siły, nie spalają się w pomocowym sprincie. Takich właśnie „młodych" wolontariuszy włączają w działania Marcin i Kuba z Kędzierzyna-Koźla, aktywiści. Jeden – pracownik umysłowy i nauczyciel, członek Mniejszości Niemieckiej, KOD, Polski 2050, twórca lokalnego Klubu „Tygodnika Powszechnego", drugi – nauczyciel języka angielskiego w liceum, człowiek orkiestra, przez wielu rodziców i uczniów uznawany od lat za ulubionego nauczyciela. – Tę nadwrażliwość na ludzką krzywdę mamy wpisaną w naturę, niełatwo się z tym żyje. Sam kiedyś byłem obcym, bez języka, w obozie Friedland w Niemczech – przyznaje Marcin. Przy nich wolontariusze uczą się organizowania pomocy, pozyskiwania funduszy, budowania zaufania w środowisku, szybkiego

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 2b0bcd76fd

reagowania na potrzeby, ale i tego, by dbać o siebie, bo wtedy podziałają dłużej. Marcin z żoną goszczą u siebie osoby uchodźcze. Zwracają z Kubą także uwagę na język, jakim o tych ludziach się mówi, że to osoby z doświadczeniem uchodźczym, uciekinierzy wojenni, uchodźczynie, uchodźcy, poszukujący ochrony międzynarodowej, a nie obrzydzani „nielegalni migranci". Takie uwrażliwianie jest bardzo istotne, Centrum Badań Migracyjnych UAM w Poznaniu przygotowało ważny słownik, zgodnie z którym np. zamiast używać straszących: masa, zalew, napływ, fala, mówmy: osoby, grupy ludzi, rodziny.

Pomaganie jest trudne, obciążające i niesie ze sobą odpowiedzialność za tych, którym się pomaga, i za tych, których się włącza w tę pomoc.

Doświadczeni aktywiści zwracają uwagę, że na granicy polsko-ukraińskiej jest wielu wolontariuszy, ale brakuje tej roboty na zapleczu; jadą transporty z ludźmi, nie wiedzą dokąd, nierejestrowane osoby to pole do popisu dla handlarzy ludźmi, dziećmi. – To trochę zasmucające, że my inaczej czytamy potrzeby uchodźców, a one bywają inne, niż nam się wydaje. Teraz planujemy działania długofalowe, program integracji młodzieży polskiej i ukraińskiej, zbieramy na to środki – wylicza Marcin. Przyznaje, bywa bardzo zmęczony.

Bogna, doktor nauk medycznych z Prudnika, działa społecznie, ale nigdy nie pomagała ofiarom wojny. Do pomocy wciągnęła ją Wanda, która od lat pomaga Ukraińcom. – Ona ma klucz do śpiewnej duszy ukraińskiej, pamięta o ich marzeniach, o tym, czym żyją. Ona jest od firanek, ja jestem od konkretów: od łóżek, stołów. Uzupełniamy się, pomaganie to gra zespołowa, to orkiestra. Pomaganie fizycznie nie jest trudne, psychicznie bywa gorzej, najtrudniejsze są pożegnania, ci ludzie często wyjeżdżają. Pytam mamę z dziećmi, czy ma pieniądze, a jedzie np. do Portugalii… Tak, mam 100 euro, słyszę – Bogna nie może powstrzymać płaczu, ale tylko w domu, nie przy ukraińskich podopiecznych. Dorzuca, że wolontariuszami są ludzie nadwrażliwi, dlatego tak im trudno. W małych miastach Ukraińcy mogą się czuć bezpieczniej, tu szybciej wychodzą jakieś nadużycia w pracy czy wynajmie mieszkań.

Fantastycznym wsparciem są instytucje, które zajmują się pomaganiem, takie jak centra czy ośrodki pomocy, które zajmują się tym systemowo, ale odkryciem Bogny są rodziny zastępcze: one wiedzą, jak to jest mieszkać z kimś obcym w domu, jak pomagać, a nie wyręczać. – To cienka linia, którą łatwo przekroczyć, spowodować zażenowanie, skrępowanie. Oni są wolnymi ludźmi, nie wolno naruszyć ich granic. Moje zadanie to ustalić, w czym pomóc, udzielić pomocy i czuwać, być w razie czego, to dla tych osób bardzo ważne. Nie wiem, kto do mnie zadzwoni za chwilę, jaką wiadomość dostanę, jedni odchodzą, drudzy przybywają – opowiada wolontariuszka. Przyznaje, że ważne jest oparcie w rodzinie, wie też, że ma dbać o siebie. – Z pustego się nie naleje. Idę do fryzjera, coś sobie kupuję – uśmiecha się. – Osoby pomagające powinny mieć możliwość skorzystania ze wsparcia psychologicznego i uzyskania takiego wsparcia dla swoich gości. Jeśli tego im nie zapewnimy, ich entuzjazm szybko się wyczerpie – zaznacza dr hab. Natalia Bloch z wspominanego CeBaM UAM.

Filmowy kolektyw w akcji

Kraków, biuro Red Noses Production House zamieniło się w magazyn i centrum dowodzenia pomocą. Zaskakuje doskonała organizacja, porządek działań. Kim są? – To kolektyw ok. 20 osób, które na zmianę działają w biurze, prócz tego kierowcy wolontariusze, którzy zgłaszają się przez portale społecznościowe. Nasze doświadczenie w organizacji planu filmowego czy eventów w sposób naturalny się przydało, pierwszy transport do Lwowa ruszył 27 lutego, teraz we wtorki i piątki o szóstej rano wyjazd z rzeczami, następnie powrót z umówionymi osobami, zwykle to trwa dobę. We Lwowie zrzut rzeczy, określonych przez stronę ukraińską, które później często są przewożone w odleglejsze miejsca, na front. Prócz posiłków, jedzenia, leków to środki łączności, kamizelki taktyczne – wyjaśnia Tomasz, jeden z szefów. Drugi, też Tomasz, dodaje, że dziś odbierają 16 młodziutkich piłkarzy ze szkółki, część z mamami, z okolic Mariupola, w Polsce przesiądą się do podstawionego autobusu, by się nie rozdzielać. Swoje już przeżyli. Będą trenować pod Warszawą. W biurze słychać język ukraiński i rosyjski, pomagają Roman i Żenia, są przy telefonach. Wolontariusze w większości znają się z pracy, wiedzą, na kogo można liczyć – Basia, Mateusz, Tomasze, Ola, Marysia, Beata, Weronika, Maciek i inni. Prowadzą skrupulatną ewidencję, przywieźli do Polski ok. 300 osób, nie ma sensu liczenie, ile rzeczy zawieźli. Mnóstwo kartonów. Na parkingach stadionu Areny Lwów przeładowują transporty, ale to również prowizoryczny schron.

– Kierowcy już dwa razy musieli skorzystać ze schronu, za pierwszym razem widzieli rosyjskie samoloty, to zrobiło wrażenie – opowiada Tomasz. Do drugiego Tomasza mówi „kapitanie". – Żartobliwie przyznajemy sobie stopień za każdy przewieziony transport, mamy też „ministra obrony", który ma swoje zadania – śmieją się. Żarty to rozładowanie stresu, kiedy noc trwa cztery godziny, od piątej rano dyżurują w biurze, by wypuścić auta. Tomasz: – Wiozłem trzy-, czterolatków z mamami, jak dobrze, że dzieciaki zachowały radość, nie rozumieją, co to wojna, dlaczego muszą uciekać. Śmiały się, znaleźliśmy język, który nie wymaga tłumaczeń – odgłosy zwierząt.

Ci wszyscy wolontariusze, obecnie ponadpartyjne dobro narodowe, uzupełniają działania trzeciego sektora, bezcennych organizacji pozarządowych, a zawstydzają instytucje państwowe, które jak zwykle się spóźniły.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Dlaczego tak chętnie pomagamy ukraińskim uchodźcom?

PROF. SWPS DR HAB. TOMASZ GRZYB,
Instytut Psychologii, dziekan Wydziału Psychologii Uniwersytetu SWPS we Wrocławiu, Katedra Psychologii Społecznej

Można wskazać trzy powody. Po pierwsze, znamy Ukraińców, pracują z nami, są częścią polskiego społeczeństwa. Jeszcze przed wybuchem wojny szacowano w zależności od miesiąca, że było ich 1,2-1,5 mln, są w sposób naturalny nam bliscy. Po drugie, uciekają przed wojną, przed czymś, co jest bardzo namacalne, przed zagrożeniem, które i nam nie jest obce – wojna w Ukrainie jest częścią naszego codziennego stresu. Uchodźcy z innych stron świata także uciekają przed wojną, ale ta w Syrii czy Afganistanie jest dla nas bardzo abstrakcyjna, natomiast wojna w Ukrainie to rzecz bardzo konkretna. I trzecia sprawa, o której nie powinniśmy zapominać – poziom niechęci do Rosji w Polsce, tej lekkiej lub cięższej rusofobii, jest jednak znaczący. Czyli ten, kto ucieka przed kimś, kto odcisnął się groźnym piętnem również na polskiej historii, bo przecież data 17 września 1939 r. jest mocno wdrukowana w nasze historyczne DNA, jest nam bliższy. Te elementy składają się na imponującą z wielu perspektyw akcję pomocy ukraińskim uchodźcom.

Ogromna większość ludzi, którzy zajmują się zarządzaniem tą pomocą, bardzo sensownie tłumaczy, że to nie jest sprint, to będzie maraton. Musimy być przygotowani na pewne konflikty, które są nieuniknione, prędzej czy później ktoś komuś powie coś nieprzyjemnego, nie tylko stojąc za Ukraińcem w mitycznej kolejce do lekarza. Takie sytuacje będą wykorzystywane przez Putinowską propagandę i podsycane; pamiętajmy, że z tych konfliktów ktoś bardzo się cieszy na Kremlu.

PROF. UAM DR HAB. NATALIA BLOCH,
Centrum Badań Migracyjnych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Instytut Antropologii i Etnologii UAM

Warto się zastanowić, dlaczego teraz polskie społeczeństwo jest tak otwarte, a nie było podczas pierwszego kryzysu przyjmowania uchodźców w latach 2015-2016 czy kilka miesięcy temu w odniesieniu do osób próbujących przekroczyć granicę białorusko-polską. Pierwszy kryzys przypadł na czas kampanii wyborczej w Polsce i obecna partia rządząca postanowiła wykorzystać go do pozyskania głosów. Rezultatem była skrajnie antyuchodźcza debata publiczna, w której w trakcie zaledwie kilku miesięcy dokonano niebezpiecznego przesunięcia retorycznego: uchodźca jako ofiara wymagająca naszej pomocy stał się muzułmańskim imigrantem zagrażającym naszemu bezpieczeństwu, dobrobytowi i wartościom. Polski rząd odmówił wówczas udziału w solidarnościowym planie relokacji do Polski raptem 7 tys. uchodźców.

Podczas kryzysu przyjmowania uchodźców na granicy białorusko-polskiej rząd zaprzągł olbrzymie siły mundurowe i przeznaczył mnóstwo pieniędzy na odpychanie od granicy relatywnie niewielkiej liczby osób, głównie z Syrii i Afganistanu, poszukujących w Unii Europejskiej ochrony międzynarodowej. Pomoc świadczona przez organizacje pozarządowe, wolontariuszy i mieszkańców terenów przygranicznych była i wciąż jest kryminalizowana.

Punkt wydawania numeru PESEL dla obywateli Ukrainy na Stadionie Narodowym.

Teraz mamy do czynienia z zupełnie inną retoryką i polityką władz, które – przynajmniej na poziomie deklaratywnym – są gotowe przyjąć nieograniczoną liczbę osób uciekających z Ukrainy. Powstała atmosfera zachęcająca do ogólnospołecznego udzielania wsparcia. Nie bez znaczenia jest fakt, że mamy do czynienia z – jak to się określa w studiach uchodźczych – figurą idealnej ofiary: kobietą z dzieckiem. Mężczyźni pozostali w Ukrainie, aby walczyć, odgrywając oczekiwaną przez nas rolę, którą wpaja nam bardzo narodocentryczny system edukacji. Jak gdyby mężczyźni nie mieli prawa do ratowania życia i zdrowia, prawa do bycia uchodźcami.

Tym, co wydaje się teraz szczególnie ważne, jest wspieranie osób wspierających. Rodziny, które przyjęły do swoich domów uciekinierów, wyręczają państwo w udzielaniu ochrony. Osoby te powinny mieć możliwość stałego kontaktu z kompetentnymi asystentami, którzy doradzą, jak udzielać informacyjnego i instrumentalnego wsparcia goszczonym uchodźczyniom i uchodźcom.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 2b0bcd76fd

PROF. UW DR HAB. MICHAŁ BILEWICZ,
Centrum Badań nad Uprzedzeniami – Zakład Psychologii Stosunków Międzygrupowych

Bardzo trudno teraz dokładnie określić, jakie są motywacje Polaków do pomagania, będziemy to pewnie wiedzieć, kiedy spłyną do nas wyniki badań. Wiemy z psychologii zachowań pomocowych, że ludzie chętniej pomagają tym, którzy są do nich podobni. Wielokrotnie wykazano to w badaniach w Stanach Zjednoczonych – chętniej pomaga się ludziom ze swojej grupy etnicznej czy narodowej. To także tłumaczy, dlaczego Polacy tak pomagają uchodźcom z Ukrainy, a byli tak bardzo sceptyczni wobec pomocy uchodźcom na granicy białorusko-polskiej. Ten czynnik podobieństwa, bliskości kulturowej, wspólnoty wartości ma bardzo duże znaczenie, mimo że na poziomie deklaratywnym okazujemy przywiązanie do wartości chrześcijańskich, dobrego Samarytanina, który pomaga obcemu. Do tego dochodzi inne zjawisko, o którym psychologia pisze od lat – inkluzywna tożsamość ofiar. Narody, które w swojej historii miały doświadczenia bycia ofiarą różnego rodzaju zbrodni, ludobójstwa, są bardziej wyczulone na losy narodów znajdujących się w tym momencie w podobnej sytuacji. Kiedy są ofiarami najeźdźczej wojny ze strony Rosji, uruchamia się poczucie wspólnoty w cierpieniu, wspólnoty losów. Polacy tego doświadczyli i to motywuje szczególnie. Pojawia się też problem, o którym pisaliśmy wielokrotnie – rozpad traumatyczny. W Polsce widzieliśmy to przynajmniej dwukrotnie. Pierwszy raz po katastrofie smoleńskiej, drugi – gdy dotknęła nas pandemia. Na początku głębokiego kryzysu wzrasta prospołeczność, ludzie jednoczą się w akcie wspólnego przeżywania emocji. Jednak po kilku tygodniach pojawiły się teorie spiskowe, dynamika się odwróciła i nastąpił rozpad traumatyczny, jak nazywamy to w badaniach, na dwa obozy, które zarzucają sobie zdradę. Podobnie było w epidemii COVID-19: ludzie byli przestraszeni nieznaną chorobą, oceny działań rządu były niezależne od przekonań, a potem pojawiły się teorie spiskowe, antyszczepionkowe, polityczne wykorzystywanie sytuacji. Tu również tak jest: najpierw wzmożenie wspólnego przeżywania emocji, ale już zaczynają się oskarżenia, teorie spiskowe. To znana dynamika, podobnie było np. w USA po zamachu z 11 września.

PROF. UJ DR HAB. BEATA KOWALSKA,
Instytut Socjologii

Jako socjolożka ze starej szkoły czuję się komfortowo, gdy mogę się oprzeć na badaniach. Wiemy, że pomaga aktywnie – według CBOS – prawie 70% osób ankietowanych. 94% badanych zgadza się na przyjęcie Ukraińców, z czego 57% wyraża taką opinię w sposób kategoryczny. Nie bez znaczenia jest fakt, że z naszymi sąsiadkami i sąsiadami zza wschodniej granicy zdążyliśmy się już zżyć, choć – jak pokazują badania – nie zawsze na polskim rynku pracy są oni traktowani sprawiedliwie i godnie. Myślę, że wielu Polakom nasuwa się pytanie, co będzie, jeśli Putin złamie ukraiński opór. Ten strach przed wojną też odgrywa jakąś rolę. Od 2015 r. włączam się we wspieranie uchodźców; gdy organizowaliśmy wsparcie na szlaku bałkańskim, wielu ludzi odkrywało na nowo znaczenie wspólnego działania i pomagania, a po pandemii uświadomiliśmy sobie pokłady własnej sprawczości. Nieustannie jednak nasuwa się pytanie, dlaczego dzieci i kobiety o nieco ciemniejszym kolorze skóry, innym kolorze oczu czy włosów nie zasługiwały na naszą uwagę. Na przykład jazydki, zbrodnie wobec których świat uznał za ludobójstwo. Z tym pytaniem będziemy kiedyś musieli się zmierzyć.

DOMINIK ADAMEK,
psycholog, UŚ, Instytut Psychologii

Niestety, widać już pokłosie tego, że pomagamy nieadekwatnie. Opieramy się nie na rzeczywistych potrzebach osób uchodzących z Ukrainy, tylko na naszym wyobrażeniu o potrzebach ofiar wojny – bo tak często postrzegamy Ukraińców. Sytuacja powoduje uruchomienie się sądów i przekonań wywodzących się z treści społecznych i kulturowych – z martyrologii, cierpiętnictwa i poświęceń czasów wojny. Niejednokrotnie pomagamy ponad możliwości, dla idei. Ludzie oddają ubrania, bo tego „potrzeba". Kupują nieprzemyślane produkty spożywcze, bo „na wojnie jest głód". Dziwią się, że ktoś tego nie przyjmuje. Frustrują się, że się starają, a ktoś tego nie docenia, wręcz odmawia skorzystania z nich. Rodzi się poczucie, że potrzebujący niewystarczająco cierpi, nie jest dostatecznie ofiarą – gdyby był, skorzystałby. Nie spełnia wyobrażenia. Żeby tego uniknąć, należałoby się orientować w rzeczywistych potrzebach, pytać o nie. Nie osaczać pomocą, ale proponować. Wspierać zaradność. Pomagajmy nie tylko Ukraińcom, wspierajmy również siebie nawzajem. To trudne obcować z kimś cierpiącym, czując na plecach oddech wojny.

Not. Beata Dżon

Z wielkim żalem żegnamy

Prof. Darię Lipińską-Nałęcz

naczelną dyrektor Archiwów Państwowych, podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, dziekan w Akademii Humanistycznej w Pułtusku, rektor Wyższej Szkoły Handlu i Prawa im. Ryszarda Łazarskiego.
Pasjonatkę historii, która sympatyzowała z „Przeglądem"

Prof. Tomaszowi Nałęczowi i Bliskim głęboko współczujemy

Jerzy Domański, Paweł Dybicz i zespół redakcyjny

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Blamaż. Jak zawsze

Wizytę z roku 2008 w Tbilisi prezydentów Polski i trzech innych krajów Polacy do dziś wspominają z zachwytem. W dalszym ciągu dominuje przeświadczenie, że Lech Kaczyński był „prorokiem", że jego słowa „powstrzymały Rosję"... Mniejsza o naiwność takich ocen, ale słowa: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i Polska" nie świadczyły o żadnej przenikliwości – były po prostu parafrazą różnych obiegowych opinii, z których najgłośniejsza, autorstwa akurat Rosjanina, Siergieja Kowalowa, pochodziła jeszcze z roku 1995. Gdy zaś polski prezydent deklamował, że ukazała się twarz sąsiadów, którą „znamy od lat", to zapomniał o twarzy odmiennej, tej z roku 1989, gdy Moskwa, wówczas jeszcze sowiecka, zwróciła Polsce wolność. Gdy zaś oskarżał Rosję, natomiast milcząco rozgrzeszał Micheila Saakaszwilego i żądał od niego odrzucenia francuskich propozycji pokojowych, skazywał tym samym Gruzję na kontynuację nierównej walki, a światu ukazywał „twarz Polski" – awanturniczą i z definicji antyrosyjską – co było politycznie samobójcze. Gdy wreszcie na wiecu w Tbilisi wykrzykiwał: „Jesteśmy tu, aby podjąć walkę!", tworzył niepewność, czy Polska wypowiada może teraz Rosji wojnę. W tej fanfaronadzie nie chodziło więc o Gruzję, nie o to, by coś rozwiązać. Chodziło o to, by SIĘ POKAZAĆ i – co się da – ROZJĄTRZYĆ. Mniej więcej to samo zrobił teraz w Kijowie brat śp. Lecha, Jarosław.

Owszem, należy docenić odwagę: wyjazd do bombardowanego Kijowa to nie była zabawa (choć warto odróżniać odwagę od brawury). Tym bardziej trzeba docenić postawę proeuropejską (choć wolno wątpić, czy okaże się trwała). Ale program POKAZAĆ SIĘ I ROZJĄTRZYĆ był przez stronę polską wiernie realizowany, bo jak niegdyś Lech Kaczyński namawiał do wojny Gruzję, tak teraz Jarosław Kaczyński namawiał do wojny NATO. Powiadał przecież o „misji pokojowej NATO lub szerszego układu międzynarodowego", która działałaby „na terytorium Ukrainy" i która „mogłaby się bronić". Brzmi pięknie, tylko czy Kaczyński naprawdę nie wiedział, że do tego trzeba mandatu ONZ? Czy sądził, że Rosja poczciwie się zgodzi? Czy serio uważał, że nie byłby to casus belli? Beztrosko mieszając pojęcia misji humanitarnej i misji militarnej, wikłał się w projekt nie tylko mętny, ale też z nikim nieuzgodniony: ani z wywołanym do tablicy NATO, ani z Unią Europejską, ani nawet z własnym rządem. „To nie było konsultowane", przyznał szef klubu parlamentarnego PiS Ryszard Terlecki, natychmiast dodając, że trzeba też szukać innych możliwości (zdezawuował Kaczyńskiego?). „Rozmawiano o tym, choć nie na forum NATO", oświadczył sam Kaczyński.

Nie pierwszy raz Genialny Strateg wyciąga z rękawa pomysły, które budzą w świecie zakłopotanie i które potem umierają śmiercią naturalną.

Na razie ostatnim z tych pomysłów zajmie się nasz rząd, a polska dyplomacja dostała polecenie jego lansowania. A przecież USA już oświadczyły, że realizacja planu Kaczyńskiego tylko by przedłużyła wojnę, Unia Europejska – że byłby to początek III wojny światowej, a NATO – że niczego takiego na Ukrainie nie planuje. Oto polski blamaż: cena improwizacji – czy raczej bezmyślności – w polityce. Ale też cena kłamstwa, wszak kłamano, że misja ma „mandat Rady Europejskiej"... I cena ignorancji. Polska zosia samosia znów wyskoczyła przed szereg – to powinno Rosję ucieszyć.

Nie pierwszy raz Genialny Strateg wyciąga z rękawa pomysły, które budzą w świecie zakłopotanie i które potem umierają śmiercią naturalną.

Ale uczuciem dominującym pozostaje i tak obrzydzenie. Do kraju heroicznie zmagającego się z agresją pojechano z pustymi rękami, bez programu pomocy, bez próby załatwienia czegokolwiek. Mateusz Morawiecki zaapelował o wejście Ukrainy do Unii Europejskiej – czy w tym celu nie lepiej było jechać do Brukseli? Lecz czyżby – powiedzmy na boku – życzył on Ukrainie losu Polski, która tak straszne męki cierpi w UE? Wracając zaś do tonu poważnego, czy nawołując Europę do zaostrzenia sankcji, Morawiecki z Kaczyńskim nie zauważyli, że ona to robi sama z siebie i że ponaglenia akurat w ich ustach to raczej bezczelność? Zwłaszcza że Polska wciąż najspokojniej kupuje węgiel z Rosji! Popisy pisowskiej hipokryzji są naprawdę męczące.

Ale wszystko to już było. Jak kiedyś nie chodziło o Gruzję, tak dziś nie chodzi o Ukrainę. Jak dziś Kaczyński nie ma pojęcia o misjach międzynarodowych, tak niegdyś, w rozmowie z Helmutem Kohlem, nie miał pojęcia, że zachodnia granica Polski została już przez Niemcy uznana. Amatorszczyzna, niekompetencja, ignorancja... I jeszcze obrzydliwość. Tyle tylko pisowcy potrafią.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Katarzyna Dąbkowska

Przeczekalnia

Wojenne kobiety i dzieci czekają na pokój w polskich domach

Zawsze wszystko działo się albo dawno, dawno temu, albo bardzo daleko. Bajki były za siedmioma górami, za siedmioma lasami, a wojny w odległych czasach, które pamiętali nasi dziadkowie. Ale nie tym razem. Miasto Włodzimierz Wołyński jest oddalone zaledwie 10 km od przejścia granicznego w Zosinie. Tylko tyle i aż tyle dzieli nasze światy. Kiedy ukraińskie dzieci zasypiają w bezpiecznym miejscu, w polskim domu u obcych ludzi, ich mamy wiedzą, że po obudzeniu się koszmar po drugiej stronie granicy będzie trwał.

Robert, Basia i Gabryś Zarzeccy, mieszkający we wsi pod Warką, oddali klucze do swojego domu 28-osobowej, trzypokoleniowej ukraińskiej rodzinie, której wcześniej nie znali. Dowiedzieli się o niej od znajomej, Ani Zdroik. To ona znała Angelę, która z mężem, synem i zięciem kiedyś u niej pracowała. Gdy zaczęła się wojna, Ania z mężem zaprosili Ukrainkę do siebie, ale wtedy okazało się, że Angela nie będzie sama, lecz z 28-osobową rodziną, która nie chce się rozdzielać. Wtedy do akcji wkroczyli Robert, Basia i Gabryś. Zgłosili chęć zaproszenia gości do siebie. Bo od tej pory to nie są anonimowi uchodźcy, ale goście, a raczej domownicy. Młode mamy mają zaledwie 18 lat, babcie 37, a prababcie ok. 60 lat. Wszyscy opiekują się wszystkimi i dlatego nie chcieli się rozdzielać podczas ucieczki. Najmłodsza dwójka: Masza i Artur, mają rok. Pewnie nie będą nic pamiętać z tych dni, tygodni, a może miesięcy.

Do Polski przyjechali też chłopcy, którzy ze względu na niepoborowy wiek mogli opuścić kraj. Teraz będą jedynymi mężczyznami w rodzinach. W czasie wojny kobiety mężnieją, a dzieci dorastają wyjątkowo szybko. Jak będą za kilka lat wspominać ten czas? Czy będą nosić w sercu zemstę? A może zamieszkają na tyle daleko, by zapomnieć o tym, co im zabrano? Jarosław pokazuje mi w telefonie filmik, na którym tańczy ukraińskie tańce ludowe, ale i breakdance. Chłopak podrywa się z kanapy, podskakuje, wiruje w powietrzu, śmieje się i znowu jest nastolatkiem. Bijemy brawo, ale nic nie zastąpi mu wyjścia na prawdziwą scenę. Jarosław chciałby w Polsce prowadzić kursy tańca dla dzieci, tak jak to robił w Ukrainie.

Stół powoli zapełnia się kanapkami, kotlecikami, pokrojonymi owocami, a gospodarze i my jesteśmy zaproszeni, aby się częstować w pierwszej kolejności. Dziś u Ukraińców ostatki i stąd taki uroczysty poczęstunek.

Siadamy do stołu, Robert z kolei częstuje malinową nalewką, a Ukrainki zaczynają przemawiać. Gdyby to była inna okazja, wyglądałoby to jak „toast za spotkanie". I im, i nam szklą się oczy, bo kobiety mówią nie tylko do nas, ale do Polaków, o Polakach, dziękują za gościnę, która przerosła ich oczekiwania. Jest w tych słowach coś, co nas wprawia w zakłopotanie. Ich wdzięczność wydaje się za duża, bo tak naprawdę czujemy się bezradni wobec skali ich nieszczęścia. I nawet to, że przed domem Roberta i Basi pojawiają się kolejne dary od ludzi, wielkie worki z ubraniami, a pod płot podjeżdżają rodzice Ani z jedzeniem, nie zmienia faktu, że to ciągle kropla w morzu długofalowych potrzeb.

Gościnność sprawia, że Ukraińcy czują się tu swobodnie, ale są chwile, kiedy po prostu zastygają, patrząc przed siebie.

A jeśli już mowa o potrzebach, Gabryś i Basia próbują włączyć stare płyty DVD z bajkami dla dzieci, bo nic tak nie poprawi humoru jak Krecik i Smerfy. Tymczasem Robert ustawia na dworze drabinę i wchodzi na dach, żeby poprawić antenę telewizyjną. Dlatego na grupowym zdjęciu widać jego nogi za oknem. Zapomniałam wspomnieć, że Robert jest niewidomy, ale będąc z nim, naprawdę o tym się nie pamięta. Robert gra w tenisa, żegluje, pracuje jako masażysta w swoim gabinecie Cuda Niewidy, założył Fundację Widzimy Inaczej, której nazwa najlepiej pokazuje jego podeście do życia. Robert dosłownie nie widzi przeszkód, a tam, gdzie są problemy, dostrzega raczej wyzwania niż trudności. Tę wyjątkową rodzinę znam od wielu lat. Wiem, że są ekspertami od spontanicznych podróży autostopem, od nietypowych akcji charytatywnych związanych ze środowiskiem ludzi z niepełnosprawnościami, takich jak turnieje blind tenisa, i niejednokrotnie zadziwili mnie odwagą i sercem.

Jest chłodny, pochmurny dzień na początku marca. Kiedy wychodzimy do ogrodu, a raczej do lasu, w którym stoi dom Roberta i Basi, dzieciaki grają w badmintona, rzucają piłką, biegają z psem Wać Panem, zachwyconym tyloma ludźmi. Jedynie Kot z dezaprobatą obserwuje wszystko zza rogu domu. Ponieważ to dzielenie się terytorium zbyt go stresuje, jeszcze dziś pojedzie do Warszawy z właścicielami. Jedno z dzieci właśnie uczy się jeździć na różowym rowerku. Mama trzyma go z tyłu i asekuruje przed pierwszym upadkiem. Lotka wpada w tuje. Piłka toczy się między drzewami. Na sznurkach suszy się pranie. Tuż obok siedzi jedna z kobiet i dzwoni do domu. Nerwowo pali papierosa, czekając na połączenie z mężem... Kiedy pytamy, co mówią ich mężczyźni, gdy dzwonią, kobiety odpowiadają, że nie chcą ich martwić i powtarzają, że wszystko w porządku, że wygrają, że niedługo będzie dobrze. W to najbardziej wierzą dzieci. Jedno z nich

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Kiedy zaczęła się wojna, Ania z mężem zaprosili do siebie Ukrainkę. Okazało się, że Angela nie będzie sama, ale z 28-osobową rodziną.

rysuje kolorową kredą obrazek na tarasie. Biało-czerwone serce z napisem: „Dziękujemy Polsko". Oby to samo mogli nam powiedzieć, kiedy wojna się skończy.

Przychodzi Iza, córka właściciela sąsiedniego domu. Oni też przyjmą kolejne Ukrainki. Iza pracuje z uchodźcami, więc od razu pyta gości o konkretne potrzeby, notuje pytania. Również Ania ciągle jest zaangażowana we wszelką pomoc dla Ukraińców: wozi ich do lekarza, dba, żeby niczego im nie brakowało. Jedna z kobiet ma problem ze wzrokiem. Nie mogła lepiej trafić, bo Robert od razu uruchamia swoje kontakty, żeby zorganizować konsultację okulistyczną. Ukrainka nalega, że chce za wizytę zapłacić, jak tylko znajdzie pracę. To dla niej bardzo ważne – pracować, zarabiać, nie być w Polsce dla nikogo ciężarem. Najstarsza kobieta z rodziny już przeszła operację, chociaż jest w Polsce od kilku dni. Podpiera się laską, siedzi na kanapie nieruchomo, wpatrzona w przestrzeń, co chwila powtarza, że za wszystko bardzo, bardzo dziękuje i że nie spodziewała się takiej pomocy.

W czasie gdy jedne kobiety karmią, drugie gotują, sprzątają, niektóre dzieci jedzą, śpią, inne bawią się zabawkami, które dostały po Gabrysiu i od innych polskich dzieci. Mimo liczby ludzi nie jest głośno. To dziwna atmosfera, ma w sobie coś z poczekalni. Trudno tylko powiedzieć, na co wszyscy czekają. Chociaż gościnność tego domu sprawia, że Ukraińcy czują się tu swobodnie, są takie chwile, kiedy po prostu zastygają jakby w letargu, patrząc przed siebie. Jest w tym czekaniu spokój i smutek, zmęczenie i bezradność. My za chwilę pojedziemy do domów, swojej prywatności i własnego życia, oni zostaną w tej życiowej poczekalni. Nie u siebie, z nie swoimi ubraniami, jedzeniem, które im dano, materacami zamiast łóżek. Część z tych kobiet prawdopodobnie zostanie wdowami, do innych wrócą mężowie, synowie, bracia. Wszyscy będą okaleczeni odłamkami tego, co doświadczyli. Wszyscy będą mieć blizny.

Kiedy chwalimy kobiety, że są dzielne, kiedy mówimy, że ich mężczyźni są odważni, a dzieci wyjątkowo grzeczne, od razu odpowiadają, że to przecież normalne zachowanie w tej sytuacji. Jedyne możliwe. Mówią, że są złe nie na Rosjan, ale na Putina, na jego polityków. Kobiety nie mają wątpliwości, że Rosjanie, szczególnie młodzi chłopcy na wojnie, też zostali zmanipulowani, oszukani, wystawieni na śmierć. Ukraińskie matki współczują rosyjskim matkom. I wtedy przypominam sobie cytat z „Howards End": „Gdyby w jednym miejscu spotkały się wszystkie matki, nie byłoby już więcej wojen". ■

Pracować, zarabiać, nie być w Polsce dla nikogo ciężarem – to dla przybyszy z Ukrainy bardzo ważne.

FOT. BARTŁOMIEJ STĘPIEŃ

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Dla wszystkich znajdzie się miejsce

Na Podlasiu chowane są kolejne ofiary polityki zamykania drzwi przed ludźmi z Bliskiego Wschodu i Afryki

Bartosz Rumieńczyk

14 marca na cmentarzu muzułmańskim w Bohonikach odbył się pogrzeb Jemeńczyka Ahmeda al-Shawafiego.

Polska otwiera serca i przejścia graniczne dla uchodźców z Ukrainy, a na Podlasiu – w ciszy – chowane są kolejne ofiary polityki zamykania drzwi przed ludźmi z Bliskiego Wschodu i Afryki. 14 marca odbył się pogrzeb Ahmeda al-Shawafiego, 26-letniego Jemeńczyka, którego ciało zostało znalezione w Puszczy Białowieskiej.

Medyka, Korczowa, Krościenko – to miejsca na mapie Polski, które bardzo wielu osobom z Ukrainy, w większości kobietom i dzieciom, kojarzyć się będą odtąd z bezpieczeństwem, pomocą i serdecznością. Ale niecałe 500 km na północ polska granica wygląda zupełnie inaczej. Białowieża, Kuźnica, Bobrowniki – tu wstępu nie ma dla nikogo, także dla dziennikarzy, bo cały czas obowiązuje stan wyjątkowy, choć oficjalnie to jedynie „obszar objęty zakazem przebywania". Wielokrotnie przedłużany zakaz obecnie obowiązuje do 30 czerwca 2022 r.

W ciszy i z dala od telewizyjnych kamer cały czas trwają pushbacki. Aktywiści i miejscowi wolontariusze zaangażowani w pomoc uchodźcom nazywają je wywózkami. Ponurą historyczną konotację uzasadniają bezdusznością działań Straży Granicznej oraz bezpośrednim narażaniem zdrowia i życia osób wywożonych. Wedle relacji działających na miejscu aktywistów, m.in. z Grupy Granica, Straż Graniczna po zatrzymaniu przekraczających zieloną granicę odmawia im prawa do złożenia wniosku o azyl, wywozi do lasu i nakazuje marsz w stronę granicy, naprędce ogrodzonej po polskiej stronie drutem żyletkowym. Według różnych doniesień – bo trudno o wiarygodne dane oficjalne – w podlaskich lasach zmarło co najmniej kilkanaście osób.

Po raz pierwszy mogiły ludzi, którzy zginęli w drodze do Europy, widziałem w hiszpańskim Algeciras. Od grobów Hiszpanów różniły się wyglądem. Szare, betonowe płyty, podczas gdy obok płyty marmurowe, zdobione złotymi literami. Po cmentarzu oprowadzał mnie Martín Zamora, od 20 lat zajmujący się pochówkami migrantów, którzy utonęli w drodze do Europy. Stara się identyfikować ofiary, informować rodzinę, czasem udaje mu się odesłać ciało do domu. – Dlaczego to robię? Pamiętam, jak zatonęła łódź z 16 osobami na pokładzie, prowadziłem zakład pogrzebowy. Pomyślałem, że przecież trzeba ich pochować. Ale jak bez imienia na nagrobku? – mówił mi wówczas.

Jednak na wielu nagrobkach wypisane są tylko daty wyłowienia ciała lub pochówku. Na włoskiej Lampedusie pierwsze groby wyłowionych z Morza Śródziemnego również są bezimienne. O tym, że byli to migranci, świadczą krzyże zbite z resztek szalup. Po tym cmentarzu oprowadzały mnie dwie aktywistki. Na dłużej zatrzymaliśmy się przy grobie Estery Ady. Ester Ada miała 18 lat, płynęła do Europy z Libii, a pochodziła z Nigerii. Wraz z ludźmi z jeszcze jednej szalupy została wyłowiona przez kapitana tureckiego statku towarowego Pinar – łącznie na pokładzie znalazło się 140 osób. Wówczas była to głośna sprawa, między rządami Włoch i Malty wybuchł spór, które państwo ma przyjąć ocalonych. Ostatecznie zeszli na ląd na Lampedusie, ale Ester Ada nie przeżyła przepychanek politycznych. Z historii wypisanej na jej grobie dowiedziałem się, że była w ciąży. Dziecko także nie przeżyło.

Na Lampedusie stoi również pomnik, który wyobraża resztki kutra owinięte szarfą z brązu. Wypisano na niej 366 nazwisk. To upamiętnienie katastrofy z 3 października 2013 r., gdy u brzegu wyspy w płomieniach stanęła łódź z niemal 500 uciekinierami, w większości z Erytrei – 366 nie udało się uratować. Wiadomość o katastrofie obiegła świat, podobnie jak wiadomość o kolejnej, łodzi z 268 Syryjczykami. Wtedy jeszcze Europa reagowała, Włosi rozpoczęli operację „Mare Nostrum" i w rok ocalili ponad 160 tys. osób.

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Rok później politycy orzekli, że akcje ratunkowe napędzają migrację. Na Morzu Śródziemnym pojawił się Frontex, z czasem zaczęto też utrudniać działania organizacji pozarządowych, takich jak Sea-Watch, oskarżając wolontariuszy i ratowników o współpracę z przemytnikami ludzi.

Także polskie władze utrudniają działania wolontariuszy i ratowników, uniemożliwiając przy tym dokumentowanie działań Straży Granicznej, bo przecież temu służyło wprowadzenie stanu wyjątkowego. A najwięcej potrzebujących znajduje się właśnie w strefie zamkniętej – to ludzie, którzy nie mają siły iść dalej albo nie wiedzą, dokąd iść, bo nikt na nich nie czeka. Są zmarznięci, wygłodzeni, często chorzy. Wysyłają pinezkę – lokalizację ze smartfona – niczym sygnał SOS na otwartym morzu.

Wejście w obszar objęty zakazem przebywania z termosem gorącej herbaty, ciepłą kurtką, suchymi skarpetami i karimatą grozi szykanami i mandatem w wysokości 500 zł. Nad pomagającymi wisi także widmo zarzutów o współudział w przemycie ludzi i pomaganie w nielegalnym przekraczaniu granicy. Ale oni do lasu chodzą i uparcie twierdzą, że ratowanie życia jest wartością najwyższą. A dziś mówią, coraz głośniej, o podwójnych standardach, nierównym traktowaniu uchodźców, a nawet o systemowym rasizmie. No bo jak to jest – pytają – że kobietom z Ukrainy pomagać wolno, a tym z Bliskiego Wschodu czy Afryki już nie?

Gdyby nie działania wolontariuszy, ofiar śmiertelnych byłoby więcej – choć w tym gronie nikt nie wierzy w oficjalne statystyki, tak samo jak nikt nie wierzy w to, że nie będzie tu więcej pogrzebów.

– Ten sektor miał być wydzielony dla jednego uchodźcy, ale – jak widzicie – poszerza się i zapełnia. Tych pogrzebów będzie więcej. Dla wszystkich znajdzie się miejsce – mówił na trzecim w Bohonikach pogrzebie imam Aleksander Ali Bazarewicz.

Tamtego dnia chowano 37-letniego Mustafę Mohammada Mursheda al-Raimiego z Jemenu. Na uroczystości przyjechał jego brat w towarzystwie radcy prawnego z ambasady Jemenu w Warszawie. Przyjechali również Tatarzy Krymscy i Czeczeni mieszkający na uchodźstwie w Białymstoku.

Wcześniej pochowano mężczyznę o nieznanym imieniu i nazwisku, a jako pierwszego 19-letniego Syryjczyka Ahmada al-Hassana. Ahmad utonął w Bugu. Pogrzeb organizowała białostocka Fundacja Dialog, która prowadzi otwarty ośrodek dla uchodźców. Trafił do niego mężczyzna, który wraz z Al-Hassanem przeprawiał się przez Bug, i przekazał informację o śmierci. Wówczas modliło się ledwie kilku wiernych, w tym Syryjczycy mieszkający w Białymstoku, którzy przyjechali do Bohonik, aby być dla zmarłego rodziną. Z braćmi Ahmada, mieszkającymi na uchodźstwie w Turcji, Jordanii i w Syrii, za pośrednictwem wideoczatu łączył się dr Kassim Shady. Shady sam jest uchodźcą z Syrii, kończył w Polsce studia medyczne, wrócił tu trzy lata temu, uciekając przed wojną. Dziś działa z Fundacją Dialog, pomaga też organizować pochówki.

Według danych IOM, Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji, od 2014 r. w drodze po lepsze życie zginęło 42 421 osób, na Morzu Śródziemnym – 21 566. W Polsce różne źródła podają, że ofiar polityki Białorusi i polskich władz może być co najmniej kilkanaście.

Dialog odwiedzałem ostatni raz w grudniu, fundacja prowadzi noclegownię, pełniącą funkcję otwartego ośrodka, gdzie trafiają ludzie, których Straż Graniczna nie odepchnęła od granicy. Szef fundacji Michał Gaweł szacował, że udzielili schronienia przynajmniej 300 osobom.

Na furtce przed wejściem do noclegowni wisiała kartka z prośbą w języku angielskim do dziennikarzy o uszanowanie prywatności uchodźców. Michał Gaweł skarżył się, że dziennikarze nie zawsze zachowują się etycznie. Bywało, że media dowiadywały się o śmierci przed rodziną, a to przecież nie w porządku.

Tak było w przypadku rodziny dziecka, które urodziło się martwe w 24. tygodniu. Na tabliczce wbitej w podlaską ziemię 23 listopada można przeczytać imię i datę: Halikeri Dhaker, ur. 14.11.2021. Matka, 38-letnia Avin Irfan Zahir, nosiła w sobie martwego syna przez kilka dni w lesie. Gdy znaleźli ją aktywiści, krzyczała z bólu. Do szpitala w Hajnówce trafiła w stanie krytycznym.

Z prezesem Fundacji Dialog rozmawiałem w poniedziałkowy poranek, 6 grudnia ub.r., a w pokoju za ścianą spała piątka dzieci pani Avin i mąż, pan Murad. Od dwóch dni serwisy informacyjne w Polsce i na Bliskim Wschodzie podawały tragiczną informację, ale ojciec jeszcze nie zdobył się na odwagę, by powiedzieć dzieciom, że ich mama zmarła. W pogrzebie też nie uczestniczyli, pojechali pomodlić się nad maleńkim grobem dopiero następnego dnia.

Na pogrzebach uchodźców zmarłych na Podlasiu rodzin w zasadzie nigdy nie było, za to pełno było dziennikarzy, bo żałoba i tragedia ludzka są newsem. Mimo że gmina muzułmańska w Bohonikach dokłada starań, by pochówki odbywały się zgodnie z zasadami wiary, nie jest to w pełni możliwe. Ciała zmarłych są wydawane z kostnicy zbyt późno, by można było je rytualnie obmyć i zawinąć w całun. A pierwszy pochówek odbył się po zmroku, niezgodnie z tradycją, bo procedury ciągnęły się w nieskończoność. Aleksander Ali Bazarewicz podczas pogrzebów mówi, że żegnani zmarli śmiercią męczeńską, więc mają status szahidów – męczenników. – Nie trzeba obmywać ich ciał ani zawijać w całun, nie trzeba nawet za nich się modlić, bo to wszystko robią za nas aniołowie. W naszej religii męczennicy nie umierają, mimo że leżą w grobie. Dla męczenników jest specjalne miejsce u Boga.

Ostatni męczennik spoczął w Bohonikach 14 marca. Ale na tym pogrzebie dziennikarzy w zasadzie już nie było – pojechali na inną granicę, by pokazywać inny kryzys. Uroczystość za pośrednictwem internetu transmitował Piotr Czaban, jeden z nielicznych reporterów będących na miejscu.

Na udostępnionym w sieci nagraniu imam Bazarewicz apeluje: – Nie myślcie, że wojna jest teraz tylko u naszych bram. Wojna od wielu lat toczy się w Jemenie. I to bardzo ciężka wojna. O tym się nie mówi. Dlaczego? No, jest, jak jest. ■

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Negocjacje Rosja-Ukraina: jaka to jest gra?

Niby się toczą. Ale czy coś z nich wynika?

Robert Walenciak

O negocjacjach rosyjsko-ukraińskich wiemy tyle, że się toczą. W ubiegłym tygodniu mieliśmy ich piątą rundę. W zasadzie jedynym ich efektem była umowa o wymianie jeńców; w ten sposób z niewoli wrócili marynarze – obrońcy Wyspy Węży. Poza tym dogadywane są umowy dotyczące korytarzy humanitarnych, którymi mogą się ewakuować mieszkańcy oblężonych miast. Problem w tym, że umowy są bardzo często łamane, Rosjanie strzelają do cywilów, są ofiary. To daje wiele do myślenia – jeżeli tak proste uzgodnienia nie są przestrzegane, jakie szanse powodzenia mogą mieć skomplikowane umowy polityczne? Innymi słowy, nie ma w tej chwili (i pewnie nie będzie w najbliższym czasie) przestrzeni do poważnych negocjacji, bo ich strony nie są do tego gotowe.

Oni udają

Taki jest zresztą pogląd zarówno specjalistów, jak i tych, którzy rozmowom mogli się przyglądać z bliska. Josep Borrell, szef unijnej dyplomacji, mówi otwarcie: „W tej chwili Rosja nie chce siadać i negocjować czegokolwiek, chce zająć teren. Chce otoczyć wybrzeże do granicy z Mołdawią i odizolować Ukrainę od morza. Chce negocjować na poważnie tylko wtedy, gdy zapewni sobie silną pozycję".

Andriej Kozyriew, były minister spraw zagranicznych Rosji, ocenia to podobnie: „Moskwa negocjuje z Kijowem tylko na pokaz i będzie przeciągać rozmowy, dopóki nie okaże się, czy wygrała, czy przegrała na Ukrainie. To normalne podejście. [Rosjanie] rozumieją jedynie argument siły".

Minister spraw zagranicznych Francji Jean-Yves Le Drian też uważa, że Moskwa zwodzi. I że pozorna chęć wypracowania porozumienia służy wyłącznie kontynuowaniu brutalnych działań wojennych.

I na zakończenie jeszcze tweet dr. Daniela Szeligowskiego z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych: „Kreml chce, aby Zachód uwierzył, że rosyjsko-ukraiński kompromis jest w zasięgu (nie jest). Chce przekonać Zachód, że więcej dostaw broni na Ukrainę podważy trwające negocjacje (wręcz przeciwnie). Nie daj się zwieść".

> Nie ma w tej chwili przestrzeni do poważnych negocjacji, bo ich strony nie są na to gotowe.

To, że do poważnych negocjacji nie dochodzi, nie znaczy, że strony nie stawiają warunków i nie mają oczekiwań. Oznacza tylko tyle, że w danym momencie daleko do kompromisu.

Wariant A

Gdy 24 lutego Władimir Putin rozpoczynał wojnę, jego żądania były proste i zamykały się w zasadzie w pięciu punktach. Mówił, że chce denazyfikacji Ukrainy, demilitaryzacji, neutralności, zaprzestania „prześladowań" ludności rosyjskojęzycznej oraz akceptacji republik ludowych ługańskiej i donieckiej oraz odłączenia Krymu.

Rozszyfrujmy te określenia. W tamtym czasie przez denazyfikację Putin rozumiał wymianę ekipy rządzącej w Kijowie na prorosyjską. Gdy żądał demilitaryzacji, to widział ją poprzez redukcję ukraińskich sił zbrojnych do stanów wręcz symbolicznych. Neutralność z kolei oznaczała wyrzeczenie się przez Ukrainę obecności w NATO, co wymaga również usunięcia stosownego zapisu z jej konstytucji. Z kolei zaprzestanie „prześladowań" ludności rosyjskojęzycznej to zrównanie rosyjskiego z ukraińskim, czyli wprowadzenie dwujęzyczności. No i punkt piąty to uznanie aneksji Krymu i odejścia republik donieckiej i ługańskiej, ale w granicach dawnych ukraińskich obwodów. Czyli oddanie im terytoriów, które po 2014 r. były kontrolowane przez Kijów.

Jak widać, Putin chciał Ukrainy okrojonej i zwasalizowanej, całkowicie zależnej od Moskwy. Wyobrażał sobie, że osiągnie to poprzez szybką operację – inwazję na Kijów i likwidację ekipy Zełenskiego.

Takie działania nie były dla rosyjskiego prezydenta nowością. W roku 1968 operacja „Dunaj" rozpoczęła się od opanowania przez radzieckich desantowców lotniska w Pradze. W roku 1979 komandosi grupy Alfa wylądowali na lotnisku w Kabulu i w ramach operacji „Sztorm-333" zaatakowali pałac prezydencki. Prezydent Hafizullah Amin został zastrzelony, jego miejsce zajął Babrak Karmal.

Ale w lutym 2022 r. próba przejęcia podkijowskiego lotniska Hostomel zakończyła się klęską. I wojna z Ukrainą z blitzkriegu przekształciła się w wojnę na wyczerpanie.

Wariant B

W tej sytuacji Putin podjął decyzję o wprowadzeniu wariantu B. Rosja zmodyfikowała swoje poprzednie

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Ukraińsko-rosyjskie negocjacje w Brześciu, 3 marca 2022 r.

warunki. Lub dokonała ich nowej interpretacji. Jak informował „Financial Times", zebrano je w 15-punktowym planie. Nie został on ujawniony, ale z różnych komentarzy, które się pojawiły, możemy wnioskować, co zawiera.

Denazyfikacja to już nie jest żądanie ustąpienia ekipy Zełenskiego, ale wprowadzenie prawa zakazującego działalności organizacji nacjonalistycznych, a także likwidacja pomników przywódców UPA i zmiana nazw ulic. Inaczej też Rosja widzi dziś postulaty demilitaryzacji i neutralności. Wystarczy jej deklaracja, że Ukraina nie wstąpi do NATO. Postulaty dwujęzyczności i ustępstw terytorialnych zostały utrzymane. Do tego dołożony został nowy element: Rosja zgodziła się w tym planie na zawieszenie broni, ale nie na wycofanie wojsk. Można więc przyjąć, że nie zamierza wycofywać się z zajmowanych terenów. A przynajmniej traktuje je jako kartę przetargową. Wspominał o tym cytowany wcześniej Josep Borrell.

O tym, że Rosja nie zamierza wycofywać się z pasa nad Morzem Azowskim, łączącego Donbas z Krymem, świadczyć może jeden element. Otóż Rosjanie mieli sondować możliwość powołania w zdobytym Chersoniu kolejnej „republiki ludowej". W ten sposób utworzyliby w południowo-wschodniej Ukrainie łańcuszek niby-państw, które – podobnie jak Krym – w końcu weszłyby w skład Rosji. To pozwoliłoby ogłosić wielki sukces „specjalnej operacji wojskowej". Pierwsze przymiarki do powołania kolejnej „republiki ludowej" nie powiodły się. Ale to nie znaczy, że Moskwa do tego rozwiązania nie powróci, gdy uzna, że nie ma zamiaru oddawać zajętych terytoriów, że potrzebny jest jej lądowy korytarz łączący Krym z Donbasem. Nazwa dla takiego tworu między Krymem a Rosją jest gotowa – Małorosja. To nazwa historyczna i w ostatnich latach w Moskwie używana.

Władimir Putin ma jeszcze jedną kartę przetargową. Otóż przynajmniej od dwóch tygodni wojska rosyjskie regularnie niszczą ukraińskie miasta, atakują cywilów, bombardowaniem sieją terror. Eksperci nie mają wątpliwości – z punktu widzenia sztuki wojennej te ataki są bezsensowne. Ale mogą być znakomitym instrumentem nacisku na prezydenta Zełenskiego. Bo to on ma zdecydować, czy zawrzeć szybko pokój, idąc na ustępstwa, czy opierać się, wiedząc, że każdy dzień bombardowań rujnuje kraj i odbiera życie niewinnym cywilom.

Jest jeszcze jedno wytłumaczenie taktyki spalonej ziemi. Otóż Putin pozostawia Ukrainie dwa wyjścia. Pierwsze – to powrót do ruskiego miru, jako państwo zwasalizowane. Drugie – jeżeli Ukraina nie będzie chciała wrócić pod skrzydła Moskwy, zostanie maksymalnie osłabiona, zniszczona i okrojona. Tak, by przez długie lata musiała się odbudowywać, żyć w biedzie. A dodajmy, że w wojnie na wyniszczenie Rosja jest w lepszej sytuacji – ma wielokrotnie więcej zasobów, ma czas, no i wojna nie toczy się na jej terytorium.

Co na to Ukraina?

Jej odpowiedź znamy z różnych relacji i wywiadów ludzi z otoczenia prezydenta Zełenskiego. Warto tu przypomnieć niedawną wypowiedź Aleksandra Rodniańskiego, doradcy prezydenta Ukrainy. Mówił on Politico, że „w rzeczywistości stosunkowo łatwo jest osiągnąć porozumienie w niektórych obszarach negocjacji, takich jak NATO i neutralność Ukrainy, ale znacznie trudniej w innych, takich jak integralność terytorialna regionów Doniecka i Ługańska".

Podobnie zresztą wypowiada się Zełenski. Że Ukraina może zrezygnować z aspiracji do NATO i zadeklarować neutralność, ale musi mieć

Z ogromnym żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

dr. Marka Tomczyka

– mojego przyjaciela i najbliższego współpracownika w Parlamencie Europejskim, znawcę prawa konstytucyjnego i europejskiego.
Odszedł człowiek o wielu przymiotach, niezwykle życzliwy i nad wyraz skromny.
Głęboko zaangażowany w proces integracji europejskiej.
Pełen empatii, kultury osobistej i wszechstronnych zainteresowań.

Leszek Miller

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Jak negocjują Rosjanie

Gdy siadasz do negocjacji z Rosjanami, nie spodziewaj się szybkiego przełomu. Prof. Stanisław Bieleń w wydanej w 2013 r. pracy „Negocjacje w stosunkach międzynarodowych" jeden z podrozdziałów poświęcił specyfice i tradycji stylu rosyjskiego. Pisze w nim, że na ten styl, wywodzący się z dyplomacji ZSRR, składają się „ekstremalne warunki wyjściowe, ograniczone pełnomocnictwa, emocjonalna taktyka, negatywne nastawienie do kompromisów, skąpstwo w ustępstwach oraz ignorowanie ostatecznych terminów".

Próbkę takich właśnie zachowań widzieliśmy podczas rozmów Siergieja Ławrowa z Dmytrem Kułebą, szefem ukraińskiej dyplomacji, w tureckiej Antalyi. Ławrow był jak ściana, recytował propagandowe tezy Kremla i nie zamierzał ustępować nawet o centymetr.

Dlaczego tak się zachowywał? Ewidentnie nie miał przyzwolenia na działania bardziej elastyczne. I każdym wypowiadanym zdaniem to podkreślał.

Bieleń wskazuje jeszcze jeden czynnik określający sposób negocjowania przez Rosjan. „O ile zachodni dyplomaci przeważnie postrzegają negocjacje jako sztukę dochodzenia do porozumienia na drodze wzajemnych ustępstw, o tyle strona radziecka, a obecnie rosyjska widzi je jako walkę do wygrania – pisze. – Wszystkie ustępstwa strony przeciwnej postrzega się jako słabość. Dość powszechne jest przekonanie, że Rosjanie nie szanują nikogo, kogo się przynajmniej trochę nie boją". I dodaje: „Respekt wobec silniejszego i posługiwanie się siłą w negocjacjach nadal wyróżnia Rosjan na tle innych".

Ławrow, będąc tak nieelastycznym, w istocie podkreślał, że chce być postrzegany jako silny partner. Przypomnijmy sobie zresztą wypowiedzi jego szefa, prezydenta Putina. W ostatnich tygodniach najczęściej groził – Ukrainie, Europie, światu. Europie za popieranie Ukrainy groził konsekwencjami, jakie nigdy jeszcze jej nie spotkały. „Chcę być dobrze zrozumiany", podkreślał. I była to otwarta sugestia, że jest gotów użyć nawet bomby atomowej. W ostatnich tygodniach groził również Danii, Polsce, Mołdawii, a nawet Bośni i Hercegowinie, że chce wstąpić do NATO.

Groził, ale nie przestraszył. Zachód zignorował jego słowa. Dlatego 17 marca zaczął grozić oczyszczeniem społeczeństwa, bo niektórzy jego rodacy nie mają rosyjskich dusz.

Jak wynika z pracy Bielenia, używanie gróźb jest wpisane w rosyjski kod kulturowy. „Wszelkie propozycje kompromisowych rozwiązań postrzegano na Kremlu jako słabość tego, który je zgłaszał. Było to wynikiem szczególnego respektu przed siłą, jaki Rosjanie mają od wieków. Rosjanie wierzą, że najlepszym sposobem nakłonienia innych do współpracy jest zademonstrowanie gotowości do użycia przygniatającej siły".

Dyplomaci i negocjatorzy, którzy będą rozmawiać z Rosjanami, muszą być też przygotowani na jeszcze jedną przeszkodę. „Rosjanie preferują strategie rywalizacyjne, co wiąże się z lekceważeniem rozwiązań kompromisowych i niechęcią do ustępstw. Spotkanie z partnerem »w pół drogi« nie daje im poczucia satysfakcji", pisze Bieleń.

Innymi słowy, jeżeli Zachód postrzega negocjacje w kategoriach win-win (widzimy to w codziennych pracach Unii Europejskiej), to Rosja czegoś takiego nie rozumie. Kontrakt handlowy, umowa międzynarodowa to dla niej efekt gry – kto kogo przechytrzy, kto kogo ogra. Dla Rosjan mniej ważny jest realny wynik negocjacji, najważniejsze jest, czy wychodzą z nich z twarzą, czy nie. Czy mogą ogłosić sukces.

Z drugiej zaś strony Rosjanie mają szczególny stosunek do podpisanych umów. Gdy są negocjowane w różnych językach, lubią w tłumaczeniach z angielskiego na rosyjski „poprawiać" je, tak by były dla nich korzystniejsze. Trzeba być także przygotowanym na to, że potrafią zwlekać z podpisaniem umowy lub z jej wdrożeniem.

konkretną gwarancję bezpieczeństwa. To zrozumiałe. W innym wypadku kwestią czasu byłby kolejny najazd Rosji.

A gdzie tej gwarancji szukać? Wiemy, że w jednym z wariantów gwarantować bezpieczeństwo mają umowy sojusznicze z różnymi państwami. Z jakimi? Na stole leży propozycja, by gwarancję dla granic Ukrainy stanowiła umowa międzynarodowa. Obok Rosji i Ukrainy podpisałaby ją grupa państw gwarantów. Te państwa miałyby dać gwarancję poszanowania niepodległości i integralności terytorialnej Ukrainy. Na razie to trójka: Niemcy, Polska i Turcja. Ale ta grupa nie jest zamknięta i ma być poszerzona.

W ten sposób mogłaby zostać rozwiązana sprawa neutralności Ukrainy i jej demilitaryzacji. A pozostałe punkty?

Co to znaczy denazyfikacja?

Ważny punkt, czyli denazyfikacja, przeszedł wielką ewolucję. Moskwa rozumie przez to obecnie „denazyfikację" nazw ukraińskich ulic oraz równouprawnienie języka rosyjskiego. Wspominany już Aleksander Rodniański nie uważa tych żądań za wielką przeszkodę: „Trzeba coś sprzedać ludności rosyjskiej. Są problemy z niektórymi miastami, gdzie ulice nazwano imionami pewnych osób, które uważają za nazistów, niezależnie od tego, czy to prawda, czy nie. Ale zmiana nazw ulic nie jest wielkim problemem. Możemy to zrobić".

Dodajmy, że chodzi o ulice Stepana Bandery, Romana Szuchewycza czy innych działaczy i dowódców OUN i UPA. Podobnie doradca Zełenskiego zapatruje się na inne rosyjskie żądanie – równouprawnienie ludności rosyjskojęzycznej: „Możemy także sprawić, że język rosyjski stanie się językiem regionalnym lub czymś w tym rodzaju, możemy o tym rozmawiać, ponieważ w gruncie rzeczy jest to kwestia nieistotna. Możemy im to dać, jeśli oznacza to dla nas pokój i suwerenność".

Gdzie są więc przeszkody nie do przebycia? Dotyczą one terytoriów. O ile ukraińscy negocjatorzy skłonni są szukać jakiegoś rozwiązania, które pozostawiłoby Krym po rosyjskiej stronie, o tyle w sprawie Doniecka i Ługańska są nieugięci. Nie mówiąc już o terenach południowych, wokół Chersonia i Morza Azowskiego, które zajęły rosyjskie wojska.

Kolejną bardzo trudną sprawą są pieniądze, czyli kwestia reparacji za straty wojenne. Choć z drugiej strony deklaracje Unii Europejskiej, że w wielkim stopniu sfinansuje odbudowę Ukrainy, pomagają w szybszym zbliżeniu stanowisk.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Pozostają więc sprawy terytoriów – o tyle skomplikowane, że stanowią najbardziej wymierną część porozumienia pokojowego. Wymierną, bo zawsze może paść pytanie: to po co tyle tysięcy naszych rodaków oddało życie? I to pytanie może być stawiane zarówno w Kijowie, jak i w Moskwie.

Pokój słabych

Czy jest wyjście z tego pata? Dziś go nie widać. Rosja Putina jest przyzwyczajona do wojen, on sam w takiej atmosferze dobrze się czuje. Zwłaszcza że w czasie kolejnych kampanii wojskowych rośnie mu poparcie i ludzie kłopotliwych pytań nie zadają. Owszem, w interesie Rosji leży zatem szybkie zawarcie pokoju, nie tylko zresztą z Ukrainą, ale i z całym Zachodem. Ale interes Putina i jego współpracowników jest inny. Długa wojna, nawet ze stratami, jest dla nich lepsza niż taki pokój, który będzie oceniany jako porażka. Stąd też kolejne bombardowania, ściąganie kolejnych wojsk, żeby zmiękczyć stronę przeciwną i poprawić swoją pozycję negocjacyjną. Albo zastosować taktykę faktów dokonanych.

Inne ograniczenia ma Zełenski. Już raz próbował dogadywać się w sprawie Donbasu i Ługańska i skończyło się to wielką awanturą. W Kijowie demonstrowały przeciwko tym rozmowom tysiące niezadowolonych. Musi więc liczyć się z opinią publiczną, z tym, co o ewentualnie zawartym pokoju myśleć będą Ukraińcy. A oni nie chcą słyszeć o ustępstwach terytorialnych. Zełenski już zapowiedział, że ewentualna umowa pokojowa będzie musiała być przyjęta przez Ukraińców w referendum. Ale to, przy całym sprycie tego rozwiązania, ma jedną podstawową wadę – wydłuża czas wejścia umowy w życie. Wydłuża zatem okres zawieszenia broni i ewentualnej ewakuacji wojsk. Okres ni to wojny, ni pokoju.

Przeszkody nie do przebycia dotyczą terytoriów.

To będzie długi marsz

Zawarcie pokoju między Rosją a Ukrainą, nawet zakładając dobrą wolę po obu stronach, będzie długą operacją. Zresztą, jeżeli popatrzymy na konflikty, które toczyły się na obszarze byłego ZSRR, to chyba żaden, może z wyjątkiem drugiej wojny czeczeńskiej, nie zakończył się trwałym pokojem. Ogniska zapalne wciąż się tlą – w Osetii, w Abchazji, w Górskim Karabachu, w Naddniestrzu… Wszędzie tam Rosja wolała zostawić sprawy nierozstrzygnięte, zapalne. Dlaczego więc miałaby kończyć twardą umową swój konflikt z Ukrainą?

Z tego punktu widzenia są dwa elementy, które mogą zmusić Kreml do negocjacji. Pierwszy to kondycja armii inwazyjnej. Jeżeli Rosjanie zaczną wojnę przegrywać, Putin wyda zgodę na wycofanie wojsk, żeby uniknąć blamażu. Drugi to siła międzynarodowych sankcji. Jeśli będą wystarczająco dokuczliwe, Moskwa może się cofnąć. Pytanie tylko, czy Putin będzie się przejmował ofiarami, tym, że armia krwawi. I na ile Rosjanie okażą się odporni na sankcje. Zapowiada się więc długi marsz…

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Oni pośredniczą w negocjacjach

W negocjacje Rosja-Ukraina zaangażowani są pośrednicy. To osoby mające dobre kontakty z obiema stronami, żywotnie zainteresowane pokojem.

- **Roman Abramowicz, najsłynniejszy rosyjski oligarcha** – ma bardzo dobre kontakty z Putinem (udzielił mu on „błogosławieństwa" do rozmów) i z organizacjami żydowskimi w Ukrainie. Jest na tyle ważną postacią, że sam Wołodymyr Zełenski prosił Amerykanów, by nie nakładali na Abramowicza sankcji, bo pośredniczy on w rozmowach. Dawid Arachamia, szef partii Zełenskiego w parlamencie i członek zespołu negocjacyjnego Ukrainy w rozmowach z Rosją, potwierdził, że spotkał się z Abramowiczem w Homlu na Białorusi, gdzie odbyła się pierwsza runda rozmów. „Mogę potwierdzić, że Abramowicz jest mocno zaangażowany w rozmowy pokojowe", powiedział dziennikarzowi „Financial Timesa".
- **Recep Tayyip Erdoğan, prezydent Turcji** – nie przyłączył się do zachodnich sankcji, nazywa Putina swoim przyjacielem, ma też dobre kontakty w Ukrainie (sprzedaje jej drony bayraktar). Turcja uważnie śledzi wydarzenia w basenie Morza Czarnego. To turecka dyplomacja doprowadziła do pierwszego spotkania Ławrow-Kułeba w Antalyi. Erdoğan w niedawnym wywiadzie mówił, że Rosja i Ukraina w czterech z sześciu negocjacyjnych tematów są bliskie porozumienia. Sęk w tym, że kluczowymi tematami są właśnie te dwa...
- **Naftali Bennett, premier Izraela** – Izrael także nie przyłączył się do sankcji i stara się utrzymywać dobre kontakty zarówno z Moskwą, jak i z Kijowem. Bennett rozmawiał już i z Putinem, i z Zełenskim, aczkolwiek na samym początku rozmów poniósł porażkę, bo otoczenie Zełenskiego oskarżyło go, że namawiał ukraińskiego prezydenta do kapitulacji. Od tej prestiżowej wpadki dyplomaci Izraela działają dyskretniej. A sam Bennett mówi, że do zakończenia wojny jeszcze daleka droga.
- **Emmanuel Macron, prezydent Francji** – od początku wojny odbył już z Władimirem Putinem kilkanaście rozmów telefonicznych. Jest zainteresowany pokojem, gdyż francuski biznes zaangażował w Rosji miliardy. Również zaliczany do grona sceptyków, uważa, że Putin na poważne rozmowy nie jest jeszcze gotowy.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Marcin Ogdowski

Generał na celowniku

Dlaczego giną rosyjscy dowódcy?

Wojskowi z całego świata przecierali oczy ze zdumienia, gdy w styczniu 2008 r. generał i pięciu wyższych rangą oficerów Polskich Sił Powietrznych zginęło w katastrofie samolotu CASA, który rozbił się pod Mirosławcem. Dwa lata później, gdy doszło do tragedii pod Smoleńskiem, szok był jeszcze większy – oto w pojedynczym wypadku śmierć poniosło aż dziewięciu najwyższych rangą dowódców Sił Zbrojnych RP. Wojskowa międzynarodówka zachodziła w głowę, jak można było tak wielu ważnych ludzi zgromadzić na pokładzie pojedynczych maszyn. Szczęście w nieszczęściu, że obie tragedie wydarzyły się w czasie pokoju, lecz i tak polski „jakośtambędzizm" (w innej odmianie „tupolewizm") do dziś omawiany jest jako przykład skrajnej nieodpowiedzialności. Od kilkunastu dni wyrasta mu poważna konkurencja – rosyjska nonszalancja w traktowaniu życia własnych generałów i pułkowników, ginących na ukraińskim froncie.

Zemsta po latach

Do momentu złożenia tego numeru PRZEGLĄDU potwierdzono informacje o śmierci siedmiu rosyjskich generałów i co najmniej kilkunastu pułkowników. To pogrom, dla którego trudno znaleźć odniesienie, rzadko bowiem na współczesnych wojnach tak licznie w tak krótkim czasie giną tak wysocy dowódcy.

Do tej pory potwierdzono informacje o śmierci sześciu rosyjskich generałów i co najmniej kilkunastu pułkowników.

Dla porządku wspomnę, że talibom pierwszego natowskiego generała – Amerykanina Harolda Greene'a – udało się zabić po niemal 13 latach wojny (w 2014 r.), podczas zamachu w szkole wojskowej w Kabulu. Nie była to zatem klasyczna sytuacja bojowa, ale typowa dla asymetrycznego konfliktu, w którym większość poległych stanowiły ofiary zamachów i zasadzek. Rosyjskie wysokie szarże zaczęły ginąć już w pierwszym tygodniu inwazji. Listę otwiera Magomied Tuszajew, Czeczeniec, bliski współpracownik Ramzana Kadyrowa. Tuszajew to generał tytularny (w armii rosyjskiej dosłużył się pułkownika), ale Witalij Gierasimow, pierwszy zastępca dowódcy 41. Armii, to już prawdziwy generał. Ten sam stopień w chwili śmierci mieli Andriej Kolesnikow, dowódca 29. Armii, oraz Andriej Suchowiecki, kolejny zastępca dowódcy 41. Armii.

Następny zabity przez Ukraińców generał to Oleg Mitiajew, dowódca elitarnej 150. Dywizji Strzeleckiej. Jego los podzielił Andriej Mordwiczew, stojący na czele 8. Armii Gwardii. Śmierć dopadła również gen. Jakowa Riezancewa ze sztabu 49. Armii. Warto również odnotować śmierć płk. Siergieja Suchariewa, dowódcy 331. Pułku Spadochronowego, który podpadł Ukraińcom jeszcze w 2014 r., stał bowiem wówczas za masakrą oddziałów ukraińskich wycofujących się z kotła w Iłowajśku. 252. Pułk Strzelców podczas walk pod Charkowem stracił nie tylko 30% stanu osobowego, ale i dowódcę, płk. Igora Nikołajewa. Właściwie każdy dzień przynosi podobne informacje i choć rosyjskie MON zwykle ich nie potwierdza, lokalne media w Rosji donoszą o pogrzebach wysokich stopniem wojskowych.

A co się dzieje po drugiej stronie? Ukraińcy przyznali się do utraty co najmniej kilku pułkowników (głównie pilotów), lecz nie wiemy nic o poległych generałach. Z dużym prawdopodobieństwem można więc przyjąć, że bezpośrednio na froncie nie zginął żaden – Rosjanie wykorzystaliby takie zdarzenie z jeszcze większą premedytacją niż Ukraińcy. Byłby to dla ich propagandy dowód na zwycięską kampanię i postępującą dezintegrację struktur dowódczych przeciwnika. Oczywiście można założyć, że jakiś wysoki rangą oficer poległ, a podwładni zdołali uchronić jego ciało przed przejęciem przez wrogów. No i pamiętajmy, że agresorzy przy użyciu rakiet i bomb lotniczych

FOT. TASS/FORUM

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Andriej Suchowiecki, jeszcze w stopniu pułkownika gwardii, dowodził 7. Gwardyjską Dywizją Desantowo-Szturmową w Noworosyjsku w czasie ćwiczeń w marcu 2021 r.

zaatakowali setki rozmaitych instalacji militarnych, w tym centra dowodzenia. Niewykluczone, że udało im się zabić któregoś z najwyższych rangą ukraińskich dowódców. Służby prasowe rosyjskiej armii nie informują o tym, bo nie mają pewności, Ukraińcy z kolei tylko w obliczu niepodważalnych dowodów potwierdzą stratę. Cała ich kampania informacyjna służy budowaniu morale, złe wieści przyniosłyby odwrotny skutek. Jeśli giną generałowie, to sygnał, że z wojskiem jest coś nie tak.

Pogarda dla życia

W teorii dowodzenie oddziałami zaangażowanymi w walkę odbywa się na dwóch poziomach: organizacyjnym i bezpośrednim. W pierwszym przypadku dowódcy od majora wzwyż są od zapewnienia podwładnym wysokiej świadomości sytuacyjnej i wsparcia innych rodzajów broni. Odpowiadają m.in. za współpracę z sąsiadami, łączność i zabezpieczenie logistyczne. Na pierwszej linii angażują się dowódcy kompanii i niżej (kapitanowie, porucznicy, przy wydatnej pomocy podoficerów).

„Wodzowie" nie walczą już od dawna. Pouczające może być to, co wydarzyło się podczas ataku rebeliantów na bazę w Ghazni w Afganistanie w 2013 r. Dowodzący polskim kontyngentem gen. Marek Sokołowski – postać niezwykle barwna – w chwili pierwszego uderzenia siedział na fotelu dentystycznym. Zerwał się i z pistoletem w dłoni pobiegł na pierwszą linię – w miejsce, gdzie doszło do przerwania umocnień. Post factum pojawiły się głosy, że „Sokół" powinien był udać się do centrum dowodzenia. Na poziomie merytorycznym łatwo ów zarzut odeprzeć – tak jak admirał floty nie jest dowódcą okrętu flagowego, a dowódca sił powietrznych nie powinien wydawać rozkazów kapitanowi samolotu, tak od organizacji obrony bazy był jej dowódca ze swoim sztabem. Inna sprawa, czy generał mógł sobie pozwolić na ryzyko utraty życia i czy nie byłoby właściwsze udanie się do schronu.

To na gruncie zachodniej tradycji wojskowej elementem kanonu stało się przekonanie o niewalczących „wodzach". W armii rosyjskiej sprawy przez długi czas miały się inaczej. Pogarda dla żołnierskiego życia nie dotyczyła tylko szeregowych, a wyjątkowe kompetencje wysokich szarż nie gwarantowały nietykalności.

> Jeśli giną generałowie, to sygnał, że z wojskiem jest coś nie tak.

Dość wspomnieć absurdalne czystki w korpusie oficerskim z końca lat 30. XX w., które tak brutalnie osłabiły Armię Czerwoną w przededniu starcia z Wehrmachtem. „Ludzi u nas mnóstwo", mawiał Stalin, mając na myśli także kandydatów na generałów. Trzeba było milionów ofiar, by ilość przeszła w jakość, co i tak nie przyniosło zmiany paradygmatu, bo na czele Armii Radzieckiej w 1945 r. stał Gieorgij Żukow, bezwzględny wobec podwładnych niezależnie od stopnia. Na to wszystko nakładał się istotny rys kulturowy – zakorzenione przekonanie o wadze osobistego przykładu. Podrywanie żołnierzy do boju wymagało wielkiej odwagi – to kwestia bezdyskusyjna – lecz szybko dostrzeżemy również mniej chwalebne składowe tej postawy. Rosyjskiemu wojsku często brakowało motywacji do narażania życia. Miliony czerwonoarmistów poddających się Niemcom w 1941 r. nie zrobiły tego wyłącznie ze strachu, ale też z niechęci do walki za państwo i ustrój, które kojarzyły im się z terrorem, wyzyskiem, biedą, śmiercią i powszechną nieufnością. Dopiero gdy Niemcy okazali się nie lepsi, radzieccy żołnierze stali się dla nich śmiertelnym zagrożeniem.

Wystawieni na strzał

Dziś naczelną ideologią państwa rosyjskiego jest imperializm, rozumiany jako odbudowa (należnych!) wpływów. I jakkolwiek jest to intelektualnie atrakcyjna opcja dla Rosjan, chłopcy w mundurach nie bardzo się garną za to umierać. Zwłaszcza w Ukrainie, z którą związki kulturowe są tak bliskie. Moskwa każe żołnierzom wierzyć, że walczą z faszystami, niczym ich dziadkowie i pradziadkowie. Tymczasem wojskowi wchodzą na przedmieścia Charkowa i widzą, że to świat bardzo podobny do tego, który znają.

By zmotywować podwładnych do działania, na pierwszej linii stają więc generałowie. Przykład osobistej odwagi, ale i zastraszenie, tak istotne w armii ułożonej na radzieckich wzorcach, mają działać jak kopniak. Efekty są, jakie są, a Ukraińcy tylko korzystają z okazji. Andriej Suchowiecki zginął w trakcie walk o lotnisko w Hostomelu pod Kijowem. Zastrzelił go snajper. Skąd wiedział o obecności generała? Światło na sprawę rzuca śmierć Andrieja Mordwiczewa, który zginął, po tym jak użył niezabezpieczonego telefonu. Tajemnicą poliszynela jest to, że Rosjanie mają gigantyczne problemy z łącznością, dowódcy sięgają więc po cywilne komórki, łatwe do namierzenia, albo starają się kompensować braki poprzez osobiste dowodzenie. W obu przypadkach wystawiają się na strzał.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

W najnowszym numerze „NIE":
Ambasador Federacji Rosyjskiej grozi dziennikarzowi tygodnika.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Wojna w Ukrainie z perspektywy polityki mocarstw

W Ukrainie toczy się wojna amerykańsko-rosyjska, tyle że strona amerykańska walczy ukraińskimi rękami

Piotr Kimla

W PRZEGLĄDZIE ukazał się niedawno wywiad z amerykańskim teoretykiem stosunków międzynarodowych Johnem Mearsheimerem (nr 12, 14-20.03.2022). W debacie toczącej się w Polsce wokół agresji Rosji na Ukrainę jest to istotny głos, przełamujący monoideowość tej debaty. Analiza Mearsheimera zmusza do spojrzenia na obecne, tragiczne wydarzenia w Ukrainie przez pryzmat wielkiej polityki, spojrzenia w skali makro. A w niej to, co się dzieje w granicach naszego sąsiada – tak dla nas istotne, dotykające tak mocno – pozostaje lokalną odsłoną wielkiej rywalizacji na arenie światowej. Spojrzenie w skali makro może czasem rzucić światło na wydarzenia, które inaczej wydają się niezrozumiałe. Opinia publiczna w Polsce powinna mieć możliwość chociażby chwilowej zamiany lokalnej perspektywy na perspektywę generalną, by odnieść przez to jakąś korzyść.

Gdy przyjmie się tę generalną perspektywę, nie ulega kwestii, że zasadniczym problemem w polityce światowej jest antagonizm amerykańsko-chiński. Innymi słowy, realnym zagrożeniem dla Ameryki są Chiny, a nie Rosja. We wspomnianym wywiadzie Mearsheimer mówi o tym otwartym tekstem. Co więcej, amerykański teoretyk pragnąłby, aby Rosja wsparła USA w rozgrywce z Chinami, aby stała się częścią antychińskiej koalicji. Trzeba powiedzieć, że pragnienie to zdecydowanie rozmija się z obecną wolą elit politycznych w Waszyngtonie. Wydaje się, że Waszyngton podjął w pewnym momencie próbę porozumienia się z Moskwą przeciwko Chinom. Wyrazem tego był słynny „reset" w stosunkach amerykańsko-rosyjskich, zaproponowany przez prezydenta Baracka Obamę. Próba ta zakończyła się fiaskiem. Skalę tego fiaska oddaje wywiad prezydenta Joego Bidena udzielony George'owi Stephanopoulosowi, w którym amerykański prezydent twierdząco odpowiada na pytanie dziennikarza, czy uważa prezydenta Putina za zabójcę. Jest to rzecz bez precedensu, bo musimy wykluczyć jakikolwiek element przypadkowości tej wypowiedzi. Pokazuje ona zarazem, że Ameryka nie dążyła do deeskalacji napięcia w stosunkach z Rosją, wręcz przeciwnie. Zmierzała także do wepchnięcia Rosji na drogę rozwiązań siłowych w odniesieniu do Ukrainy z powodów, o których poniżej. Odnotuję jeszcze na marginesie, że deeskalacyjnych zamiarów trudno się dopatrzyć w określeniu przez prezydenta Bidena przywódcy Rosji mianem zbrodniarza wojennego, za co Rosja zagroziła USA zerwaniem stosunków dyplomatycznych.

> Naturalną konsekwencją fiaska porozumienia amerykańsko-rosyjskiego jest porozumienie chińsko-rosyjskie.

Naturalną konsekwencją fiaska porozumienia amerykańsko-rosyjskiego jest porozumienie chińsko-rosyjskie. Bezsprzecznie jednak w interesie USA nie leży wytworzenie sytuacji, w której silna Rosja sprzymierza się z jeszcze potężniejszymi Chinami. Jeśli Rosja nie chce być antychińskim sojusznikiem Ameryki, to rzecz w tym, by uczynić ją jak najmniej użytecznym, jak najsłabszym sojusznikiem Chin. Oznacza to, że w Ukrainie, przyjmując konsekwentnie perspektywę wielkomocarstwową, toczy się obecnie wojna amerykańsko-rosyjska, tyle że strona amerykańska walczy ukraińskimi rękami. Wiemy z doświadczenia, że Amerykanie są biegli w takim sposobie prowadzenia wojen. Czyż w trakcie II wojny światowej nie pokonali Wehrmachtu rękami czerwonoarmistów? Zdaje się to potwierdzać zachowanie Amerykanów w miesiącach poprzedzających wybuch wojny. Ich działania, jak wspomniałem, nie zmierzały do deeskalacji napięcia. Przeciwnie, można odnieść wrażenie, że Amerykanom zależało na tym, by Rosja uwikłała się w wojnę i okupację Ukrainy. Weźmy oświadczenie prezydenta Bidena, że wykluczone jest wysłanie wojsk amerykańskich do Ukrainy. Czy gdyby celem polityki

> Każdy rosyjski przywódca będzie dążył do stworzenia sprzyjającej sobie Ukrainy. Bez Ukrainy Rosja nie może się stać regionalnym hegemonem.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

amerykańskiej było zażegnanie rosyjsko-ukraińskiego konfliktu, niedopuszczenie do niego, należało wydawać takie oświadczenie i później je powtarzać? Nawet jeśli było ono od początku zgodne z założeniami amerykańskiej polityki, to czy nie lepiej byłoby dla zachowania pokoju powstrzymać się od takich deklaracji i wytworzyć w ten sposób stan niepewności?

Dla strony amerykańskiej ryzyko wejścia Rosji do Ukrainy nie było wielkie, bez względu na to, który z dwóch możliwych scenariuszy by się realizował. W scenariuszu pierwszym, który się nie ziścił, Rosja bardzo szybko pokonałaby siły zbrojne Ukrainy i podporządkowałaby sobie kraj. Skutkiem byłoby jednak powstanie grup partyzanckich w Ukrainie, dozbrajanych i podtrzymywanych przez Zachód. Rosja miałaby potężne problemy związane z okupacją sąsiada i zużywałaby na to bardzo wiele siły. Czysty amerykański zysk. W scenariuszu drugim, który, wydaje się, jest właśnie realizowany, dozbrajana przez Zachód armia ukraińska stawia opór i konflikt przybiera postać długotrwałych, zaciętych walk. To także jest, rzecz oczywista, na rękę Waszyngtonowi. Z amerykańskiej perspektywy chodzi teraz nade wszystko o to, aby umiejętnie dozować pomoc dostarczaną Ukrainie. Tak, aby utrwalać konflikt. O ile powyższa analiza nie rozmija się mocno z prawdą, jest to bardzo zła wiadomość dla Ukraińców. Jest to zarazem bardzo zła wiadomość dla Polaków. Oznacza bowiem, że wojenne zmagania w Ukrainie szybko się nie skończą. Powtórzę: im dłużej Rosja jest w ten konflikt uwikłana, tym jest słabsza. Im jest słabsza, tym lepiej dla Ameryki, która, nie mogąc mieć Rosji po swojej stronie, postanowiła maksymalnie ją osłabić. Tym gorzej w końcu dla głównego przeciwnika Ameryki, czyli dla Chin, które w Rosji zyskają sojusznika słabego i mogącego być obciążeniem zamiast sojusznika silnego, dającego realne wsparcie. Jeśli już, używając określenia Mearsheimera, amerykańscy decydenci polityczni swoją obecną polityką w Europie Wschodniej „wpychają Rosję w ramiona Chińczyków", to głowa elit politycznych Waszyngtonu w tym, by w objęciach Chin znalazła się Rosja słaniająca się na nogach.

Nie chcę oczywiście powiedzieć, że odpowiedzialność za agresję Rosji na Ukrainę leży wyłącznie czy przede wszystkim po stronie amerykańskiej. To Moskwa podjęła decyzję o siłowym podporządkowaniu sobie sąsiada. Decyzja ta, abstrahując od wymiaru moralnego, pozostaje czymś niezwykle trudno wytłumaczalnym. Ignoruje stan świadomości narodowej Ukraińców Anno Domini 2022. Wyjaśnienia Mearsheimera, że Putin nie jest zainteresowany zachodnią Ukrainą, niewiele wnoszą. Czy możemy sobie wyobrazić, że mieszkańcy zachodniej Ukrainy, żyjąc w okrojonym kraju, zapomną o terytoriach zabranych, nie będą się o nie upominać, nie staną o nie do walki? Z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa trzeba założyć, że walczyliby o nie metodami partyzanckimi, może terrorystycznymi, i to nawet bez pomocy udzielanej im przez Zachód. W świetle powyższego pod znakiem zapytania staje jedna z zasad polityki międzynarodowej, która mówi, że państwa, a ściślej ich przywódcy, są racjonalnymi aktorami, że starannie i przytomnie kalkulują. Decyzja ta nie nosi znamion racjonalności. Dlatego tak wielu analityków do samego końca uważało ją za nieprawdopodobną. Innymi słowy, droga do przeciągnięcia przez Rosję Ukrainy na swoją stronę poprzez wypowiedzenie Ukrainie wojny i okupowanie jej w całości lub w części jest ślepa.

Realizm ofensywny każe myśleć o polityce międzynarodowej w kategoriach konieczności maksymalizowania swojej potęgi (system międzynarodowy jest systemem *self-help*, to znaczy, że koniec końców poszczególne państwa są zdane wyłącznie na siebie). Jeśli jednocześnie zasadniczym celem państwa jest przetrwanie, to bez wątpienia największe szanse na realizację tego celu ma państwo silne, najlepiej o statusie regionalnego hegemona. Wypływa stąd kilka wniosków, ale skupię się na jednym: że ekspansywna polityka mocarstw nie jest wynikiem *libido dominandi* przywódców politycznych, ich uwarunkowań psychologicznych, kaprysów, aberracji umysłowych. Przywódcy ci są skazani na dążenie do powiększania siły swoich państw i wynika to z natury systemu międzynarodowego, nie z ich osobistych inklinacji. Gdyby z tego zrezygnowali, daliby dowód całkowitego braku odpowiedzialności, którego nie dałoby się w żaden sposób usprawiedliwić. Ów determinizm tkwiący w polityce międzynarodowej nosi w sobie znamiona tragiczności (nie bez przyczyny zasadnicze dzieło Mearsheimera jest zatytułowane „Tragizm polityki mocarstw"). Akcentuję ten wniosek, ponieważ odziera on ze złudzeń, obecnych w dyskursie publicznym na Zachodzie, że zastąpienie Putina przez kogoś innego rozwiązywałoby sytuację. Zmierzam tym samym do niewesołej konstatacji, że każdy rosyjski przywódca będzie dążył do stworzenia sprzyjającej sobie, nie zaś związanej z Zachodem Ukrainy. Jest tak, ponieważ bez Ukrainy Rosja nie może się stać regionalnym hegemonem.

Z amerykańskiej perspektywy chodzi o to, aby tak dozować pomoc dostarczaną Ukrainie, by utrwalać konflikt.

Jest to bardzo zła wiadomość dla Polaków. Oznacza bowiem, że wojenne zmagania w Ukrainie szybko się nie skończą.

Prof. UJ dr hab. Piotr Kimla jest pracownikiem Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Łukasz Dąbrowiecki
Korespondencja z Niemiec

Pomoc uchodźcom to maraton, a nie sprint

W Niemczech podobnie jak w Polsce ciężar przyjęcia uchodźców wzięli na siebie wolontariusze

Nie od wczoraj społeczeństwo Republiki Federalnej współtworzą mieszkańcy z tzw. tłem imigracyjnym. Tak określa się w Niemczech osoby, które nie urodziły się jako obywatele RFN lub których przynajmniej jedno z rodziców nie było rdzennym Niemcem. Coraz częściej zachodnich sąsiadów Polski opisuje się jako *Einwanderungsgesellschaft* – społeczeństwo imigracyjne. Pod tym względem Niemcy upodabniają się do Stanów Zjednoczonych, Argentyny, Brazylii czy Kanady. W 2019 r. zgodnie z danymi Federalnego Urzędu Statystycznego w Niemczech mieszkało ponad 21,2 mln osób z „tłem imigracyjnym". Stanowi to 26% populacji.

Ociężała administracja

Nowi mieszkańcy osiedlali się w Niemczech Zachodnich już w drugiej połowie XX w. W okresie powojennej prosperity zakorzenili się tu gastarbeiterzy z Turcji, Włoch, Hiszpanii, Jugosławii i Grecji. Wówczas nie dbano o żadną integrację, przeciwnie, przyjezdnych separowano i liczono, że po zakończonych kontraktach wyjadą tam, skąd przybyli. Większość tak zrobiła, ale pozostałych było wystarczająco dużo, by wpłynąć na zmianę profilu społeczeństwa. Wietnamscy *boat people*, polscy imigranci przed stanem wojennym, w jego trakcie i po nim, uchodźcy z wojen na Bałkanach – kolejne grupy migrantów wzbogacały niemiecki krajobraz kulturowy i polityczny. Najlepiej pamiętamy niedawne dramatyczne przybycie ofiar wojen w Syrii, Iraku i Afganistanie, głównie uchodźców z tzw. szlaku bałkańskiego.

Teoretycznie więc dla państwa niemieckiego przyjazd nowej grupy uchodźców, tym razem z Ukrainy, nie powinien być wstrząsem. Wypracowane w poprzedniej dekadzie struktury powinny błyskawicznie zadziałać podczas obecnego kryzysu. Jednak z początku administracja państwowa bardzo ociężale zabierała się do organizowania pomocy. Trudno orzec, czy nie zdawano sobie sprawy ze skali wyzwania, czy zadziałała zwykła instytucjonalna inercja. W ciągu trzech tygodni Polska przyjęła ponad 2 mln uchodźców, z czego około ćwierć miliona opuściło granice kraju, przemieszczając się dalej na zachód, a niemiecka administracja wciąż działała ospale.

> Pociągów, które przewoziły Ukraińców z Polski do niemieckich miast, było niewiele, a i tak część zaplanowanych kursów szybko wstrzymano.

W momencie pisania tego tekstu z Ukrainy za granicę według ONZ uciekło ponad 3,1 mln osób. Natomiast, jak poinformowało 19 marca Federalne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji doliczono się 207 742 uchodźców wojennych, którzy przekroczyli granicę Niemiec. Liczba ta dotyczy tylko osób, które służby federalne zarejestrowały np. na stacjach kolejowych lub w pociągach. W rzeczywistości było ich bez wątpienia więcej. Nikt przecież nie notuje ludzi, którzy w potrzebie znaleźli schronienie u krewnych lub u przyjaciół.

Osamotnieni wolontariusze

Uciekinierzy wojenni, podobnie jak w Polsce, mogą w Niemczech jeździć koleją bez opłat po okazaniu paszportu lub dokumentu potwierdzającego tożsamość. By pomóc rozładować sytuację, współpracujący z Polską niemiecki przewoźnik kolejowy poza połączeniami planowymi zorganizował dodatkowe składy, które przewoziły uchodźców do kilku niemieckich miast. Pociągów nie było wiele, a i tak część zaplanowanych kursów szybko została wstrzymana. Niemcy tłumaczyli to „wąskimi gardłami", nie dając sobie rady z przyjmowaniem na bieżąco wszystkich osób. Według Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Brandenburgii limit możliwości recepcyjnych np. w Cottbus wynosił 800 uchodźców dziennie. Ostatecznie zdecydowano się na organizację hubów w Berlinie, Hanowerze i właśnie w Cottbus. Stamtąd ofiary wojny kierowane są do bezpiecznych miejsc w całym kraju.

Miastem najczęściej wybieranym jako pierwszy cel podróży na uchodźczym szlaku był oczywiście Berlin. Niemcy, podobnie jak Polacy, spontanicznie zaaranżowali pomoc na dworcach. Tysiące osób otworzyło swoje domy dla przyjezdnych. Na pomoc ruszyły również osoby z własnym doświadczeniem uchodźczym, na przykład z krajów bałkańskich, które jako dzieci uciekały wraz z rodzicami przed wojną.

Dziennik „Tageszeitug" pytał 13 marca zniecierpliwiony biernością administracji: „Czy Berlin niczego z 2015 r. się nie nauczył?". Gazeta szacowała, że przez dwa pierwsze tygodnie od inwazji ok. 10 tys. osób zostało zakwaterowanych prywatnie. W tym samym czasie władze landu (Berlin jest osobnym krajem związkowym) zakwaterowały 8 tys.

Trudno się pozbyć wrażenia, że podobnie jak w Polsce przez pierwsze

eprasa.pl 2b0bcd76fd

8 marca panie przyjeżdżające z Ukrainy do Berlina witane były kwiatkiem.

tygodnie pomocą przybywającym zajmowało się głównie samoorganizujące się społeczeństwo obywatelskie. Wolontariusze skrzykiwali się na popularnej w Niemczech aplikacji Telegram. Pierwsza grupa uchodźców przybyłych jednego dnia do stolicy liczyła ok. 300 osób, już dwa dni później przybywały ich tysiące. „Wydaje się, jakby Berlin dzielił granicę z Ukrainą", mówił gazecie „taz" 39-letni wolontariusz. Osoby, które spontanicznie pojawiły się na dworcu kolejowym i autobusowym, rozdawały napoje, jedzenie, zabawki dla dzieci, odzież czy serdeczny uścisk współczucia na powitanie. Zaczęły powstawać nieoficjalne punkty recepcyjne, grupy tłumaczy i pośrednictwa w udostępnianiu miejsc noclegowych. „To, że nikt nie musi spać w parku, to zasługa wolontariuszy", cytowała jedną z nich „taz".

Ubrani w odblaskowe kamizelki z wypisanym markerem imieniem oraz językami, którymi władają, spędzali całe dni na dworcach. Atmosfera z czasem zmieniała się i z chaosu wyłaniał się porządek. Powstały kąciki pierwszej pomocy i lekarskie, powiększały się zasoby odzieży.

Przyjęcia na lotniskach

Katarzyna Niewiedział, pełnomocniczka Senatu Berlina ds. integracji i migracji, przyznała na falach radia Cosmo, że z punktu widzenia administracji landu „sytuacja rozwijała się dynamicznie" i bez zaangażowania obywatelskiego, bez współpracy z wolontariuszami również w nadchodzących tygodniach władzom będzie bardzo trudno nieść pomoc uchodźcom. Wolontariusze okazywali rozczarowanie, że administracja państwowa zbyt niechętnie czerpie z ich doświadczenia.

Tak jak rozśrodkowane są instytucje państwa federalnego, brakuje centralizacji w dziedzinie pomocy kryzysowej. Opiera się ona na sieci różnorodnych organizacji humanitarnych, które prowadzą działania w wybranych domenach. Wśród nich znajdziemy zarówno Niemiecki Czerwony Krzyż, jak i alians organizacji pomocowych Kampania Niemcy Pomagają (Aktion Deutschland Hilft) oraz charytatywne organizacje religijne, takie jak katolicki Caritas czy jego protestancki odpowiednik Diakonie. Zakwaterowanie i noclegi można deklarować oraz ich poszukiwać poprzez wielojęzyczną stronę unterkunft-ukraine.de. W największym stopniu w bieżącą pomoc zaangażowana jest diaspora ukraińska, która tworzy lokalne grupy, takie jak Ukraine-Hilfe Berlin e.V. czy WOLJA Stuttgart.

Monitoring przekazywanej pomocy prowadzi Niemiecki Centralny Instytut Spraw Społecznych (DZI). Jest również instytucją certyfikującą organizacje pomocowe. W momentach kryzysu pojawiają się bowiem niestety nieuczciwe jednostki, które wykorzystując naturalną chęć niesienia pomocy, próbują naciągnąć darczyńców. Na stronie instytutu można znaleźć listę sprawdzonych organizacji, które otrzymały „pieczęć DZI", a także instrukcję, jak weryfikować podmioty zbierające dary.

W Berlinie głównym miejscem zbiórki stało się dawne lotnisko Tempelhof. Działa tam organizacja

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Spendenbrücke, która na swojej stronie internetowej publikuje aktualizowaną listę potrzebnych w danym momencie rzeczy. To zresztą podkreślane jest powszechnie: dary rzeczowe mają bardzo osobisty wymiar i ofiarowywane są w dobrej wierze, ale powinno się je przekazywać tylko na wyraźne życzenie organizacji pomocowych i według publikowanych list zapotrzebowania, by nie tworzyć problemów logistycznych.

To, że nikt nie musiał spać w parku, to zasługa wolontariuszy.

W końcu władze Berlina zorganizowały też duży ośrodek recepcyjny na terenie lotniska Tegel, kilka kilometrów na północny zachód od dworca głównego. Podczas otwarcia 20 marca Gudrun Sturm z kierownictwa berlińskiego Czerwonego Krzyża zapewniała, że żaden uchodźca, który pojawi się w Niemczech, nie zostanie bez pomocy. Łącznie ośrodek Tegel ma możliwość objęcia opieką i rejestracją do 10 tys. uchodźców wojennych dziennie. Według władz Berlina do obsługi centrum potrzeba ok. 400 osób. Burmistrzyni Berlina Franziska Giffey (SPD) poprosiła pracowników ze wszystkich pionów administracji Berlina o wolontariat.

Rozwiązania długofalowe

Osoby chroniące się przed wojną zaczęły również szybko docierać do miast w zachodniej części kraju. W Stuttgarcie to kilkaset osób dziennie. W tamtejszym centrum szczepień w Hali Martina Schleyera zorganizowano punkt medyczny obsługiwany przez kilkudziesięciu lekarzy. Tu kieruje się w zasadzie wszystkich przyjeżdżających. Konsultacje mają na celu zapobieganie rozprzestrzenianiu się chorób zakaźnych. W razie konieczności lekarze zlecają dalsze badania. Kilka osób zostało hospitalizowanych ze względu na stan zdrowia zagrażający ich życiu. W Stuttgarcie uchodźcy otrzymują zakwaterowanie m.in. w schroniskach młodzieżowych czy ośrodkach sportowych. Szkolne hale sportowe na potrzeby stworzenia awaryjnego dachu nad głową przygotowały małe miejscowości w całym kraju.

Osoby, które z dnia na dzień opuszczają kraj, bardzo często liczą na to, że gdy najgorsze przejdzie, będą mogły szybko wrócić. „Nasze doświadczenie, jeśli chodzi o wojnę i uchodźców w Niemczech, jest takie, że bardzo często z tego jednego dnia czy tygodnia robią się lata. Dlatego my przygotowujemy się strukturalnie do tego, że ludzie u nas długo zostaną i muszą zostać jak najszybciej wdrożeni w nasz system", mówiła w imieniu berlińskiej administracji Katarzyna Niewiedział. Struktury pomocowe Berlina powstały w latach 2015-2016, w szczycie kryzysu uchodźczego podczas wojny w Syrii. Obecnie są reaktywowane i rozbudowywane. Władze w końcu zdały sobie sprawę, że obecna sytuacja jest nieporównywalnie trudniejsza. W wydziałach miasta powstały sztaby kryzysowe opracowujące wspólną koncepcję integracji dla osób, które postanowią zostać w stolicy. W poszczególnych dzielnicach Berlina znajduje się 12 biur integracyjnych, do których można zwracać się o pomoc, zostaną otwarte kursy językowe, naprędce tworzone są klasy powitalne dla dzieci ukraińskich. Ma ich powstać 50. Administracja pamięta o konieczności wsparcia psychologicznego. Podczas rejestracji są wydawane pozwolenia na pracę. Mówi się o uproszczeniu procedur w nostryfikacji dyplomów i zatwierdzeniu uprawnień zawodowych. Pomoc uchodźcom to jest maraton, a nie sprint. I to dopiero jego początek.

W Stuttgarcie zorganizowano punkt medyczny obsługiwany przez kilkudziesięciu lekarzy, by zapobiec rozprzestrzenianiu się chorób zakaźnych.

Zdziwienie Polską

Polska otwierająca się z taką serdecznością i współczuciem na uchodźców z Ukrainy początkowo była przyjmowana z pewnym zdziwieniem. Stało to bowiem w sprzeczności z obserwowaną dotychczas przez zagranicę praktyką. Pamiętano, że w 2015 r. rząd w Warszawie kategorycznie odmówił, gdy Niemcy zaapelowały do europejskich partnerów o przyjmowanie uchodźców z Bliskiego Wschodu, jak i to, że w zeszłym roku rozpoczęto na granicy polsko-białoruskiej budowę płotu, aby powstrzymać uchodźców przybywających z terenu Białorusi. Teraz, gdy Polska wypłaca uchodźcom na powitanie wsparcie finansowe oraz gwarantuje pobyt, w tym pozwolenie na pracę w okresie 18 miesięcy, odczytywane jest to jako bardzo pozytywny zwrot w naszej polityce.

Przeprowadzone już w marcu badanie Instytutu Spraw Publicznych dotyczące postaw Polaków i Niemców wykazało, że te zbliżyły się po agresji Rosji na Ukrainę. Choć nadal istnieją przeszło 20-procentowe rozbieżności, jeśli chodzi o poparcie dla daleko idących sankcji (Polacy 90%, Niemcy 69%), przekazanie sprzętu wojskowego, który umożliwiłby Ukrainie skuteczniejszą obronę kraju (odpowiednio 87% i 58%) i zablokowanie Nord Stream 2 (81% i 55%), to poczucie zagrożenia militarnego ze strony Rosji w obu krajach odczuwa podobna liczba respondentów (Polacy 79% i Niemcy 74%). To u Niemców zmiana o ponad 30% od momentu zajęcia przez Rosję Krymu. Obecnie również oba społeczeństwa są w niemal tym samym stopniu otwarte na uchodźców. W Polsce przyjęcie uchodźców z Ukrainy popiera 77% respondentów, a w Niemczech 79%.

Jeśli ta synchronizacja postaw się umocni, powinna pomóc sąsiadom z Ukrainy przetrwać najczarniejsze dni wojennych cierpień i strat oraz wypracować spójną i zdecydowaną odpowiedź na zagrożenie ze strony Federacji Rosyjskiej. Natomiast polski rząd powinien przygotować się na to, że mit monokulturowego społeczeństwa odchodzi do lamusa. To wielkie wyzwanie, które ma jednak wzorce udanej integracji u sąsiadów zza Odry.

Łukasz Dąbrowiecki

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Izrael szuka przyjaciół

Premier Naftali Bennett wyciąga rękę do Moskwy, Kijowa, Abu Zabi i Kairu

22 marca 2022 r. w Szarm el-Szejk spotkali się (nz. od lewej) książę Muhammad ibn Zajid an-Nahajjan, następca tronu Abu Zabi i de facto władca ZEA, prezydent Egiptu Abdel Fattah as-Sisi oraz premier Izraela Naftali Bennett.

Jakub Katulski

Wizyta premiera Naftalego Bennetta w egipskim kurorcie Szarm el-Szejk z pewnością zapisze się w historii Izraela. Przywódca państwa żydowskiego pojechał tam nie na wypoczynek, ale na spotkanie, które jest istotnym rozwinięciem porozumień abrahamowych, zawieranych od 2020 r. umów normalizujących relacje Izraela ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem, Marokiem i Sudanem. Nad Morzem Czerwonym z Bennettem spotkał się bowiem nie tylko prezydent Abd al-Fattah as-Sisi, ale także książę koronny Muhammad ibn Zajid an-Nahajjan, następca tronu Abu Zabi i de facto władca ZEA.

To bezprecedensowe wydarzenie, gdyż Izrael relacje dyplomatyczne z Abu Zabi sformalizował dopiero w 2020 r. dzięki mediacji Stanów Zjednoczonych. Wcześniej współpraca między państwami odbywała się w dużej mierze nieoficjalnie, choć izraelscy ministrowie odwiedzali kraj nad Zatoką Perską, a już w 2019 r. ogłoszono, że Izrael zaprezentuje swój pawilon na zaplanowanej na rok 2020 wystawie EXPO.

W ostatnich miesiącach podjęto jednak wiele istotnych działań, które cementują relacje. Prezydent Icchak Herzog, przemawiając w styczniu w izraelskim pawilonie w Dubaju, zaznaczył, że od 2020 r. wartość wymiany handlowej z Emiratami przekroczyła 1 mld szekli, a państwa podpisały ponad 120 porozumień, w tym badawczych i rozwojowych. Obywatele Izraela chętnie też jeżdżą do Emiratów w celach turystycznych, nawet mimo pandemii COVID-19. Ścisłe restrykcje w Izraelu, wraz z zamykaniem lotniska dla obcokrajowców, na razie nie pozwoliły Emiratczykom tłumnie przyjeżdżać z rewizytą.

Chleb dla Kairu

Te niewielkie państwa szybko stają się regionalnymi przyjaciółmi. O wiele trudniejsze są relacje z Egiptem. Choć Izrael podpisał z Kairem traktat pokojowy już w 1979 r., społeczeństwa do dzisiaj traktują się z nieufnością. Rządy współpracują m.in. w dziedzinie bezpieczeństwa, jako wspólne zagrożenie traktując Strefę Gazy i rządzący nią Hamas. Izraelczycy chętnie jeżdżą odpoczywać na półwysep Synaj, ale raczej nie zapuszczają się do miast, które nie są kurortami, choćby do Kairu. Egipcjanie z kolei rzadko nawet przed pandemią przekraczali izraelską granicę – w 2019 r. przyjechało ich jedynie ok. 8 tys.

Najnowsze wysiłki dyplomatyczne nie zmienią prawdopodobnie relacji

FOT. ISRAELIPM

eprasa.pl 2b0bcd76fd

między narodami, ale mogą się okazać istotne dla władz, szczególnie teraz, gdy Bliski Wschód zaczyna odczuwać skutki rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Rosja i Ukraina są kluczowymi eksporterami pszenicy, która jest podstawą diety w krajach regionu. Niestety, działania wojenne w znacznej mierze utrudniły dostawy, co boleśnie mogą odczuć Egipcjanie. Ich ojczyzna jest bowiem największym na świecie importerem tego zboża, a większość kupuje właśnie w Moskwie i Kijowie. Aby zaspokoić potrzeby przeszło 105-milionowej populacji, która wciąż rośnie, rząd subsydiuje *aisz baladi* – arabski chleb. Obywatelom przysługuje pięć chlebków po pięć piastrów (około grosza) za sztukę. Bez tego trudniej byłoby przeżyć w kraju, w którym niemal jedna trzecia ludności żyje poniżej granicy ubóstwa, za ok. 8,5 zł dziennie.

Na egipskiej ulicy już widać efekty rosnących globalnie cen zboża. Ceny wypieków nieobjętych programami wsparcia wzrosły w niektórych przypadkach nawet o 50%. Rząd zdecydował się na wprowadzenie limitów cen, poszukuje także alternatywnych dostawców zboża. W tym ma pomóc właśnie Tel Awiw, korzystając z dobrych relacji z takimi wielkimi producentami pszenicy jak Stany Zjednoczone czy Indie.

Izrael ma pomóc Egiptowi w znalezieniu dostawców zboża na miejsce Rosji i Ukrainy

Obawy przed Teheranem

Izraelczycy mogą także pośredniczyć w napiętych ostatnio relacjach Abu Zabi z Waszyngtonem. Najświeższym powodem jest niechęć ZEA i Arabii Saudyjskiej do zwiększenia produkcji ropy naftowej, mimo że tego oczekują od nich Amerykanie.

Według monarchii naftowych Półwyspu Arabskiego kluczowe są ich zobowiązania wobec OPEC+, czyli nieformalnego kartelu ustalającego światowe ceny, w którego skład wchodzi Rosja. W ramach tego porozumienia wyznaczane są kwartalne kwoty produkcji i ani Muhammad ibn Zajid, ani saudyjski książę koronny Muhammad ibn Salman nie zgodzili się na odstępstwo od wcześniejszych ustaleń. Według „Wall Street Journal" unikają oni rozmów telefonicznych z Joem Bidenem, choć amerykański prezydent o to zabiega. Biały Dom zaprzeczył tym doniesieniom, ale faktem jest, że do żadnej oficjalnie zakomunikowanej rozmowy nadal nie doszło.

Zarówno ZEA, jak i Arabia Saudyjska mają możliwość zwiększenia wydobycia ropy w krótkim czasie. Według dziennika „Ha-Arec" premier Naftali Bennett będzie się starał przekonać je do tego. W międzyczasie Stany Zjednoczone szukają jednak innych źródeł dostaw, np. w Wenezueli i Iranie. Tel Awiw i Teheran są od lat zaciekłymi wrogami, a na dworze Saudów i Nahajjanów z obawą patrzy się na możliwe wskrzeszenie porozumienia JCPOA (The Joint Comprehensive Plan of Action), czyli umowy regulującej program nuklearny Iranu, której głównym celem ma być zapobieżenie zbudowaniu przez Teheran broni jądrowej. Według polityków w Izraelu i na Półwyspie Arabskim mechanizmy JCPOA nie zapewniają wystarczającej kontroli nad programem, przez co Iran wciąż będzie stanowił zagrożenie. Nawiązanie porozumienia zdejmie z Iranu przynajmniej część sankcji, nałożonych po jednostronnym wycofaniu się Waszyngtonu z umowy w 2018 r. Umożliwi to Teheranowi względnie normalny dostęp do światowych rynków i odbudowę gospodarki po kryzysie.

Izrael nie przyłączył się do sankcji nakładanych na Moskwę i zablokował sprzedaż Kijowowi systemu obrony przeciwrakietowej Żelazna Kopuła.

Trwający w Wiedniu proces negocjacyjny utknął jednak, choć zarówno amerykańska, jak i irańska delegacja zapowiada, że to już ostatnia prosta. Izraelczycy widzą dla siebie szansę we wzmożeniu wysiłków dyplomatycznych mogących opóźnić umowę i zawiązać regionalny sojusz państw, które również widzą w Iranie zagrożenie.

Między Moskwą a Kijowem

Należało jednak szukać wsparcia także w krajach, które biorą udział w rozmowach i mają realny wpływ na przebieg – lub stagnację – procesu. A takim krajem jest Rosja, w oczywisty sposób skonfliktowana z pozostałymi uczestnikami negocjacji.

To prawdopodobnie jeden z powodów, dla których Naftali Bennett nie tylko prowadzi rozmowy telefoniczne z Władimirem Putinem, ale nawet w sobotę 5 marca poleciał do Moskwy. To o tyle zaskakujące, że Bennett jest ortodoksem, a ścisłe reguły judaizmu zabraniają podróży w szabat. Otoczenie polityka tłumaczyło, że odstępstwo od zasad wiary jest możliwe, kiedy chodzi o ratowanie życia. Oficjalnym celem podróży Bennetta były w końcu mediacje, które miałyby doprowadzić do rozejmu między Rosją a Ukrainą i w konsekwencji do zatrzymania wojennej przemocy.

Dzisiaj widać, że te rozmowy niczyjego życia nie uratowały, nie spodobały się też Wołodymyrowi Zełenskiemu. Ukraiński prezydent podczas przemowy do izraelskich parlamentarzystów 20 marca, która transmitowana była również publicznie na placu Habima w Tel Awiwie, zaznaczył, że „można pośredniczyć między państwami, ale nie między dobrem a złem", a do tego sprowadza się jego zdaniem konflikt rosyjsko-ukraiński.

Zełenski porównał działania Rosji do Holokaustu, oskarżając Moskwę o stosowanie nazistowskiej retoryki i planowanie „ostatecznego rozwiązania problemu ukraińskiego". Wielu parlamentarzystów odebrało te słowa bardzo negatywnie. Juwal Steinitz, reprezentujący opozycyjny Likud prowadzony przez byłego premiera Beniamina Netanjahu,

eprasa.pl 2b0bcd76fd

zaznaczył nawet, że „graniczą one z negowaniem Zagłady". Ukraiński przywódca nie oszczędzał jednak Izraelczyków, także dlatego, że od wielu miesięcy prosił o wsparcie wojskowe, którego nie uzyskał.

Według monarchii naftowych Półwyspu Arabskiego kluczowe są ich zobowiązania wobec OPEC+, w którego skład wchodzi Rosja.

Izrael nie przyłączył się do zachodnich sankcji nakładanych na Moskwę i zablokował sprzedaż Kijowowi systemu obrony przeciwrakietowej Żelazna Kopuła, choć zielone światło dał temu współinwestor w Waszyngtonie, przy akceptacji zarówno republikanów, jak i demokratów. Jak stwierdził Zełenski, Izraelczycy będą musieli sami zadać sobie pytanie, dlaczego są przeciwni takim ruchom, i „będą musieli żyć z odpowiedzią".

Przemówienie Zełenskiego nie wstrząsnęło izraelskim rządem i nie zanosi się na to, by polityka w kwestii dozbrajania Kijowa rychło się zmieniła. Wszystko po to, by uniknąć antagonizowania Rosji. Na domiar złego wspólne śledztwo „Guardiana" i „Washington Post" wykazało 23 marca, że wcześniej Tel Awiw zablokował sprzedaż systemu szpiegowskiego Pegasus Ukrainie i Estonii. Umożliwienie regionalnym rywalom podsłuchiwania rosyjskich telefonów mogłoby być odebrane jako „akt agresji przeciwko rosyjskim służbom wywiadowczym", z którymi Tel Awiw utrzymuje współpracę.

Nie oznacza to jednak, że Izrael całkiem zostawił Ukrainę Rosjanom na pożarcie. Już w pierwszych dniach inwazji minister spraw zagranicznych Jair Lapid chwalił się wysłaniem transportu 100 ton pomocy humanitarnej, m.in. leków, namiotów, płaszczy i systemów oczyszczania wody. Jako pierwszy kraj postawił też szpital polowy w położonych w obwodzie lwowskim Mościskach, który kosztował 21 mln szekli. Izraelski personel nie tylko zapewnia tam pomoc medyczną dla uchodźców i mieszkańców, ale również szkoli lokalne zespoły.

Dla Bennetta i wielu innych Izraelczyków jest to powód do dumy, bo szpital niesie realną pomoc potrzebującym. Pomaga przy okazji w ocieplaniu wizerunku Izraela, który w Europie jest mocno nadszrpnięty konfliktem izraelsko-palestyńskim, a ostatnio także raportem Amnesty International, według którego Tel Awiw prowadzi politykę apartheidu zarówno wobec Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu, jak i swoich arabskich obywateli. Jeśli za sprawą bliskich kontaktów z państwami arabskimi, prób mediacji i działań humanitarnych zachodni dziennikarze i opinia publiczna choć na chwilę przestaną o tym mówić, ofensywa dyplomatyczna Bennetta okaże się przynajmniej częściowym sukcesem.

Jakub Katulski

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Protest przeciwko wykorzystywaniu seksualnemu i przemocy wobec kobiet, Paryż, listopad 2018 r.

Zły dotyk Republiki

Francja wciąż czeka na zderzenie z całą prawdą o masowym molestowaniu seksualnym

Mateusz Mazzini

Jesienią zeszłego roku szokowały już same liczby. Ponad 300 tys. nieletnich dotkniętych różnymi formami przemocy na tle seksualnym w ciągu siedmiu ostatnich dekad. Powalająca statystyka, nie tylko dlatego, że dotyczyła molestowania ze strony kapłanów Kościoła katolickiego. Opublikowany w październiku raport wewnętrznej komisji tamtejszego episkopatu jednoznacznie stwierdzał instytucjonalne zaniechania ze strony elit kościelnych. Wiedza o sprawcach była powszechna, do tego stopnia, że molestowanie wręcz znormalizowano. Francuscy księża nie musieli nawet tworzyć we współpracy ze zwierzchnikami złożonych strategii przetrwania, jak miało to miejsce chociażby w Polsce czy Ameryce Łacińskiej. Tuszowanie spraw, przenoszenie z parafii do parafii – rzadko sytuacja w ogóle tego wymagała.

Liczby przetrwały w nagłówkach serwisów informacyjnych zaledwie kilka dni. Potem jeszcze przez chwilę głośno było o odszkodowaniach, które Kościół zdecydował się wypłacić ofiarom, i potrzebie sfinansowania ich poprzez sprzedaż kościelnych dóbr czy nieruchomości. Z czasem temat jednak przepadł. Również dlatego, że, jak pisze poświęcony tematom religijnym magazyn „Tablet", w wielu krajach Europy Zachodniej, w tym we Francji, Kościół katolicki stał się wręcz synonimem instytucji do cna przeżartej zgnilizną moralną i skandalami seksualnymi. Ich skala mogła zatem dziwić, ale tylko przez chwilę. Sam fakt, że przez dziesięciolecia tysiące dzieci, głównie chłopców, były krzywdzone przez duchownych, nikogo już nad Sekwaną ani nie dziwi, ani nie interesuje.

W domowym zaciszu

Równie dobrze można by w tym tekście postawić końcową kropkę właśnie teraz. Opinia publiczna poznała skalę procederu i wyraziła oburzenie. Hierarchowie posypali głowy popiołem i zaczęli wypisywać czeki. Kościół obiecał odnowę moralną, politycy zapowiedzieli twardą rękę wobec sprawców. Problem w tym, że na mężczyznach w koloratkach i ich nieletnich podopiecznych wcale nie się kończy. Zjawisko sięga głęboko w struktury państwa i życia publicznego, przenika do tkanki społecznej niczym rak. I tak samo jak rak największe szkody wyrządza po cichu. Tam, gdzie nie sięgają żadne komisje śledcze.

Molestowanie seksualne we francuskich rodzinach nie jest tematem nowym. Ma historię równie długą jak współczesna Francja. Stosunki fizyczne pomiędzy spokrewnionymi osobami, najczęściej mniej lub bardziej wymuszone i zachodzące w hierarchicznych relacjach, długo nie były jednak potępiane. Tabu – owszem. Ale nie pogarda. Również dlatego, że kwestii tej towarzyszyła stara burżuazyjna norma poszanowania tradycji rodzinnych. O wielu rzeczach można było we Francji rozmawiać publicznie, spierać się, nawet pojedynkować, ale nie o tym, co kto robi we własnych czterech ścianach.

Dlatego kiedy Camille Kouchner wydała w styczniu 2021 r. książkę „La Familia grande" (Wielka rodzina), tabu złamała w dwóch miejscach jednocześnie. Opisała historię swojego życia jako przyrodniej córki Oliviera Duhamela, byłego deputowanego do Parlamentu Europejskiego, znanego w kraju politologa i wykładowcy akademickiego. Duhamel według relacji Kouchner miał molestować seksualnie jej brata bliźniaka, Juliena, gdy ten był nastolatkiem, pod koniec lat 80. Sprawa odbiła się w kraju głośnym echem nie tylko z tego powodu. Autorka, prywatnie znana prawniczka i biologiczna córka współzałożyciela Lekarzy bez Granic Bernarda Kouchnera, przystawiła lustro wielkomiejskiej klasie średniej i wyższej.

Duhamel, podobnie zresztą jak jego skandal, był w pewnym sensie uosobieniem całego segmentu francuskiego społeczeństwa. Stara, tradycyjna, burżuazyjna rodzina, na czele której stoi powszechnie szanowany patriarcha. Polityk, wykładowca akademicki, polemista najważniejszych mediów. Wokół niego – tłum

eprasa.pl 2b0bcd76fd

podobnych mu intelektualistów. Lewicujących, ale wiernych tradycji. Szanowanych za granicą (Duhamel wykładał m.in. na uniwersytetach w Waszyngtonie i Nowym Jorku), ale na stałe związanych z rodzimymi instytucjami akademickimi. To one – Sciences Po, czyli Instytut Nauk Politycznych w Paryżu, biznesowa szkoła HEC Paris, oraz będąca kuźnią kadr w dyplomacji i administracji publicznej ENA, Krajowa Szkoła Administracji – zapewniają etykietki, po których identyfikuje się francuskie mieszczaństwo. W takim środowisku dorastała Camille Kouchner, zna je więc lepiej niż niejeden socjolog czy obserwator życia publicznego.

To właśnie krytyka francuskiej inteligencji była tak naprawdę tematem jej książki. Ojczymowi zarzucała molestowanie brata, a jego znajomym obłudę. Według jej relacji mieli doskonale wiedzieć o zboczeniach Duhamela i milcząco je tolerować. W domyśle również dlatego, że przynajmniej część z nich podzielała stosunek byłego europosła do kontaktów fizycznych z nieletnimi, czy to w rodzinie, czy poza nią. Kouchner w dość niewybredny sposób sugeruje w książce, że wykorzystywanie seksualne dzieci było uznawane za przyjemną dewiację, nieszkodliwą słabość, na którą wybitni obywatele mogą sobie przecież pozwolić. Bronią ich w końcu zasługi dla Republiki, w ich blasku zły dotyk przestaje być dostrzegalny.

Wyciąganie trupów z szafy

Prawniczka Kouchner doskonale wiedziała, co robi. Książkę mogła opublikować dużo wcześniej, ale czekała na zmianę prawa. Przestępstwa seksualne dotyczące członków rodziny przedawniały się po 20 latach, lecz w 2019 r. okres ten wydłużono do 30 lat, liczonych od uzyskania pełnoletniości przez ofiarę. Sprawą Duhamela musiała więc się zająć prokuratura. Oskarżony początkowo zaprzeczał rewelacjom pasierbicy, ale prewencyjnie zrezygnował ze wszystkich zajmowanych stanowisk publicznych, jako powód podając „bycie ofiarą bezprecedensowej fali ataków medialnych". Trzy miesiące później zmienił front. Francuskie media donosiły w kwietniu zeszłego roku, że były europoseł przyznał się śledczym do krzywd wyrządzonych nastolatkowi.

Szybko okazało się, że tym wyznaniem pociągnął na dno wielu swoich znajomych. W tym minister sprawiedliwości Élisabeth Guigou, która zaprzeczała, że wiedziała o molestowaniu, jednak jej bliska znajomość z Duhamelem kazała w to wątpić. Gorzkiej ironii dodaje tej sytuacji fakt, że Guigou zasiadała też w krajowej komisji ds. kazirodztwa.

Nad Sekwaną zjawisko molestowania seksualnego sięga głęboko w struktury państwa i życia publicznego.

Po publikacji książki Kouchner Francuzi zaczęli się zachowywać, jakby do ich dusznych apartamentów ktoś nagle wpuścił świeże powietrze. Skandal wokół Duhamela zbiegł się w czasie z innymi niemal rewolucyjnymi procesami społecznymi. Młodzi obywatele zaczęli powoli godzić się z prawdą o kolonialnej przeszłości swojego kraju, przyjmując na rodzimy grunt postulaty amerykańskiego ruchu Black Lives Matter. Coraz więcej mówiło się o #MeToo, ruchy społeczne zaczęły wywierać na władzach presję w kwestiach marginalizacji dzieci z rodzin imigranckich, przemocy na przedmieściach, agresji na tle rasowym, a nawet zwrotu dawnym koloniom zagrabionych dzieł sztuki. Każdy taki społeczny postulat oddzielnie znaczył niewiele. Zsumowane jednak zapowiadały, że we Francji idzie nowe i czas wyciągać trupy z szafy.

„Wielka rodzina" dała początek ruchowi #MeToolnceste – #JaTeżKazirodztwo. W internecie pod tym hashtagiem zaczęły się pojawiać wyznania ofiar przemocy seksualnej w rodzinach. Podobnie jak w przypadku molestowania w Kościele sam fakt nie był dla nikogo we Francji szokiem, co zresztą potwierdza tezę Kouchner o powszechnej wiedzy na temat molestowania. Bulwersowały za to liczby, sięgające dziesiątek tysięcy. Rok wcześniej francuski oddział pracowni sondażowej Ipsos przeprowadził badanie na temat stosunków seksualnych w gronie rodzinnym (również względem osób niespokrewnionych biologicznie, bo je też obejmuje we Francji definicja kazirodztwa). Co dziesiąty respondent przyznał się, że był ofiarą czynu zabronionego ze strony osoby bliskiej. Dopiero jednak nadanie temu zjawisku konkretnej twarzy wywołało powszechną debatę na temat molestowania wewnątrz rodzin.

Sama Camille Kouchner podkreślała zresztą wielokrotnie w wywiadach, że chciała napisać książkę klasową i pokoleniową. Klasową, bo ujawniła w niej hipokryckie mechanizmy burżuazji. Pokoleniową, bo pokazała zwyrodniałą spuściznę ruchów studenckich 1968 r. Duhamel i ludzie z jego kręgu byli wtedy zaangażowani w rewolucję seksualną, którą potem zdecydowali się przenieść do własnych domów – kosztem dzieci i nastolatków, które wcale nie chciały być jej częścią.

Niewolnice seksualne

Molestowanie w rodzinach to niejedyny aspekt przestępstw seksualnych, z którym Francja musi się skonfrontować. Nadal w dużej mierze nieodkryta pozostaje skala nadużyć wobec sióstr zakonnych i kobiet związanych z Kościołem katolickim. Wbrew pozorom to inna historia niż ta, którą zajmowała się komisja episkopatu. Mechanizmy molestowania nieletnich, choć przerażające, są mimo wszystko dobrze już znane opinii publicznej. Co innego wykorzystywanie seksualne w zakonach.

O tym właśnie opowiada film dokumentalny „Seksualne niewolnice Kościoła", po raz pierwszy zaprezentowany w 2017 r., od niedawna dostępny również m.in. w telewizji kulturalnej ARTE. Autorzy dokumentu, Eric Quintin i Marie-Pierre Raimbault, opisują zatrważającą rzeczywistość, w której władza i autorytet wykorzystywane są w najgorszy możliwy sposób. Film nie dotyczy tylko

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2b0bcd76fd

francuskich zakonów, ale zawiera liczne wątki związane z podejściem do seksu w strukturach francuskiego Kościoła. Przemoc seksualna była walutą, sposobem na egzekwowanie swojej pozycji. Przepytywane przez dokumentalistów głównie byłe siostry zakonne opowiadają o krucyfiksach używanych do gwałtu na dziewczynkach, ale też o jednoznacznych rozkazach sióstr przełożonych uprawiania seksu z hierarchami kościelnymi.

Temat molestowania zakonnic długo pozostawał poza sferą publiczną, bo i tu monopol miał patriarchat. Patrzono przede wszystkim na mężczyzn, kobiety natomiast decydowały się zostać wewnątrz struktur kościelnych. Również dlatego, że nie miały za bardzo innego wyjścia. Pozbawione alternatywy, nierzadko skompromitowane w oczach konserwatywnych, wierzących rodzin, trwają w zakonach pomimo lat cierpienia i nadużyć ze strony przełożonych. Zdarzają się też przypadki manipulacji idącej tak daleko, że zahacza to już o kult i sekciarstwo.

Tak było najpewniej w przypadku braci Philippe, dwóch francuskich dominikanów, którzy wykorzystywali seksualnie młode siostry zakonne przychodzące do nich po rady. Mechanizm był prosty. Bracia mieli wpływową pozycję w założonej przez siebie w latach 70. społeczności, zwanej Wspólnotą św. Jana. To ruch skupiony wokół młodych ludzi, związanych z nurtem liberalnego, wielkomiejskiego katolicyzmu. Czyli znowu: inteligencja, burżuazja, duże miasta. Echa kazirodczych opowieści Camille Kouchner. W ciągu kilku dekad od założenia wspólnota stała się jednym z bardziej rozpoznawalnych ruchów religijnych we Francji, a bracia Philippe weszli na szczyt kościelnej hierarchii, ale tej nieformalnej, opartej bardziej na prestiżu niż tytułach. Młode zakonnice wykorzystywali wręcz w sposób instytucjonalny, najpierw mamiąc perspektywą duchowego rozwoju, potem robiąc z nich własne niewolnice seksualne. Tego rozdziału swojej czarnej przeszłości Kościół katolicki nad Sekwaną jeszcze nie wyjaśnił.

Konkluzja tego przekroju przestępczości seksualnej Republiki nie jest niestety optymistyczna. Wiele czynów zostało w ostatnich latach ujawnionych, ale nie wszystkie doczekały się rozliczenia i ukarania sprawców. Pozbawienie publicznych tytułów to dla nich często rzeczywiście cios w samo serce, bo ich pozycja opierała się na prestiżu. Konsekwencje prawne są jednak zupełnie inną kwestią. Książka Camille Kouchner doprowadziła do reformy prawa karnego i zdefiniowania na nowo wieku zgody na seks. Wywołała też do tablicy samego prezydenta Emmanuela Macrona, który publicznie zapewnił o solidarności z ofiarami bez względu na ich wiek i płeć. Z tych wszystkich zmian najważniejsza będzie ta, która jeszcze się nie zmaterializowała – zmiana społeczna. Złamanie raz na zawsze klasowego i generacyjnego tabu, zdjęcie ton pudru hipokryzji z twarzy francuskiego społeczeństwa. Bez tego Republika dalej będzie krzywdzić swoje dzieci złym dotykiem.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Polska – najwspanialsze dobro świata

Chciałem nie pisać o wojnie. Ale w marcu, kwietniu 2022 r. nie da się nie pisać w Polsce o wojnie. Wojna nie toczy się jeszcze na całym świecie, w Ukrainie giną Ukraińcy i Ukrainki, giną licznie żołnierze agresora, giną ludzie, miasta, wioski, przysiółki obracają się w perzynę.

Co tymczasem dzieje się tu, nad Wisłą? Patrząc na polskie reakcje, widzimy ogrom niszczących działań wojny wokół siebie. W Polsce trwa kanonada innego typu. Wzmożenia militarystycznego, pobudzenia wojennego, zmiany języka; rozpoczynają się polowania na czarownice. Oglądamy równocześnie spektakl przepoczwarzania się państwa skrajnie opresyjnego wobec uchodźczyń/uchodźców na granicy z Białorusią, prowadzącego działania o charakterze przestępczym i zbrodniczym (również wobec wymarzonego i akceptowalnego modelu uchodźcy: kobiety z dziećmi) w kraj najsprawiedliwszy, najbardziej solidarny i wspierający na świecie. Tak przynajmniej wynikało z przemówienia, o, pardon, orędzia Andrzeja Dudy, z największą miłością własną przemiędlającego w ustach tytularne zaklęcie „ja jako prezydent Rzeczypospolitej". Władza jak zawsze lubi się pożywić aktywnością społeczną; ciężar pomocy, rozlokowania, żywienia, transportowania uchodźców zostawić społecznemu poruszeniu, rzeczywiście w imponującym wymiarze – a zasługami obsypać siebie.

W tym samym jednak momencie, kiedy pomoc otrzymują 2 mln przybyszów z Ukrainy, garstka takich samych uchodźców na białoruskiej granicy przechodzi piekło pushbacków, pobić, przepychania na białoruską stronę, głodu, zimna i pragnienia. W ciszy. Nie licząc sali sądowej, gdzie za działania identyczne jak te, które podejmują tysiące pomagających Ukrainkom Polaków, inni świadczący pomoc i udzielający schronienia uchodźcom stają jako oskarżeni o ciężkie przestępstwa. Bo ci, którym pomagają, mają inny, ciemniejszy odcień skóry. Rasizm, który kwitnie z mocą większą niż wiosenne przebudzenie natury, pozostaje niewidoczny dla nas jako społeczeństwa. Pomaganie Ukrainie niweluje potworności znad granicy z Białorusią. Nie sposób to ogarnąć.

Danuta Kuroń napisała w tej sprawie list do amerykańskiego ambasadora Marka Brzezinskiego przed wizytą prezydenta Joego Bidena w Polsce. Apeluje w nim m.in.: „Ambasada Amerykańska w Warszawie z pewnością zna sprawę referowaną rzetelnie, kompetentnie i wyczerpująco przez Grupę Granica. Na podstawie specustaw i rozporządzeń, łamiących prawo polskie i międzynarodowe, już siódmy miesiąc na granicy polsko-białoruskiej dokonuje się zbrodnia przeciw ludzkości.

Sprawcami tej zbrodni są różnego typu formacje mundurowe wykonujące politykę państwa polskiego, zaś ofiarami tej zbrodni są uchodźcy z krajów dotkniętych wojną, łamaniem praw człowieka i głodem, w tym cierpiące na bagnach i w lasach małe dzieci. (...) My, narody żyjące na »skrwawionych ziemiach«, na których dokonała się Zagłada, wiemy, że systemowy rasizm prowadzi do zbrodni przeciw ludzkości. Jesteśmy obecnie tego świadkami i wiedzę tę przekazujemy całemu wolnemu światu. (…) Jeśli Polska będzie rasistowska, to nie pomoże Ukrainie.

Jestem pewna, że jeśli Joe Biden dowie się, o czym piszę, to będzie wiedział, co robić, by misją humanitarną, monitorowaną przez niezależne media i stosowne instytucje, objęta została cała wschodnia granica państwa polskiego".

Nie wiem, czy Joe Biden się dowie. Nie wiem, czy jest miejsce dzisiaj na takie zakwestionowanie pęczniejącej dumy z pomagania Ukrainie, kultywowania wrogości wobec całej Rosji, niszczenia pomników-grobów żołnierzy radzieckich (wśród nich jakże wielu Ukraińców z Armii Czerwonej), atakowania nielicznych, którzy, jak choćby August Grabski z Uniwersytetu Warszawskiego, komentują wydarzenia za naszą wschodnią granicą. Zwykli, dobrzy, spokojni i rozsądni ludzie pędzą na strzelnice. W Polsce rodzi się klimat maccartyzmu z głębokich lat 50. w USA, trwa poszukiwanie szpiegów, trolli, w najlepszym razie „pożytecznych idiotów" – cały naród ściga tych, którzy nie brzmią w zgodnym wojennym chórze. Wojna usunęła rzeczywistość w niebyt. Nie ma już innych kwestii. Wszystkie nasze problemy stały się nieistotne, nieistniejące, niegodne podjęcia. Wojna już zwyciężyła w polskich głowach. W polskich tekstach, deklaracjach. Na pokój jest znowu za wcześnie. Wygrywa straszliwa manichejska wizja świata opisywanego za pomocą religijnych mitów: szatana, diabła, imperium zła. Zła dużą literą nawet. Ale Zła nie ma. Są potworne, złe czyny konkretnych ludzi, tych wydających rozkazy i tych je wykonujących. Ci ludzie są oczywiście Rosjanami, ale nie wszyscy Rosjanie są na tej wojnie. Złe czyny są też udziałem Ukraińców, Gruzinów, Polaków, Amerykanów. To nie jest wojna Dobra ze Złem. To jest wojna imperium rosyjskiego z chcącą o sobie stanowić Ukrainą. Po stronie Ukrainy stoją także ci, którzy w innym czasie i miejscu czynili identyczne zło. Manicheizm jest abdykacją myślenia. W dymach wojny możemy nie zauważyć rozpalanych stosów dla antymanichejskich czarownic.

Wojna już zwyciężyła w polskich głowach. Na pokój jest znowu za wcześnie.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Pora na nowe technologie

Jak nauka odpowie na kryzys na rynku paliw i metali ziem rzadkich wywołany wojną w Ukrainie

Marek Czarkowski

Firmy Ingas z Mariupola oraz Cryoin z Odessy znane są w Polsce bardzo wąskiej grupie specjalistów zajmujących się technologią produkcji mikroprocesorów. Dostarczają one na rynki światowe od 70% do nawet 90% wysokiej jakości neonu – gazu szlachetnego niezbędnego do produkcji tych układów.

11 lutego br., 2 tygodnie przed atakiem wojsk rosyjskich na Ukrainę, amerykańska administracja ostrzegła koncerny Intel, Apple, AMD i Qualcomm przed konsekwencjami wstrzymania dostaw neonu. Przypomniano, że w roku 2014, po zajęciu przez Rosję Krymu, jego cena wzrosła o 600%.

Producenci mikroprocesorów potrzebują rocznie ok. 540 ton tego gazu. I nie da się go niczym innym zastąpić. By produkować mikroprocesory, które są sercem każdego komputera, konsoli do gier, telewizora, smartfona, routera, samochodu – zwłaszcza elektrycznego, a nawet pralki czy lodówki, potrzebne są nowoczesne urządzenia fotolitograficzne, które można porównać do gigantycznych drukarek komputerowych.

Największym na świecie ich producentem jest holenderski koncern ASML z siedzibą w Veldhoven, zatrudniający 31 tys. osób. Dostarcza on 67% sprzedawanych na świecie maszyn litograficznych. Jego konkurenci to Ultratech, Canon i Nikon.

Wśród klientów ASML najważniejszy jest tajwański koncern TSMC (Taiwan Semiconductor Manufacturing Company) zatrudniający ponad 50 tys. pracowników, produkujący mikroprocesory dla Apple'a, AMD, VIA Technologies czy Nvidii oraz chińskich producentów smartfonów. I uważany za najbardziej zaawansowane pod tym względem przedsiębiorstwo na świecie.

Szukając nowych źródeł metali ziem rzadkich, zwrócono uwagę na recykling oraz przeróbkę tego, co do niedawna było traktowane jako odpad.

Sercem każdej maszyny fotolitograficznej jest laser, który wykorzystuje mieszankę gazów, w tym neonu. Jeśli tego gazu zabraknie, linie technologiczne TSMC, Samsunga, Intela i innych producentów mikrochipów staną. Konsekwencje mogą być niewyobrażalne, gdyż współczesna cywilizacja opiera się na mikroprocesorach i pamięciach komputerowych. Gdy w roku 2020 z powodu pandemii stanęły chińskie fabryki produkujące mało skomplikowane chipy stosowane w przemyśle motoryzacyjnym, na całym świecie ograniczono produkcję samochodów w oczekiwaniu na dostawy nowych układów. Teraz może być znacznie gorzej.

Na początku marca br. amerykańscy eksperci szacowali, że zapas neonu zgromadzony przez producentów mikrochipów wystarczy na sześć tygodni. Cztery tygodnie już minęły.

Ingas z Mariupola podobno leży w gruzach tak jak całe miasto, a odeski Cryoin wstrzymał produkcję. Należy wyjaśnić, że Ukraińcy zajmowali się jedynie oczyszczaniem neonu. Surowiec w przypadku Ingasu pochodził z należących do ukraińskiego oligarchy Rinata Achmetowa zakładów metalurgicznych Azowstal, na terenie których broni się dziś batalion Azow. Odeski Cryoin sprowadzał surowiec z Federacji Rosyjskiej.

Koncern ASML od początku konfliktu rozpoczął poszukiwania dostawców wysokiej jakości neonu, głównie w Chinach. Ruszyły też prace nad nowymi technologiami produkcji tego gazu. Na pewno znajdzie się rozwiązanie, ale będzie kosztowało. Dlatego możemy wkrótce się spodziewać podwyżek cen wszystkich urządzeń elektronicznych.

Co z metalami ziem rzadkich?

Nowoczesny przemysł, zwłaszcza zbrojeniowy, nie może bez nich się obejść. To grupa 15 pierwiastków – lantan, cer, prazeodym, neodym, promet, samar, europ, gadolin, terb, dysproz, holm, erb, tul, iterb, lutet, a także skand i itr. Występują one na Ziemi dość powszechnie, lecz ich zawartość w rudach jest niska, co oznacza, że wydobycie i wzbogacanie ich jest bardzo kosztowne. Znajdują one zastosowanie w produktach określanych mianem high-tech. Spotykamy je w nowoczesnych telewizorach, laserach, świecach zapłonowych, kuchenkach mikrofalowych. Bez nich nie mielibyśmy twardych dysków, tomografów komputerowych, samochodów o napędzie hybrydowym, nowych rodzajów uzbrojenia itp.

Liderem w produkcji metali ziem rzadkich są Chiny, lecz w ostatnich latach wzrosło znaczenie Rosji i Ukrainy. Szacunki mówią, że ta ostatnia dysponuje złożami metali ziem rzadkich oraz metali nieżelaznych

MediaMarkt nie działa w Rosji

Firma MediaMarkt przysłała do redakcji oświadczenie, w którym czytamy m.in.: „Od 2018 r. nasza marka nie posiada sklepów w Rosji, co oznacza, że nie prowadzimy żadnych działań operacyjnych na tym rynku. W ramach solidarności z narodem ukraińskim wycofaliśmy z naszej oferty produkty rosyjskich firm. (…) MediaMarkt nie jest już częścią Grupy Metro".

eprasa.pl 2b0bcd76fd

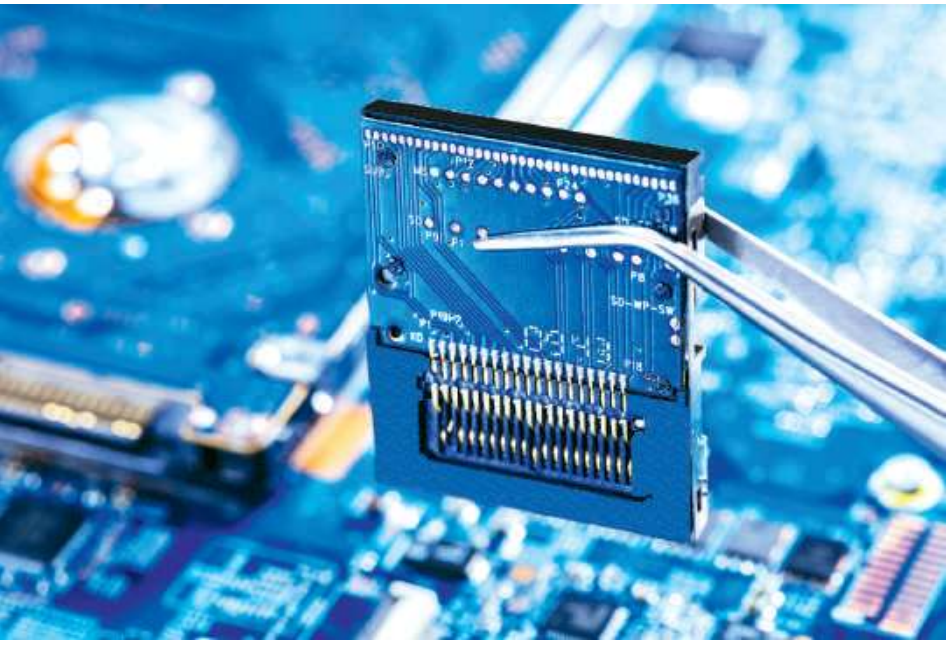

Jeśli zabraknie neonu, staną linie technologiczne produkcji mikrochipów.

– litu, tytanu, niklu, kobaltu, chromu, tantalu, niobu, berylu, cyrkonu, skandu, molibdenu i złota o wartości nawet 8 bln dol. Rosja z kolei jest największym na świecie producentem i eksporterem palladu, niezbędnego do produkcji katalizatorów samochodowych, i platyny powszechnie stosowanej w zakładach chemicznych. Produkuje też znaczne ilości tytanu używanego przez koncerny zbrojeniowe.

niedawna było traktowane jako odpad. Przy wysokich cenach takie rozwiązania stają się opłacalne. Wyzwaniem jest czas. Opracowanie nowych technologii wymaga co najmniej kilku lat. A za dostawy zarówno metali ziem rzadkich, jak i metali nieżelaznych oraz metali szlachetnych trzeba płacić już dziś. I to niemało.

Rosja o tym wie i choć na razie nie wykonuje gwałtownych ruchów, to wprowadzenie embarga na sprzedaż

Rosyjskie surowce energetyczne możemy zastąpić wodorem.

Ukraińskie złoża tych cennych surowców znajdują się głównie we wschodnich okręgach kraju, zajętych dziś przez wojska rosyjskie. Producentem i eksporterem palladu jest zaś koncern Norylski Nikiel należący do obłożonego sankcjami oligarchy Olega Dieripaski. Na razie sprzedaż tego metalu szlachetnego odbywa się bez przeszkód. Lecz co będzie w przyszłości?

Nic dziwnego, że przedsiębiorstwa zajmujące się tymi pierwiastkami zaczęły poszukiwania nowych źródeł zaopatrzenia i nowych technologii produkcji. Zwrócono uwagę na recykling oraz możliwości przeróbki tego, co do

platyny i palladu oraz położenie ręki na bogatych ukraińskich złożach byłoby niezwykle bolesne dla gospodarek krajów zachodnich.

Jeśli więc Europa chce się uniezależnić od rosyjskich dostaw i przynajmniej ograniczyć wpływy Chin, musi przeznaczyć ogromne środki na opracowanie nowych technologii, które zmniejszą albo wręcz wyeliminują stosowanie metali ziem rzadkich i metali nieżelaznych w produkcji.

Energia z wodoru

To najprostsza część wyzwania, przed którym stanęliśmy w związku z wojną w Ukrainie. Rosyjskie surowce energetyczne możemy zastąpić wodorem – pierwiastkiem najpowszechniej występującym we wszechświecie.

Weźmy amoniak – nieorganiczny związek chemiczny azotu i wodoru – mający szerokie zastosowanie w przemyśle i rolnictwie. Produkowane są z niego nawozy sztuczne. Ponad 100 lat temu niemiecki chemik Fritz Haber opracował metodę syntezy amoniaku z wykorzystaniem azotu z powietrza i naturalnego metanu jako źródła wodoru, za co w 1918 r. otrzymał Nagrodę Nobla. Inny niemiecki chemik, Carl Bosch, udoskonalił ją, dlatego dziś nazywa się ją metodą Habera i Boscha.

Obecnie zamiast metanu powszechnie stosowany jest gaz ziemny. Z pozyskanego tak amoniaku produkuje się nawozy azotowe, tworzywa sztuczne, materiały wybuchowe, farmaceutyki…

Od kilku lat uczeni z wielu krajów pracują nad technologią wytwarzania „zielonego amoniaku", czyli substancji przyjaznej środowisku. Jednym z pomysłów jest produkcja wodoru przy użyciu energii pochodzącej z odnawialnych źródeł. Przykładem mogą być prace chemików z Uniwersytetu Nowej Południowej Walii i Uniwersytetu w Sydney, umożliwiające wytwarzanie „zielonego" amoniaku z powietrza, wody i energii elektrycznej pochodzącej z OZE. Ich metoda nie wymaga wysokich temperatur, wysokiego ciśnienia czy rozbudowanej infrastruktury.

Co ciekawe, w te nowoczesne technologie inwestuje również największy koncern paliwowy świata – Saudi Aramco. Uzyskuje on wodór z produktów pochodnych ropy naftowej, następnie przerabia go na amoniak, który jest traktowany jako magazyn wodoru. Amoniak jest łatwiejszy i bezpieczniejszy w transporcie, a jeśli użyjemy go do opalania w elektrowni, produktem ubocznym będą azot i woda.

Dalej poszli naukowcy z Uniwersytetu Wisconsin-Madison, opracowując metodę produkcji energii elektrycznej w ogniwie paliwowym, w której amoniak i ruten (metal szlachetny) reagują na powierzchni

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2b0bcd76fd

elektrody, wytwarzając czystą energię. Badacze sądzą, że w przyszłości może to doprowadzić do wyeliminowania węgla jako paliwa.

Saudyjska spółka ACWA Power International zawarła umowę z amerykańską firmą Air Products & Chemicals, na mocy której ma powstać fabryka amoniaku zasilana energią odnawialną. Wartość inwestycji – 5 mld dol.

Rozwijane są też technologie produkcji np. paliwa lotniczego z dwutlenku węgla. W październiku 2021 r. amerykańska spółka Twelve wyprodukowała pierwsze paliwo lotnicze bez obecności paliw kopalnych. Nazwano je E-Jet. Jej inżynierowie zbudowali elektrolizer dwutlenku węgla z membraną polimerowo-elektrolitową wykorzystującą katalizatory rozkładające dwutlenek węgla przy użyciu wody i odnawialnej energii elektrycznej. Produktem był sygnaz (gaz syntezowy składający się z tlenku węgla oraz wodoru), który następnie przekształcano w paliwo lotnicze.

Od lat w Unii Europejskiej rozwijane są technologie wytwarzania energii z wodoru. Czy to w ogniwach paliwowych, czy w silnikach spalinowych, w których zamiast benzyny stosowany jest wodór. Przodują w tym Niemcy, którzy od lat inwestowali w przyjazne środowisku technologie. Lecz o powodzeniu bądź niepowodzeniu nowych rozwiązań, które mogłyby się stać alternatywą dla tradycyjnych paliw kopalnych, decydować będzie ich koszt.

Ruszyły prace nad nowymi technologiami produkcji neonu. Ale będzie to bardzo kosztowne.

Zilustrujmy to przykładem. Rosyjskie przedsiębiorstwa wydobywające wysokiej jakości węgiel kamienny na Syberii metodą odkrywkową pozyskują tonę tego surowca za 5-7 dol. W Polsce koszt wydobycia tony węgla oscyluje wokół 50 dol. Dlatego rosyjskie firmy łatwo mogą sprzedawać swój produkt, bo oferowana przez nie cena zawsze będzie niższa. Ta sama zasada dotyczy rynku gazu ziemnego i ropy naftowej. Dziś rekordowo wysokie ceny surowców energetycznych wręcz zmuszają do poszukiwań alternatywnych rozwiązań.

Kraje zachodnie w związku z wojną w Ukrainie deklarują odejście od rosyjskich surowców w ciągu trzech-czterech lat. Bardziej realny wydaje się rok 2030. I to przy założeniu, że uda się opracować względnie tanie technologie produkcji energii elektrycznej i zastąpić ropę naftową, gaz ziemny oraz węgiel kamienny w przemyśle chemicznym.

Podobnie rzecz się ma z palladem, platyną i innymi metalami, których dostawcą jest lub w przyszłości będzie Rosja. Oznacza to gigantyczny wysiłek finansowy i intelektualny. Możemy jedynie mieć nadzieję, że jako część zjednoczonej Europy mu sprostamy.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Skok w mrok

Z naszym Franiem jedziemy do Fundacji Atelier, to szkoła rysunku i malowania założona przez znajomą malarkę Teresę Starzec. Na Foksal, piękna secesyjna kamienica, dużo pomieszczeń, gęsto i kolorowo, masa dzieci i młodzieży, las sztalug. Lubię takie miejsca. Będziemy tu przywozić synka co sobota. Lubi malować i ładnie to robi. Ma to też być odtrutka na jego nałóg grania w gry komputerowe. Właściwie to chciałbym, aby był malarzem, ta sztuka chyba nawet bliższa mi niż literatura. Gdy zadzwoniłem w czwartek do Teresy, powiedziała: „No, nareszcie". Jakby czekała na mój telefon. Franio więc przy sztalugach – nie wiedział do tej pory, co to sztalugi – a my na spacerze: Nowy Świat, Krakowskie. Piękna pogoda, liczni mijani mówią po ukraińsku. Na straganach sprzedaż ukraińskich flag. W grupie Frania też kilku małych Ukraińców przyjętych na warsztaty gratisowo. A w jego klasie do dwóch chłopców doszła dziewczynka z Ukrainy. Jest coś poruszającego w skali pomocy dla Ukraińców, niemal wszyscy moi bliscy i dalsi znajomi, jeśli nie przyjmują Ukraińców pod swój dach, to coś dla uchodźców robią. Niezwykła moralna mobilizacja. PiS wyzwalało to, co w nas najgorsze, ale ten kryzys wyzwala, co najlepsze. Może to się jakoś zrównoważy. Chociaż reżimowe media już trują, już sączą swoje jady. Telewizja Kurskiego – szambo kłamstwa, jak Putinowska.

•

Jestem już w wieku, kiedy łatwiej dostrzec totalny absurd wojny. Najbardziej bezsensowna wojna w historii to chyba ta pierwsza światowa. Nadal nie jest oczywiste, dlaczego wybuchła. Marcin Król twierdził, że z nudów. Drugą już łatwiej wytłumaczyć – upokorzeniem Niemiec klęską w pierwszej i szaleństwem Hitlera. W czasie wojny z obu stron walczą żołnierze, próbują jedni drugich zabić lub okaleczyć, młodzi ludzie, dopiero co dzieci. W ruinę idzie dorobek pokoleń. A po latach, czasami bardzo niewielu, widać, że wojna była zupełnie niepotrzebna. I odwiedzamy się serdecznie wzajemnie jako turyści. Tak jest zawsze. Żal mi Rosjan tak samo jak Ukraińców. Oni też są ofiarami Putina. A dla dzieci ukraińskich atmosfera wojny jest traumą na całe życie.

Rosja z kraju umiarkowanie niedemokratycznego stała się z dnia na dzień krajem totalitarnym, a niektóre zdarzenia realizują wizje Orwella. Według zmian wprowadzonych w rosyjskim kodeksie karnym nie wolno w Rosji o najeździe na Ukrainę mówić inaczej niż „operacja specjalna". Nie ma więc wojny, nie ma najazdu. Za „wojnę" i „najazd" grozi aresztowanie i wyrok więzienia do 15 lat. Są bowiem wśród Rosjan – mówił Putin – „zdrajcy narodowi". Ci, którzy „żyją tam [na Zachodzie] nie w geograficznym sensie tego słowa, ale zgodnie ze swoimi myślami, ze swoim niewolniczym umysłem. (…) Nie oceniam tych wszystkich, którzy żyją w Miami (…) czy nie mogą obejść się bez ostryg i tzw. wolności genderowej. Nie w tym problem, ale w tym, że wielu ludzi mentalnie lokuje się tam, a nie tu. Nie z naszym narodem, nie z Rosją".

Wille i ostrygi w Miami są dla Putina wybaczalne, ale nie można wybaczyć, gdy przestaje się myśleć po rosyjsku, a zaczyna „po zachodniemu", choćby upominając się o jakieś obce „rosyjskiej duszy" prawa liberalnej demokracji, jakieś tam prawa człowieka, jakieś wolne wybory, tolerancję, te wszystkie zachodnie głupoty. Prawdziwy Rosjanin tego nie potrzebuje. Ale to właśnie zbliża Kaczyńskiego do Putina. Teraz jednak prezes staje się prozachodni, bo jak trwoga, to gdzie się przytulić, jak nie do Zachodu. Byle nie zarazić się przy okazji LGBT. Więc przytulamy się do Zachodu, ale w gumowych rękawiczkach.

> Przytulamy się do Zachodu, ale w gumowych rękawiczkach.

•

Produktem ubocznym wojny będzie militaryzacja Europy. I, co możliwe, ale niepewne, zmieni się mentalność Niemców. Może uznają, że skończyła się już ich pokuta za hitleryzm i będą od nowa budować swoją militarną potęgę. Co za paradoks, że będziemy w tym Niemcom kibicować. Kto by się tego kiedyś spodziewał. A ja się boję, że w Polsce wróci zasadnicza służba wojskowa, że nawet opozycja ją poprze, martwię się o swoje dzieci. Zniesienie jej to był wielki dar wolności.

•

Coraz częściej spotykam ludzi, którzy proszą: tylko nie rozmawiajmy o Ukrainie, Problem, że jak się mówi o czymś innym, to wszystko wydaje się błahe i niepoważne. No, może poważnie wygląda to, co chce zrobić za kilka miesięcy mój przyjaciel Tomek Kozłowski, psycholog, skoczek spadochronowy. Zaraz frunie do Kalifornii. Będzie w skafandrze kosmicznym skakać z wysokości 45 km, bijąc rekord świata. Skacze, by sfinansować domy dla bezdomnych. Podziwiam go, ja czuję lęk, gdy patrzę w dół z piątego piętra.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Trauma karmi się milczeniem i izolacją

Dzieci w przedszkolu wieszały lalkę. Zapytałem: co robicie? Wieszamy Putina

Rozmawia Beata Igielska

TOMASZ BILICKI
– psychoterapeuta, interwent kryzysowy, nauczyciel wiedzy o społeczeństwie, Inicjatywa Restart

W trudnych sytuacjach my, dorośli, mamy wyobrażenia na temat tego, co jest potrzebne dziecku lub młodemu człowiekowi. Tak było w pandemii, tak jest teraz z wojną. Rozmawiać z dziećmi na ten temat czy nie?

– Mamy swoje wyobrażenia w tym sensie, że jest jakiś jeden model reagowania na trudną sytuację. Najczęściej kierujemy się egotyzmem, wydaje nam się, że to, jak my reagujemy, jest reakcją właściwą i pewnie nasze dzieci będą reagowały podobnie. Musimy wiedzieć, że reakcje mogą być różne. Mogą być dzieci, które nie interesują się wojną ani nie przejmują. Inne się przejmują, ale nie dadzą tego po sobie poznać. Są takie, które bardzo się przejmują i chcą pokazać to cierpienie. Wszystkie reakcje są równouprawnione i możliwe.

Niektórzy chłopcy ze szkół ponadpodstawowych zamarzyli o pójściu w kamasze i walce za Ukrainę. Jedna z nauczycielek spytała, kto rano im zrobił śniadanie, kto przygotował ciuchy. Odpowiedź: mama. Skwitowała ją znaczącym milczeniem. Zrozumieli.

– Dziecko czasem myśli w sposób infantylny, ma dobre intencje, chciałoby pomóc. Małe dzieci pokazują wojnę symbolicznie. Widziałem, jak bawią się w przedszkolu. Wieszały lalkę. Zapytałem: co robicie? Wieszamy Putina. Generalnie trauma karmi się milczeniem. Najgorsze więc, co można zrobić, to milczeć, uznać: nie rozmawiamy na temat swoich uczuć i emocji, nie pokazujemy ich, dlatego że to nas skrzywdzi. W ogóle mamy tendencje ucieczkowe odnośnie do uczuć i emocji – jeśli dochodzi do jakiegoś zdarzenia, lepiej o tym nie rozmawiać. Bo jak zaczniemy rozmawiać, zaczniemy cierpieć i będzie nam jeszcze gorzej. Docelowo to nie jest model niosący ulgę. Przez chwilę może ci być lepiej, ale długofalowo ten model karmi traumę. Ten proces może skutkować syndromem stresu pourazowego, PTSD. Po doświadczeniu trudnego wydarzenia dochodzi do stworzenia patologicznej struktury strachu. Masz problem z powrotem do codzienności, zaczynasz się bać w sytuacjach, które nie stanowią realnego zagrożenia. Panicznie unikasz rozmawiania o tym, co tę strukturę strachu stworzyło. Przed trwałym urazem uchroni tylko przepracowanie poprzez skonfrontowanie się ze stresorem na trzech płaszczyznach: fakty, myśli, uczucia, w taki sposób, że wspomnienie o trudnym wydarzeniu przetworzysz emocjonalnie.

Jak to przełożyć na pracę z dziećmi i młodzieżą?

– Pokazywać własne uczucia i emocje, bo i tak dzieci wyczują, że mama się przejmuje, tata jest zestresowany. Dziecko widzi, że tata dusi coś w sobie, że milczy, izoluje się. Wyciąga więc wniosek, że z nim jest coś nie tak i że lepiej tego nie uzewnętrzniać. A jest odwrotnie, emocjonalne uzewnętrznianie traumy pomaga ją przepracować. Jest to szczególnie istotne, gdy dziecko ma kontakt z osobami, które mówią o wojnie, np. w szkole i przedszkolu, bo są tam dzieci, które uciekły z Ukrainy. Albo jeśli dziecko obejrzało z rodzicami program informacyjny, należy porozmawiać, co widziało, co o tym myśli, co czuje, jak możemy sobie teraz pomóc, żeby nam było lepiej. Nie koncentrujmy się na negatywnych informacjach, poszukujmy również pozytywnych. Pokażmy dziecku, że wiele osób w Polsce troszczy się o nasze bezpieczeństwo. Powiedzmy w języku adekwatnym do jego wieku, że nasza sytuacja jest inna niż sytuacja w Ukrainie. Że też zajmujemy się sobą, dbamy o siebie. To tak ważne.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Nie polecam wyszukiwania informacji wyłącznie o wojnie.

Dbanie o siebie jest szczególnie ważne, gdy jesteśmy pomagaczami.

– Zadzwonił do mnie znajomy, który pomaga, stwierdził, że czas zadbać o siebie, i poszedł z rodziną na obiad do restauracji. Nie mógł nic przełknąć, bo miał wyrzuty sumienia, że on siedzi w restauracji, a ludzie w Ukrainie głodują. Nie możemy tak robić, sami sobie wyrządzamy w ten sposób krzywdę. Pierwszą zasadą pomagania jest bezpieczeństwo pomagającego. Być może ta wojna, podobnie jak pandemia, wywoła pozytywną zmianę w naszych społeczeństwach: nauczymy się dbać o siebie. Jestem za tym, żebyśmy my, dorośli, rozmawiali z dziećmi o tej sytuacji, odpowiadali na ich pytania. Ale nie epatujmy wojną cały czas, bo bardzo ważne jest zadbanie o normalność w szkole i przedszkolu. Chodzi o to, żeby nie bać się tego tematu, żeby rozmawiać, jak redukuje się stres, jak oddychać, żeby zmniejszać napięcie, jaki stres jest pozytywny, a jaki negatywny. Pozytywny jest tylko zadaniowy, sytuacyjny, natomiast stres traumatyczny i permanentny nie jest pozytywny. Pamiętać należy o sobie, o tym, co sprawia nam radość. Warto robić taką psychoedukację w szkołach. To konkretna pomoc dla rodziców. Warto tworzyć płaszczyzny do wspólnego przepracowywania stresu.

Nie mam dobrych informacji dla introwertyków. Trauma karmi się nie tylko milczeniem, ale też izolacją, nie życzę nikomu, żeby został sam ze swoimi urazami.

Co pan sądzi o manifestacjach solidarności z Ukrainą typu oflagowanie przestrzeni, zamienianie tablic szkolnych w tablice o wojnie w Ukrainie, noszenie przypinek itp.

– Nie jestem zwolennikiem takich zachowań. Naszym zadaniem jest pomaganie osobom, które ucierpiały na tej wojnie, przepracowywanie traumy, ale musimy również uważać na niebezpieczeństwo dalszej traumatyzacji. Musimy mieć przestrzenie wolne od wojny, nie możemy cały czas o niej myśleć. Musimy ponadto mówić prawdę. A ta jest taka, że w Polsce wojny nie ma. Putin chce nas zastraszyć, nie pomagajmy mu w tym.

Wyczytałam, że dzieci do 12. roku życia należałoby chronić przed drastycznymi obrazami w mediach. Ale też chronić przed bezradnością: jeśli to ci pomoże, narysuj flagę ukraińską. Tak damy dzieciom sprawczość.

– Niekoniecznie do 12. roku życia, po prostu chodzi o dzieci. Chcemy je chronić, ale one mają internet, jest Instagram, Facebook, co chwila tam trafiają filmy z wojny. Należy w dziecku wyrobić poczucie, że nawet gdy obejrzało film z wojny, dobrym pomysłem jest pójście do dorosłego i pogadanie o tym. Przypomnę, pogadanie na trzech płaszczyznach: fakty, myśli, uczucia. Obejrzenie jakiegoś obrazka z wojny od czasu do czasu może być dobrym wyzwalaczem do rozmowy na ten temat, z jednoczesnym uświadomieniem sobie, jak trudna jest to sprawa. Opublikowałem karty pracy, których sam używam na lekcji o wojnie – tam nie ma żadnych drastycznych obrazów ani drastycznych informacji.

Najgorsze, co można zrobić, to milczeć, uznać: nie rozmawiamy na temat swoich uczuć i emocji.

Nawet gdy dziecko obejrzało film z wojny, dobrym pomysłem jest pójście do dorosłego i pogadanie o tym.

Dziś szafujemy pojęciami kryzys i trauma.

– Nie zdajemy sobie sprawy, że kryzys i trauma to coś zupełnie innego. Kryzys to reakcja na trudne wydarzenie, z którym nie potrafimy sobie poradzić. Trauma to względnie trwały uraz związany z zagrożeniem życia, przemocą, katastrofą. Dotyczy nie tylko naocznych świadków sytuacji zagrożenia życia lub osób, które same były zagrożone utratą życia. Z kolei traumy pośredniej doświadczają osoby będące w więziach lub relacjach z osobami, których życie było zagrożone lub były świadkami zagrożenia życia osób bliskich. Będziemy mieli w szkołach coraz więcej młodych ludzi straumatyzowanych działaniami wojennymi. Jest ryzyko poziomego przekazania traumy osobom, które z nimi się zaprzyjaźnią. Na to trzeba bardzo uważać. Może być też przekazywanie traumy pionowe – z pokolenia na pokolenie, tzw. transgeneracyjne przekazywanie traumy.

Zaraz czytelnicy zarzucą panu, że namawia pan do nieprzyjaźnienia się z Ukraińcami.

– Przeciwnie. Zwracam uwagę, że szkoły mają kilka miesięcy, żeby się przygotować na to zjawisko. Obstawiam, że od września będzie to jedno z najważniejszych zadań profilaktyczno-wychowawczych szkoły. Ona nie jest ośrodkiem interwencji kryzysowej, dom również nim nie jest. Środowisko osób straumatyzowanych ma bardzo duży wpływ na to, czy traumę przetwarzasz, czy przeradza się ona w syndrom stresu pourazowego. Na to, czy trauma przerodzi się w to zaburzenie, wpływają trzy czynniki: siła zdarzenia traumatycznego, indywidualne predyspozycje i czynniki środowiskowe. Mamy kilka miesięcy, żeby w szkołach i domach przygotować się do pomocy w emocjonalnym przetwarzaniu traumy. Nie musimy wszyscy zostać psychotraumatologami, lecz powinniśmy wypracować metody przetwarzania traumy, by nie doszło do jej przekazu rówieśnikom.

Słyszałem już od nauczycieli: jestem biologiem, a nie psychoterapeutą. Zgadza się, ale są podpowiedzi, rozwiązania, które można zastosować niekoniecznie w psychoterapii, lecz na godzinach wychowawczych, na wycieczce szkolnej, podczas warsztatów, w domach. Wszystkie te narzędzia są oparte na konfrontacji z traumą, nie na

eprasa.pl 2b0bcd76fd

zapominaniu o wydarzeniu czy izolowaniu się. Aby osoby z Ukrainy mogły przepracować swoje urazy, jesteśmy – jako ludzie – im do tego potrzebni.

Warto też uważać na objawy strachu u dzieci i młodzieży, bo czasami trudna sytuacja może prowadzić do regresów rozwojowych.

– Bardzo często w wyniku trudnego wydarzenia dochodzi do regresów rozwojowych. Pojawia się zjawisko psychicznego „odrywania się" od własnego ciała, własnej psychiki, występują tendencje do zaburzeń osobowości. Skutki wydarzeń traumatycznych mogą być różne. Naszym zadaniem jest obserwować, dzielić się informacjami, nie bać się tego tematu. Potrzebne są szkolenia dla nauczycieli.

Badania pokazują, że jeśli wojna jest bezpośrednio za granicą danego kraju, jest obecna cały czas w mediach, wówczas także w tym kraju sąsiadującym wzrastają przestępczość, wulgarność, zachowania agresywne. Strachem karmieni jesteśmy przez całą pandemię i teraz od początku wojny.

– Czasami jeśli ktoś nie jest w stanie znieść lęku, złości, bezradności, musi gdzieś je oddać. Natomiast jestem zbudowany postawą moich uczniów. Wspaniale zajmują się koleżankami i kolegami z Ukrainy. Próbują im wszystko tłumaczyć, organizować. Czasem nawet muszę ich przed czymś powstrzymywać. Kiedy usłyszeli, że ma przyjść do klasy chłopiec z Ukrainy, wszyscy chłopcy chcieli go zabierać do kina, dziewczyny chciały piec ciasta. Jak się podzielili, kto z nim idzie do kina, to repertuaru zabrakło. Jednak taka „pozytywna stygmatyzacja" też jest niebezpieczna. Wcale nie chodzi o to, by być nadopiekuńczym wobec osób z Ukrainy i stygmatyzować je faktem, że uciekły przed wojną. Trzeba je postrzegać nie jak ofiary, lecz jak ocaleńców. Naszym zadaniem jest przywrócić je do normalnego życia, a jeśli będą chciały, nauczyć języka polskiego. Moi ukraińscy uczniowie będą wkrótce pisali w szkole sprawdzian o zasadach demokracji – pytania będą w trzech językach (polski, ukraiński, angielski) i w trzech można odpowiadać. To nie bycie nieempatycznym. Przeciwnie, nadopiekuńczość, traktowanie Ukraińców jako ofiary będzie ich wpisywać w role ofiar. A chyba nie chcemy, żeby do końca życia byli ofiarami. Jestem też przeciwny przymusowej asymilacji. Chcę, żeby byli aktywnymi, dobrze funkcjonującymi członkami naszych społeczności lub tej, którą wybiorą: być może wrócą do Ukrainy lub pojadą do innego kraju. Potrzebna jest refleksyjność, żeby nie zagłaskać ich na śmierć.

Musimy mieć przestrzenie wolne od wojny, nie możemy cały czas o niej myśleć.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Musimy dać radę!

Rzeczywistość kryzysu uchodźczego przypomina sytuację z kryzysu covidowego

Sebastian Koćwin

Od kilku lat zmagamy się z kolejnymi kryzysami – COVID-19, kryzys energetyczny, wysoka inflacja – co powoduje postępującą pauperyzację społeczeństwa.

Zwiększenie kwoty wolnej od podatku i zwolnienie z tej daniny najniższych emerytur, symboliczna podwyżka wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej (wymuszona przez związki zawodowe), wzrost płacy minimalnej czy waloryzacja świadczeń emerytalno-rentowych nie rekompensują rosnących cen towarów i usług. Propozycje Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych mające poprawić sytuację ekonomiczną pracowników i świadczeniobiorców, przedstawiane głównie na forum Rady Dialogu Społecznego, są odrzucane albo realizowane tylko częściowo. A rządzący z braku merytorycznych argumentów powtarzają znaną od lat mantrę: kryzys.

Ale nie poddajemy się. Na początku tego roku OPZZ przedstawiło opracowanie dotyczące wzrostu cen towarów i usług konsumpcyjnych oraz jego wpływu na koszty życia obywateli. Wskazaliśmy, że w czasie pandemii koronawirusa znacząco wzrosła liczba osób żyjących poniżej progu ubóstwa (minimum egzystencji). Jest ich niemal 2 mln, w tym ponad 400 tys. dzieci i 300 tys. seniorów. Łatwo wyliczyć, że w zależności od liczby osób w gospodarstwie domowym ten próg wynosi między 530 a 640 zł na osobę. Nie ograniczamy się do punktowania problemów. Dlatego w naszej analizie przedstawiamy propozycje rozwiązań, które mogą poprawić trudną sytuację obywateli zmagających się z inflacją. Proponujemy programy osłonowe dla rodzin pracowniczych niwelujące skutki rosnących cen. Postulujemy zastosowanie realnego wskaźnika inflacji do wzrostu płacy minimalnej. Uznajemy za konieczne wycofanie się rządu z działań blokujących wzrost wynagrodzeń w sferze budżetowej. Wskazujemy ponadto, że należy zmienić mechanizm naliczania wzrostu rent i emerytur. Postulujemy także wprowadzenie emerytur wdowich. Uważamy, że świadczenia socjalne powinny być wyższe i regularnie waloryzowane na podstawie wiarygodnych wskaźników.

Niestety, w odpowiedziach poszczególnych ministerstw znajdujemy tylko barwne opisy stanu faktycznego. Wiemy, jak jest, i wolelibyśmy merytoryczne odniesienie się do konkretnych problemów i proponowanych przez nas rozwiązań… a nie, przepraszam, w przypadku emerytur wdowich wyraźnie powiedziano, że rząd nie ma zamiaru zajmować się tym tematem.

Kilka tygodni temu stanęliśmy przed kolejnym wielkim wyzwaniem. Prezydent Federacji Rosyjskiej uznał globalny kryzys zdrowotny i gospodarczy za sprzyjającą okoliczność do rozpętania wojny z Ukrainą. Nic nie usprawiedliwia tej wojny. Nic nie usprawiedliwia przemocy wobec ludności cywilnej, z powodu której Ukrainki i Ukraińcy doświadczają losu uchodźców wojennych! Liczba osób, głównie kobiet i dzieci, szukających schronienia w Polsce ciągle rośnie. Jest ich już ponad 2 mln. Wszyscy podziwiają Polki i Polaków za spontaniczną mobilizację, udzielanie pomocy i prawdziwą chęć jej niesienia. Niestety, na razie są to wyłącznie inicjatywy obywatelskie, doraźne działania organizacji pozarządowych czy związków zawodowych. Chęć pomagania uchodźcom, idąca z potrzeby serca, nie potrwa długo. Z bardzo prozaicznej przyczyny – nie jesteśmy bogatym społeczeństwem.

Nadal brakuje solidnych, systemowych rozwiązań, chociaż rząd przedstawił w końcu projekt ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy. Ustawa została przyjęta i podpisana przez prezydenta w ekspresowym tempie, co tym razem należy docenić. Opiniując ten akt prawny, OPZZ wskazało konieczność dodatkowego wsparcia finansowego, kadrowego i kompetencyjnego podmiotów odpowiedzialnych za pomoc uchodźcom wojennym. Niestety, rzeczywistość przypomina sytuację z kryzysu covidowego, gdy za kolejnymi zadaniami powierzanymi pracownikom (głównie z sektora finansów publicznych) nie szły środki na wzmocnienie kadrowe i wynagrodzenia uwzględniające znaczne rozszerzenie zakresów obowiązków i zwiększenie czasu pracy. Zwróciliśmy także uwagę na sytuację uchodźców (nie tylko z Ukrainy), którzy znajdą zatrudnienie w rolnictwie. Przy obecnym stanie prawnym w kwestii wynagradzania pomocnika rolnika pojawia się poważne ryzyko nadużyć i wyzysku. Dlatego trzeba tym pracownikom zagwarantować, że w przypadku zawarcia przez nich umowy o pomocy przy zbiorach będą obowiązywały wynagrodzenie minimalne za pracę, w tym minimalna stawka godzinowa, oraz przepisy z zakresu bezpieczeństwa i higieny pracy. Nawiasem mówiąc, w przypadku finansowania zadań ze środków publicznych pracownicy realizujący te zadania powinni być zatrudniani wyłącznie na podstawie umowy o pracę.

> W czasie pandemii znacząco wzrosła liczba osób żyjących poniżej progu ubóstwa. Jest ich niemal 2 mln, w tym ponad 400 tys. dzieci i 300 tys. seniorów.

I w tym kontekście nasuwa się następne pytanie: jak z kolejnymi wyzwaniami poradzi sobie wiecznie niedofinansowana Państwowa Inspekcja Pracy?

Pytań jest więcej, rzeczywistość nie napawa optymizmem, ale musimy dać radę!

Sebastian Koćwin jest wiceprzewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2b0bcd76fd

MUZYKA pozwala przekraczać siebie

Kiedyś branża muzyczna inwestowała w artystów. Dziś każda piosenka to produkt szybko zbywalny

TOMASZ LIPIŃSKI
– współlider Tiltu i Brygady Kryzys, członek zarządu ZAiKS

Rozmawia Jan Bińczycki

Właśnie pan debiutował. I to kolejny raz. Po ponad 40 latach ukazała się płyta „On the Border Line", pierwsze studyjne nagrania zespołu Tilt.

– Te nagrania wyszły kiedyś w mikroskopijnym nakładzie, na offowej kasecie w 1981 r. To ich pierwsze oficjalne wydanie.

Pierwszy nakład rozszedł się jeszcze przed premierą. Takiego punk rocka w Polsce nie grano. Płyta pokazuje, jak mógłby brzmieć polski punk, gdyby nie rozmaite przeszkody.

– Kiedy rejestrowaliśmy te piosenki, nie znaliśmy przyszłości. Graliśmy tak, jak sobie wyobrażaliśmy naszą muzykę, jak umieliśmy. Mieliśmy zapał i przekonanie o słuszności tego, co robiliśmy. Natomiast historia tych ponad 40 lat jest poza mną. Nie potrafię na nią spojrzeć z boku, jak na fakty historyczne. To zawsze będzie dla mnie część życia, która się wydarzyła, kiedy miałem 24 lata. A ściśle rzecz biorąc, w 1979 r. już nie graliśmy punk rocka.

W Polsce najbardziej przyjął się punk ostry i kostropaty. Muzyka na „On the Border Line" to niemal jego antyteza – jest przebojowa, eteryczna, „jasna".

– Nie interesowało nas granie punkrockowego kanonu, który wtedy zaczął się formować. Tilt założyliśmy z Jackiem Lenartowiczem i Tomkiem Szczecińskim w 1979 r. Czyli dwa lata po eksplozji punka, która, wbrew temu, jak dziś na to się patrzy, była szalenie bogata i różnorodna stylistycznie, pełna indywidualności. Dlatego ten impuls był tak silny i zainfekował rzesze młodych ludzi na świecie. W 1979 r. ta rewolucja już się dokonała. Zabłysła i przygasła. Zaczęto ją komercjalizować, przekształcać w modę, zgodnie z zasadami wolnego rynku.

Woleliśmy iść swoją drogą. Interesował nas eksperyment, a nie droga do tzw. punkowego grania, świeżego, ale coraz wyraźniejszego kanonu „trzy akordy, darcie mordy".

Słuchaliśmy nowszej muzyki. Ale i starszej. Wcześniej słuchałem i muzyki klasycznej, i etnicznej, i jazzu. To, że znaleźliśmy się w nurcie punkowym, wynikało z koincydencji historycznej. Polska się rozsypywała. Zawsze marzyłem o tym, by grać, ale w tamtym momencie trudno było planować przyszłość. Za sprawą

FOT. JPCH

eprasa.pl 2b0bcd76fd

kapel punkrockowych dokonał się wyłom. One otworzyły scenę przed młodymi zespołami, grającymi nową, interesującą muzykę.

Legendarna „czarna płyta" Brygady Kryzys kończy w tym roku 40 lat. Też łamie schematy i konwencje.

– Zespół powstał w 1981 r. Zrobiliśmy próby, stworzyliśmy repertuar. Do nowego studia na Wawrzyszewie dostaliśmy się dzięki naszemu menedżerowi Jackowi Olechowskiemu jako ekipa testująca możliwości sprzętu. Spędziliśmy tam bardzo dużo czasu. Dookoła stan wojenny. Mieliśmy szczęście, że producentem płyty został Józef B. Nowakowski. Miał wielkie doświadczenie i był znany z niekonwencjonalnego myślenia o muzyce. Kiedy zaczęliśmy pracować nad płytą, zasugerował, że trzeba tworzyć tylko takie rzeczy, których nikt dotąd nie zrobił.

Wszystko, co znalazło się na płycie, robiliśmy zgodnie z tą ideą. A były to przeróżne rzeczy. Oczywiście muzyka punkowa czy postpunkowa, której wtedy słuchaliśmy. Ale są i inne elementy, choćby jazzowe, za sprawą perkusisty Janusza Rołta, czy szalone improwizacje saksofonisty Tomka Świtalskiego. Wtedy też, jak sądzę, Robert Brylewski rozwinął swoją filozofię myślenia o muzyce i gry na gitarze. Wymyśliłem na to termin punkedelic, czyli krzyżówka punka z psychodelią. Tylko przez przekraczanie ograniczeń gatunkowych, własnych mniemań muzyka może się rozwijać i zyskiwać siłę.

Punkedelic Brygady to karkołomne zestawienie. Jest reggae, ale też muzyka industrialna, coś z postpunka czy rocka gotyckiego.

– Z moich obserwacji wynika, że muzyka brzmieniowo odzwierciedla środowisko, w którym powstaje. Wprost, poprzez ściśle dźwiękowy klimat, ale i przez pewien trudniej uchwytny nastrój. To oczywiste, że muzyka z Karaibów jest pełna słońca, przestrzeni, ciepła, fal, radości, zabawy. A ta z wielkich miast, jak rock czy hip-hop, odzwierciedla swoje środowisko: natłok, opresję, zagęszczenie, ciężar, napięcie.

Dawniej muzyka była naszym internetem, nośnikiem idei i spostrzeżeń.

Z kolegami tworzyliśmy intuicyjnie. Większość z nas była samoukami bez formalnej edukacji muzycznej. A to z jednej strony utrudnia granie, a z drugiej ułatwia, bo nie ma wtedy ustalonych mniemań na temat muzyki i można śmiało eksperymentować. Taka intuicyjna muzyka potrafi naturalnie odzwierciedlać nastrój. To, co pan nazwał industrialnym brzmieniem, to nasze uczucia w pierwszych tygodniach stanu wojennego, kiedy świat nam się zawalił.

Tworzyliśmy intuicyjnie. Większość z nas była samoukami bez formalnej edukacji muzycznej.

Nagrywanie w początkach stanu wojennego musiało również powodować trudności na poziomie organizacyjnym.

– Stan wojenny przerwał wiele naszych planów związanych z Jugosławią i rynkami zachodnioeuropejskimi. Obiektywnie nie mieliśmy z czego się cieszyć, ale jak człowiek jest młody, inaczej na to wszystko patrzy. Dostaliśmy np. przepustki pozwalające przemieszczać się nocą po Warszawie, co było dla nas bardzo atrakcyjne, bo mogliśmy oglądać wymarłe miasto.

Kraj był sparaliżowany. Nie można było jeździć z miasta do miasta. Ale my byliśmy wtedy bardzo młodzi, więc paradoksalnie mieliśmy dużo zabawy w tej dotkliwej także dla nas sytuacji. Zaplombowano nam sprzęt, który trzymaliśmy w sali prób klubu Riviera. Zerwaliśmy pieczęcie i go stamtąd wywieźliśmy. Przyjaciel załatwił nam salę na Krasińskiego na Żoliborzu, w piwnicy, w której była pracownia ceramiczna. Ustawiliśmy sprzęt wśród rzeźb i innych form i tam mieliśmy nielegalne próby przed nagraniem.

Mam wrażenie, że w latach 80. polska kontrkultura osiągnęła apogeum. Jestem rówieśnikiem „czarnej" Brygady. Po latach zorientowałem się, że punk rocka odziedziczyłem po pokoleniu rodziców.

– Później był jeszcze grunge, moim zdaniem ostatnie wielkie zjawisko kontrkulturowe w rocku. A potem hip-hop, zupełnie inna sprawa, w innych czasach. Zresztą dziś też mnóstwo zespołów gra punk, czasem z różnymi dodatkami. I często jest to świetnie zagrana muzyka, bardzo daleka od sztampowych „trzech akordów". W tych najróżniejszych środowiskach ciągle coś się dzieje, ale nie ma masowego zasięgu. Sądzę, że dlatego, że dawniej muzyka była naszym internetem, nośnikiem idei i spostrzeżeń. Dziś ma inne funkcje. Kiedyś branża muzyczna inwestowała w artystów, licząc na sukces w dłuższej perspektywie. Dzisiaj każda piosenka to produkt szybko zbywalny, jak batoniki czy podpaski. Żadna współczesna korporacja nie zainwestowałaby w wydanie pierwszych płyt Pink Floyd albo Sex Pistols.

A muzyka to uniwersum, które pozwala się odkrywać i wymaga przekraczania samego siebie. I każda płyta powinna być czymś nowym, czego dotąd nie nagrano. To nauka, którą wyciągnąłem z pierwszej płyty Brygady Kryzys.

Przez lata zajmował się pan nie tylko łamaniem schematów, ale i wdrażaniem standardów w branży muzycznej. Punkowe doświadczenia pomagają w takiej pracy?

Tomasz Lipiński – (ur. w 1955 r.) muzyk, kompozytor, autor tekstów, twórca muzyki filmowej. Lider i współlider grup Tilt, Brygada Kryzys, Fotoness, muzyk grupy Izrael. Nagrał dwie solowe płyty. Był redaktorem naczelnym magazynu „Aktivist" i felietonistą „Teraz Rocka". Od 2017 r. zasiada w Prezydium Zarządu Stowarzyszenia Autorów ZAiKS i w zarządzie fundacji Music Export Poland. W 2011 r. otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

„On the Border Line" to maxisingiel grupy Tilt wydany niedawno nakładem niezależnych wytwórni Warsaw Pact Records oraz Archiwum Trasa W-Z. Zawiera pierwsze profesjonalnie nagrane polskie piosenki (post)punkrockowe. Zarejestrowano je pod koniec 1980 r. w studiu S1 Polskiego Radia.

Legendarna „czarna płyta" Brygady Kryzys została zarejestrowana 40 lat temu podczas testów studia wytwórni Tonpress na warszawskim Wawrzyszewie. To pierwszy polski pełnowymiarowy album z muzyką punk i new wave. Po latach płyta zajęła drugie miejsce w plebiscycie dziennikarzy muzycznych na najlepszy polski album muzyczny wydany po II wojnie światowej.

– W latach 80. dzięki spontanicznie powstającym zespołom dokonał się wyłom w systemie. Wcześniej właściwie nie było dostępu do sceny. Żeby móc występować za normalne stawki, trzeba było się poddać weryfikacji specjalnej komisji. Niewielu autentycznym zespołom rockowym udało się skutecznie wejść na scenę. Kilku wykonawców stanowiło odstępstwo od estradowej normy, m.in. Klan, Breakout, Romuald i Roman. Muzyka rockowa była tym gorzej widziana, im bardziej była autentyczna, jako przejaw zgniłego, zachodniego stylu życia. Zresztą podobnie jak obecnie. Ówcześni władcy używali tych samych słów o zepsutym Zachodzie, który deprawuje polską młodzież.

Solidarność i eksplozja punk rocka zachwiały systemem. W stanie wojennym paradoksalnie okazało się, że liczy się to, czego młodzi ludzie chcą słuchać. A chcieli tej muzyki, której nie było w mediach, choć przecież istniała. Stąd wzięły się Wielkopolskie Rytmy Młodych i festiwal w Jarocinie, który stał się kulturowym ewenementem. Zjeżdżali się ludzie, często z miasteczek, w których było po dwóch, trzech takich jak oni. A tu w Jarocinie 30-40 tys. pobratymców! To zmienia świadomość.

Dzięki tej sile, która wtedy się zdefiniowała i przebudziła, zaczęły się pojawiać kolejne zespoły. Miały gigantyczną popularność. Lady Pank czy TSA grywały dwa-trzy razy dziennie. Stało się jasne, że skoro na ich koncerty przychodzą tysiące ludzi, to nie będą grać za ustalone przez Ministerstwo Kultury stawki. Zaczęto kombinować, jak im dać adekwatne pieniądze. W połowie lat 80. w branży powstały mechanizmy „kreatywnej księgowości". Na dodatek większość sprzętu nagłośnieniowego była w prywatnych rękach.

A potem było lepiej?

– Po 1989 r. wszystko zaczęło się zmieniać. Z niektórymi patologiami walczymy do dzisiaj. Bo jak ktoś się nauczy kombinować, nawet w dobrej wierze, to często wchodzi mu to w krew. Podpisanie konwencji rzymskiej i innych umów sprawiło, że do Polski zaczęli przyjeżdżać zachodni artyści. W latach 70. ani 80. w ciągu roku nie było tylu koncertów gwiazd, ile w okresie przedpandemicznym odbywało się w tydzień.

Polska branża muzyczna, z wszelkimi dobrymi i złymi konsekwencjami, w końcu się sprofesjonalizowała, połączyła z globalnym rynkiem. Głównym polem gry stała się dystrybucja cyfrowa. Ze szkodą dla tych artystów, którzy nie mają globalnego zasięgu. Ale to daje też niezależność, możliwość samodzielnego budowania bazy fanów. To proces różnorodny, szybki, nie do końca przewidywalny. Kto dwa-trzy lata temu mógł przewidzieć, że serwis TikTok będzie kreować gwiazdy na pierwszych miejscach amerykańskiej listy przebojów?

Zafascynowałem się transformacją, bo podobne zmiany dotychczas nie zachodziły tak szybko. Interesowała mnie perspektywa profesjonalizacji i ucywilizowania rynku muzycznego. Muszę przyznać, że byłem zbyt naiwny wobec roli zagranicznych korporacji. Zarabia top z wąskiego katalogu trzech głównych „stajni", reszta artystów mizernie lub wcale. To niesprawiedliwe, choć doskonale harmonizuje z obecną fazą kapitalizmu.

Przez jakiś czas pracowałem w wytwórni BMG. Od czterech lat jestem w zarządzie Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, którego członkiem zostałem w 1982 r. Mam satysfakcję, że udało mi się zainicjować lub współinicjować kilka pomysłów, które sprawiają, że stowarzyszenie idzie do przodu, modernizuje się i wdraża nowe narzędzia.

A kiedy słucha pan młodszych koleżanek i kolegów, dzisiejszych debiutantów, to udaje się znaleźć coś dla siebie?

– Z rzadka, ale się zdarza. Cieszę się zwłaszcza z tego, że w nowej muzyce jest tak wiele utalentowanych młodych kobiet. Coraz bardziej się emancypują, mówią własnym głosem. Na przykład The Pau, która występuje solo, z gitarą i urządzeniami elektronicznymi. Szalenie silna, wyraźna. A z zupełnie innego nurtu pochodzi fantastycznie uzdolniona Sanah, laureatka nagrody ZAiKS. Wzbudziła kontrowersje wśród wielu zasłużonych członków stowarzyszenia, ale okazuje się, że dziś to najpopularniejsza polska artystka. Ciekawe, ale też nieciekawe rzeczy dzieją się w hip-hopie, gdzie w morzu wtórności trafiają się nagrania szalenie interesujące.

Niedawno ogłosił pan ograniczenie występów. Co dalej?

– 8 marca miała być premiera mojej piosenki poświęconej kobietom. Niedługo później teledysk, w którym improwizację taneczną wykonuje znakomita choreografka Alisa Makarenko. To jednak nie jest chwila na takie działania, mamy wojnę za granicą i wiele ważniejszych rzeczy do zrobienia. Trzeba poczekać. Od tego roku radykalnie ograniczyłem koncertowanie. Przechodzę na pozycję trenera, komentatora, kogoś, kto stoi z boku, ale czasem wskoczy na boisko i rozegra sparing.

A w komputerach pozapisywałem sporo pomysłów, które odbiegają od tego, co dotąd robiłem. Zupełnie inna muzyka, często instrumentalna. I może teraz nią się zajmę.

Jan Bińczycki

Przechodzę na pozycję trenera, komentatora, kogoś, kto stoi z boku, ale czasem wskoczy na boisko i rozegra sparing.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

SERIAL

Lakers: Dynastia zwycięzców,
twórcy Max Borenstein, Jim Hecht, HBO Max

To dość symboliczne. Kiedy HBO zaczynało emisję, w ramówce miało głównie programy sportowe, w tym mecze NBA. Teraz, gdy do Polski weszło też HBO Max, jedną z najważniejszych nowości jest serial „Lakers: Dynastia zwycięzców". Tytuł tylko po części oddaje zawartość. Serial wprawdzie koncentruje się na drodze do zwycięstwa drużyny koszykarskiej Los Angeles Lakers pod wodzą Pata Rileya (Adrien Brody), ale przy okazji krytycznie opisuje amerykańską rzeczywistość przełomu lat 80. i 90. To czasy sprzed rewolucji #MeToo, w których przemoc ekonomiczna, ale też fizyczna wobec kobiet była na porządku dziennym. Fani koszykówki będą ukontentowani (to trzecia najdroższa produkcja HBO w historii, widz czuje emocje jak na rzeczywistym meczu), ale również uczuleni na sport znajdą coś dla siebie. Choćby świetną obsadę aktorską, z Sally Field, Johnem C. Reillym i Quincym Isaiahem na czele.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

„Baron Münchhausen dla dorosłych", tekst i reżyseria Maciej Wojtyszko, Teatr Narodowy, scena przy Wierzbowej im. Jerzego Grzegorzewskiego, premiera 5 marca 2022

Baron na emeryturze

Baron jest na emeryturze. Rozczarowany, zniechęcony, zmęczony, ale ogień w nim jeszcze się tli. Co pewien czas czaruje łobuzerskim uśmiechem i cwałuje na wyimaginowanym wierzchowcu. Tym razem jednak nawet najwspanialsze bujdy, najpiękniejsze kłamstwa okażą się bezużyteczne, bo jest na niego „zlecenie" – władza nie chce tolerować tego niepodległego ducha. Baron sięgnie wtedy po broń, którą gardzi – polityczny szantaż. Ale i tak nie może czuć się bezpieczny.

Wspaniała sztuka Macieja Wojtyszki, pełna odniesień do literatury i filozofii, wciąga w wir walki bezwzględnej władzy z wszystkimi, którzy nie pasują do jej wyobrażenia o porządku. Jan Englert w roli barona przekonująco ukazuje znużenie bohatera, jego lęki i wątpliwości. Bo kto wątpliwości nie ma, świata nie poprawi. Baron zachęca nas do wytrwania w oporze przeciwko tym, którzy wiedzą wszystko. W obsadzie błyszczy Ewa Wiśniewska jako żona barona, a młodsi aktorzy partnerują im wyśmienicie. Przedstawienie trafia w nasz czas dzięki uniwersalnej wymowie – kiedy za zakrętem czai się pęknięcie czasu, które przepowiada baron, zapotrzebowanie na ludzi z wyobraźnią (czyli artystów) gwałtownie wzrasta. Spróbujcie stłamsić ich niezależność, a zginiemy wszyscy.

Tomasz Miłkowski

NA POWAŻNIE

Opera odnaleziona

Do tej pory prawie nikt nie wiedział, kto to był Henryk Jarecki. Teraz, po 129 latach, poznaliśmy jego najlepszą operę, o miłości króla Zygmunta Augusta do Barbary Radziwiłłówny. Kompozytor był ulubionym uczniem Moniuszki, a to dobra rekomendacja. Są tutaj polonezy, jest mazur, a przede wszystkim rasowy muzyczny dramat z czarnym charakterem – Królową Boną, która otruła piękną Barbarę. I jest Stańczyk, błazen i mędrzec... jak przywódca Ukrainy.

Bronisław Tumiłowicz

Henryk Jarecki, „Barbara Radziwiłłówna", kierownictwo muzyczne Marta Kluczyńska, Teatr Wielki Opera Narodowa (wersja koncertowa), premiera 13 marca 2022

MIĘDZY OKŁADKAMI

Paweł Jaszczuk
Szczęśliwa Przystań
Szara Godzina, Katowice 2021

Znany bardziej z powieści kryminalnych Paweł Jaszczuk wziął się za bary z tematem trudniejszym – starością. Z tą spychaną na dalszy plan, niemodną starością, która przecież dotknie niemal każdego. W powieści „Szczęśliwa Przystań", a taką nazwę nosi fikcyjny dom spokojnej starości „gdzieś w pobliżu Olsztyna", autor zgromadził galerię postaci, niejako przekrój społeczeństwa w okresie schyłkowym, gdy schodzą ze sceny życia i co najwyżej mogą wspominać swoje przewagi z przeszłości. Choć nie wszyscy chcą się poddać i demonstrują personelowi złudną w sumie niezależność. Ale jeśli nawet urwą się opiekunom, zawsze wracają do swojej przystani, by dokonać tam rozrachunku z żywotem. O przeszłości trzeba myśleć już za młodu.

Marek Książek

FOT. HBO, MATERIAŁY PRASOWE, KRZYSZTOF BIELIŃSKI

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Hipisowska kultura z dala od cywilizacji

Inicjatywy kulturalne i ekologiczne w Górach Izerskich przyciągają ludzi z całego świata

Dominika Tworek

W sercu niewielkiej wsi Wolimierz u podnóża Gór Izerskich stoi stacja kolejowa. Mimo że ostatni pociąg osobowy odjechał z niej w 1945 r., a tory dawno temu rozebrano, to barwna i tętniąca życiem przestrzeń. Od trzech dekad przybywają tu ludzie z całego świata. Chwilami bywa tak tłoczno jak w XIX w., gdy kilkadziesiąt przejeżdżających codziennie przez stację pociągów zabierało pasażerów do Warszawy, Pragi, Wiednia czy Berlina. Po II wojnie światowej, kiedy przesiedlono z tych terenów ludność niemiecką, wioska opustoszała. Życie przywróciła jej dopiero grupa przyjaciół, artystów, wybierając Wolimierz na cichą przystań dla swoich twórczych działań. O historii uratowanego przed marazmem dworca przypominają już tylko stojące przed stacją dwa semafory. Ale dzięki metaforycznym kolejom podróż trwa tu w najlepsze.

Stwory, ludzie i żywioły

– Wszystko zaczęło się na pierwszym roku studiów lalkarskich w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej we Wrocławiu – wspomina Joanna Wiktorczyk, zwana Jemiołką Izerską. Szczęśliwa żona, matka, babcia. Jasnowłosa hipiska o szerokim, promiennym uśmiechu. – Pomysłodawcą stworzenia własnego teatru był mój mąż Wiktor, którego rozpierała wtedy energia. Do projektu zaprosił studentów naszego roku. Wraz z przyjacielem Balem, który z kolei miał już niemal gotowe projekty lalek archetypów, stworzyli listę osób, które widzieli w składzie teatru, ale nie chcieli rozbijać naszego roku, więc zapytali wszystkich. Niesamowite, bo ostatecznie okazało się, że dokładnie ci z listy chcieli wziąć w tym udział!

W taki sposób w 1988 r. sześciu aktorów i Jemiołka stworzyli wędrowny teatr Klinika Lalek. Ich spektakle bazują na charakterystycznych olbrzymich lalkach, animowanych od wewnątrz przez aktorów. Są też drewniane maski, gargantuiczne jeżdżące machiny, grające instalacje, stwory, ludzie i żywioły. Nietypowe widowiska odbywają się przy akompaniamencie muzyki granej przez orkiestrę i aktorów na żywo.

Na Stacji Wolimierz ciągle coś się dzieje: koncerty, warsztaty, występy teatralne, kiermasze.

– Między szaleńczymi imprezami a studiowaniem od rana do wieczora, po nocach budowaliśmy pierwsze lalki. Naszym autorskim pomysłem była ich konstrukcja na plecakoleżakach, dzięki czemu były bardzo plastyczne w animacji. Premiera naszego pierwszego spektaklu „Msza w czerni i bieli" została entuzjastycznie odebrana. Podszedł do nas wtedy największy znawca teatru lalkowego w Polsce prof. Henryk Jurkowski i powiedział: „Już wiele masek i lalek wymyślono, ale wy znaleźliście swój własny wyraz. Tylko tak dalej!". Odtąd byliśmy zapraszani na festiwale w całej Polsce i na świecie – opowiada Jemiołka.

Rozmowa z uniwersum

Teatr Klinika Lalek występuje na ulicach oraz placach miast i wsi całej Europy. Odwiedził m.in. Finlandię, Francję, Hiszpanię, Rumunię, Niemcy czy Austrię. – Mamy różne dziedziny sztuki, dzięki którym możemy wyrażać nasz przekaz, emocje, mądrość: taniec, śpiew, malarstwo, teatr. To kryje się w zasadzie w każdej formie. Ja czułem, że jeśli mam robić coś niezwykłego, to musi być teatr lalek, który prezentuje specyficzne połączenie się z widzem poprzez formę. Od zarania dziejów ludzie wizualizowali sobie absolut, boga, różne demony czy anioły i kontaktowali się z nimi właśnie przez pryzmat lalki. W tej chwili modlimy się np. do rzeźb Jezusa czy Buddy. Postrzegamy swoje bóstwa w kontekście lalki i przez tę lalkę rozmawiamy ze światem pozaziemskim, z uniwersum. Dlatego ten teatr lalek jest niezwykły i magiczny – mówi Krzysztof „Wiktor" Wiktorczyk.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Wolimierz to barwne miejsce, które łączy hipisowską kulturę z regionalną tradycją.

Założyciel Kliniki Lalek kieruje się w życiu słowami, które w młodości zapisały mu się w głowie: „Pamiętaj, aby pasją twórczą było zawsze piękno i poszukiwanie prawdy, bo gdy pasja minie, pozostanie piękno i prawda. A jeśli pasją twórczą będzie brzydota i tworzenie iluzji, to w momencie kiedy pasja minie, pozostanie brzydota i iluzja".

Artyści od początku chcieli, aby ich spektakle – w zamyśle rewolucyjne i pełne poszukiwań – zmieniały świat. Jednocześnie pragnęli odciąć się od szarej rzeczywistości. Stworzyć swoją oryginalną, kolorową, hipisowską bańkę, obszar wolności i twórczej ekspresji. Bez polityki, telewizji, pogoni za pieniędzmi, karierą. I to się udało. Dziś Wiktor nazywa swój dom międzyplanetarnym królestwem sztuki, otwartym, samowystarczalnym miejscem szczególnego przenikania czy wolnym, ekologicznym uniwersytetem sztuki.

Kolektywnie i ekologicznie

Początki nie były łatwe. Nie było prądu, a wodę czerpało się ze studni. Z biegiem czasu, kolektywnie, udało się wszystko rozkręcić. Mieszkańcy i przyjaciele Stacji Wolimierz to w dużej mierze artyści bądź rzemieślnicy. Wiele osób tworzy, produkuje coś, co staje się dobrem wspólnym całej społeczności. Kulturę – strawę duchową, a także jedzenie. Tutaj króluje żywność lokalna, od ekologicznych rolników. Stacja od lat zajmuje się promocją regionalnych twórców, organizując jarmarki, na które zjeżdżają ludzie z całej okolicy.

– Takie osady ekologiczne istnieją na całym świecie. Bo ludzie coraz częściej starają się być samowystarczalni. Produkować jedzenie, wzajemnie sobie pomagać, także wymieniać się. Kiedy zaczynaliśmy, w Polsce były trzy takie miejsca: u nas, na Warmii i w województwie lubelskim. Teraz tysiące osób tworzą własne społeczności, otaczając się przyjaciółmi. I to jest piękne! – cieszy się Jemiołka.

Od dekady przyjaźń ze Stacją Wolimierz zacieśnia Renata Rutkowska-Korn – 55-latka z figlarnymi lokami i słonecznym uśmiechem. Należy do kooperatywy spożywczej, zrzeszającej ekologicznych rolników z Gór Izerskich. Ma swoje gospodarstwo, które bazuje na uprawie i przetwórstwie gryki oraz sprzedaży już gotowych gryczanych dobroci. Produkowane przez nią i jej sąsiadów mąki, kasze, miody, zioła czy przetwory regularnie pojawiają się w Wolimierzu przy okazji organizowanych tu ekojarmarków.

Renata kiedyś żyła bardzo szybko, po miejsku. Prowadzenie restauracji oznaczało oddanie się pracy przez siedem dni w tygodniu, wieczne zabieganie, stres, brak odpoczynku. Dziś uśmiecha się na myśl o tym wizerunku bizneswoman, z dumą i spokojem nazywając się „ogrodniczką z Kwieciszowic". Przełom nastąpił, gdy dowiedzieli się z mężem, że ich roczna córeczka choruje na cukrzycę. – Wiedzieliśmy, że zachodnia medycyna ma do zaoferowania tylko insulinę, więc zaczęliśmy szukać naturalnych metod leczenia. To ukierunkowało nas w stronę idei zapewnienia naszym dzieciom zdrowej, organicznej żywności. I wyprowadziliśmy się na wieś, gdzie mamy swój ogród, jesteśmy samowystarczalni pod względem pożywienia. Osiągnęliśmy nasz cel. Dzieciaki żyją w miejscu bez smogu, mamy czystą wodę i pyszną, zdrową żywność. Widzę, że to, co teraz robię, jest dobre dla mnie i mojej rodziny – podkreśla Renata.

Bardzo zależy nam na tym, żeby uchronić Pogórze Izerskie przed zadeptaniem i patodeweloperką.

Jest nietypową ogrodniczką. W pracy dużo eksperymentuje. Najbardziej ekscytuje ją obserwacja, bo „w każdej wyłaniającej się spod ziemi roślince widzi otwierający się

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Wiele osób tworzy czy produkuje coś, co staje się dobrem wspólnym całej społeczności.

przed nią wszechświat". – Często nie podlewam roślin i patrzę, jak na to reagują. Albo porównuję, jak zachowują się te z nasion kupnych, a jak te z moich własnych, pozyskiwanych z ziół czy warzyw. O ile wyrastające rośliny są dorodniejsze, silniejsze i bardziej odporne na choroby. Lubię obserwować też samosiewność. Niewiele ingerować, dawać roślinom szansę, żeby radziły sobie same. Podobne strategie przyjęłam w wychowaniu dzieci – mówi.

Dla Renaty „grzebanie w ziemi" ma także metafizyczny wymiar, opierający się na mocnej relacji ze środowiskiem naturalnym: – Czuję, że ziemia mnie woła. Zawsze kiedy zbliża się wiosna i ziemia zaczyna parować i pachnieć, czuję jej zew. Doświadczam połączenia z przyrodą. Ponieważ mamy własną pasiekę, siejemy dużo pożytecznych dla pszczół roślin, a ja zawsze mam problem, kiedy jest czas zbioru kwiatów, bo jak widzę na nich pszczoły, nie mam serca im tego zabierać. I przeważnie rozwiązuję ten dylemat na korzyść pszczół.

Kapitaliści z „hippie serduchem"

Na stacji ciągle coś się dzieje. Koncerty, warsztaty, występy teatralne, kiermasze. Wydarzenia przyciągają tysiące ludzi. A najbujniejszym okresem jest lato. Wolontariusze z całego świata zjeżdżają tu, by wspólnie spędzać czas, tworząc ogrody i pomagając w organizacji wakacyjnego festiwalu. Przez te trzy dni dworcowa przestrzeń zamienia się w kolorową scenę, pełną tańczących ludzi, skaczących dzieci i biegających wolno zwierząt.

Dla niektórych Wolimierz stał się remedium na kryzys wieku średniego.

– Festiwal ma charakter międzynarodowy. I był pierwszym takim w Polsce. Teraz wiele osób się nim zainspirowało, tworząc imprezy w podobnym klimacie. I dobrze! Z tym że nam chodzi nie o zarabianie na tym pieniędzy, ale o wymianę energii. I to się czuje. Nie chcemy być wielkim festiwalem, m.in. dlatego, że to się wiąże z większą ilością śmieci. A my staramy się funkcjonować w zgodzie z naturą, więc ciągle trzymamy się na poziomie rodziny – od lat przyjeżdżają do nas ci sami ludzie plus ich przyjaciele – podsumowuje Jemiołka.

Dla Piotra, Marcina i Chmurka Wolimierz stał się remedium na kryzys wieku średniego. W myśl zasady „rzuć wszystko i wyjedź w Bieszczady" mężczyźni zrezygnowali z pracy we wrocławskich korporacjach, tym samym biorąc rozbrat z miejskim życiem. I już pół roku – wśród gór i dzikiej przyrody – prowadzą agroturystykę DoWoli. Na Pogórze Izerskie zwabił ich artystyczny charakter Stacji Wolimierz. Jak twierdzą, są kapitalistami z „hippie serduchem".

– Zawsze przyciągał nas klimat hipisowskich komun, które odwiedzaliśmy na świecie. Podobnie jest z Wolimierzem. Takie miejsca cechuje wolność bycia sobą i brak przymusu stosowania się do jednego utartego schematu w życiu: mieszkanie, kredyt, dzieci, rodzina i wakacje raz w roku. Czuje się tu też wszechobecną życzliwość. My powoli stajemy się częścią tej społeczności. Zaczynamy włączać się w działania na rzecz Wolimierza i całego regionu. Dobrze, że lokalne władze czasem wspierają projekty proekologiczne. Jest pełna zgoda co do tego, że przyroda jest ważna i trzeba ją chronić. A nam bardzo zależy na tym, żeby uchronić Pogórze Izerskie przed zadeptaniem i patodeweloperką – mówi Piotr Porożyński.

Rustykalna agroturystyka DoWoli idealnie wpisuje się w wolimierską atmosferę. To barwne i radosne miejsce, które poprzez stare, drewniane elementy wystroju łączy hipisowską kulturę z regionalną tradycją. Piotr: – Odwiedzają nas goście z całej Polski. Kiedyś zapytałem grupę ze Śląska, dlaczego przyjechali tak daleko, skoro tuż obok mają Beskidy. I oni zwrócili uwagę na to, że mamy tu bardzo małe zagęszczenie zabudowań, co tworzy wrażenie przebywania w przyrodzie, a nie „cywilizacji". Ja bardzo lubię określać Izery jako „zachodnie Bieszczady". Można tu wciąż odnaleźć ciszę i poczuć spokój.

Dominika Tworek

FOT. TOMASZ ZIOBER, STACJA WOLIMIERZ

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Malowniczy altruizm

Wróciły pytania formułowane przez największe umysły wieku światowych wojen. Czy mamy jeszcze prawo podziwiać zachody słońca z czystym sumieniem? Czy rozmowa o drzewach jest teraz zbrodnią, bo zawiera w sobie milczenie o tylu niecnych czynach? Czy pisanie wierszy po tym, co Rosja uczyniła Ukrainie, jest barbarzyństwem? Odwrócę rozterki wypowiedziane przez Kiša, Brechta, Adorna i wielu innych ludzi ducha, dotkniętych do żywego okropnościami wojny: czy wolno dać złamać sobie pióro przez kanalię o ego rozbuchanym na pół świata? Mówić o wojnie albo wcale – powszechna mobilizacja artystyczna albo mamer za dezercję? Coś się we mnie buntuje, kiedy słyszę ludzi sztuki przepraszających przed swoimi występami, wernisażami czy spotkaniami autorskimi: „Drodzy państwo, wiem, że to nie jest dobry czas [głębokie westchnienie i spojrzenie rannego spaniela], ale przecież musimy żyć [rozłożone bezradnie ręce, wzrok błagający o zrozumienie], dlatego… [łzy w oczach, w gardle] zapomnijmy na chwilę…" i tak to się dalej rozwija, twórca w lamentacyjnym tonie prosi o prawo do istnienia w warunkach wojennych.

Na co dzień człowiek niewiele wkłada do gara, nie ma pięciu mieszkań w stolicy, z których jedno mógłby tymczasowo odpalić uchodźcom, a potem pochwalić się na Fejsbuku swoją wielkodusznością, nie ma środków, którymi mógłby ich wspomóc, fotografując wyciąg z konta i epatując skromną wielkodusznością – pandemia zdegradowała go z poziomu klasy średniej do wysoce niepewnego statusu prekariusza. A teraz, kiedy w końcu podpisał parę umów na koncerty etc., nie bardzo wypada śpiewać o czymś innym niż pożoga, naród pragnie się umartwiać, nie chce chodzić na iwenty kulturalne, gdy ludzie giną. I nie można mieć o to do nikogo pretensji. Artysta nie sprzeda więc biletów, pogrąży się w niedostatku i jeszcze doskoczy mu na garb wyrzut sumienia, że nie stać go na pomoc ofiarom. W kolejce po suchary podsłucha, jak zamożni sąsiedzi gwarzą o „swoich Ukrainkach" jak dawniej, tylko że teraz nie chodzi o to, która mniej bierze za sprzątanie, ale która przywiozła więcej dzieci i jak się ich rozlokowało po własnościowych mieszkaniach.

Eksplozja współczucia z jednej strony powoli przeobraża się w luksusową modę bańki finansowych elit i celebrytów (kto POMÓGŁ barwniej, fotogeniczniej, spektakularniej, kto się pochwalił „swoimi Ukraińcami" w telewizji śniadaniowej), z drugiej w kolejny „totalitaryzm dobroczynności" lewicowych aktywistów, wrzucających instastory z naręczem kartonów wypełnionych darami i robiących sobie selfie na terytoriach wojennych, najlepiej pośród malowniczo wstrząsających ruin. Pomiędzy tym na szczęście całodobowo trwa cicha pomoc społeczeństwa, które nagle zrozumiało, że jest nie tylko narodem, i potrafi się zjednoczyć w obliczu cudzej tragedii – dzięki czemu Polska stała się ziemią obiecaną wygnańców z najbliższego wschodu. Owóż te z górą 2 mln uciekły właśnie dlatego, że odebrano im prawo do podziwiania zachodów słońca, rozmów o drzewach i komfortu lektury niezmąconej łoskotem bomb – czyli do tego, co wyobrażamy sobie jako normalny świat. Teraz nie mają dachu nad głową, pracy i pieniędzy, ale to nie odbiera im marzeń – chcą jak my jeździć nieprzerdzewiałymi samochodami, jadać w restauracjach, latać na urlopy do ciepłych krajów i mieć czas na uczestnictwo w kulturze.

> Kanaliom zawsze najłatwiej handlować tym, co w ludzkich duszach najbrudniejsze.

Nie zalewajmy ich łzami, nawet jeśli nie są krokodyle, nie przygniatajmy ich litością na pokaz, nie zarzucajmy szmatami przeżartymi przez mole, przedatowanymi pasztetami i ofertami roboty poniżej minimum socjalnego – żeby, kiedy zaczną się domagać czegoś więcej, nie wybuchł od Bugu do Odry nagły oburz o roszczeniowość. Kamorra z Nowogrodzkiej i jakuza z Torunia tylko na to czekają: kanaliom zawsze najłatwiej handlować tym, co w ludzkich duszach najbrudniejsze. Resentyment zawsze w cenie.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Najpierw pojawiła się biała plamka

Karolina: Dopiero gdy zachorowałam, dowiedziałam się, że czerniak jest chorobą przewlekłą

Rozmawiają
Agnieszka Witkowicz-Matolicz
i Adrianna Sobol

Czerniak brzmi jeszcze gorzej niż rak.

– Czerniak brzmi jak wyrok. Dla mnie też kiedyś oznaczał jedno. Dopiero gdy zachorowałam, dowiedziałam się, że czerniak jest chorobą przewlekłą. I dla mnie sformułowanie „choroba przewlekła" zmieniło wszystko. Myślę, że pomogło mi wyzdrowieć, uświadomiłam sobie, że będę z tą chorobą żyć. Musiałam zmienić priorytety, ale nie umarłam.

Przestawiłaś wszystko w głowie w jednej chwili?

– To był proces. Gdy chorujesz, z każdym dniem dowiadujesz się, co ci wolno, czego ci nie wolno. Musisz zmienić swoje nawyki, zrezygnować z niektórych przyjemności, jak chodzenie do sauny, masaże czy słodycze, które kocham. Wydawałoby się, że to drobne rzeczy, ale ciężko od nich odwyknąć, robiłam to stopniowo. Natomiast jedna rzecz zmieniła się radykalnie i dość szybko, kiedy uświadomiłam sobie, że do mojej choroby przyczyniły się też potworny stres i zmęczenie. W jednej chwili przedefiniowałam życiowe priorytety. Zawsze na pierwszym miejscu była praca bez opamiętania, którą po prostu uwielbiałam. Dziś priorytetem jest odpoczynek, regeneracja ciała, duszy i umysłu. Zmieniłam środowisko, w którym żyję, bardzo szybko wyeliminowałam ze swojego otoczenia osoby toksyczne, które tylko dokładały mi stresu. I trzeci element – skoncentrowałam się na sobie, postawiłam się w centrum, w dobrym tego słowa znaczeniu. Najpierw są moje potrzeby, a dopiero potem potrzeby całego świata. Teraz żyję w zgodzie i w spokoju ze sobą i dzięki temu mogę łatwiej funkcjonować z otoczeniem. Podsumowując: bardzo się uspokoiłam, zupełnie inaczej patrzę na świat, przestałam się przejmować detalami. (…)

Zawsze byłaś torpedą: mnóstwo pomysłów, mnóstwo pracy, adrenalina i duża presja, którą lubiłaś. Jak tak aktywna na wielu polach osoba zniosła informację, że jest chora?

– Jak kolejne zadanie do wykonania, tak podeszłam do choroby. Najtrudniejszy był pierwszy moment, diagnozę poznałam przez telefon. Zadzwonił do mnie lekarz i powiedział, że mam natychmiast przyjść po wyniki, a z nimi zgłosić się do onkologa. Najpierw pomyślałam, że to trochę nieprofesjonalne, on przeprosił za formę i podkreślił, że nie miał wyjścia, bo w moim przypadku liczył się czas. Pomyślałam, że to mądre podejście. Tak szybko jak zawsze żyłam, tak szybko podjęłam działania. Obdzwoniłam wszystkich znajomych, których uznałam za mniej lub bardziej rozeznanych w temacie. Korzystając z dziennikarskiego doświadczenia, zdobyłam informacje: co, gdzie, kiedy, jak, u kogo. Dowiedziałam się, co zrobić, żeby jak najszybciej podjąć jak najskuteczniejsze leczenie, co zrobić, żeby po prostu żyć. (…)

Zmiana na skórze pojawiła się nagle?

– Pamiętam nawet ten moment. Spędzałam długi weekend we Włoszech, codziennie rano biegałam. Mimo że zawsze stosowałam filtry, włoskie słońce musiało być za ostre dla mojej skóry. Zbiegło się to z osłabieniem związanym z trudną i bardzo stresującą sytuacją życiową. Rzadko kto ma tego świadomość, ale skóra to jeden z organów odpowiedzialnych za naszą odporność. U mnie to osłabienie musiało być wyjątkowo wielkie i dlatego organizm zareagował w sposób patologiczny. Najpierw się pojawiła biała plamka…

Biała. Nie czarna.

– Wszystkim się wydaje, że jak czerniak, to musi być czarna, okazuje się, że to błędne myślenie. Obserwowałam tę zmianę, tak jak zawsze obserwowałam znamiona. Wszystkich do tego namawiam, bo wiem, że mnie to prawdopodobnie uratowało życie, a na pewno zapewniło mniej inwazyjne leczenie. Plamka zaczęła rosnąć i rosnąć, stała się czerwona. Poszłam do dermatologa i usłyszałam, że to chyba rubinek, nie wygląda na złośliwy, ale lepiej go wyciąć. Chirurg, który przeprowadzał mi ten zabieg, też był spokojny, do czasu, aż przyszły wyniki badania histopatologicznego. Zmiana okazała się bardzo złośliwa.

Czerniak lubi wracać, i to silniejszy.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Długo nikomu nie mówiłam o chorobie. Nawet mojej mamie powiedziałam dopiero dzień przed operacją. Dlaczego? Uświadomiłam sobie, że najważniejszy jest mój spokój psychiczny, bo głowa w chorobie nowotworowej odgrywa istotną rolę.

Nie chciałaś, żeby inni zawracali ci głowę…

– Nie chciałam, żeby mnie pytali, żeby mi pomagali, żeby uważali mnie za osobę chorą. Oczywiście później, po pierwszej, drugiej operacji, po przerzutach potrzebowałam wsparcia czy pomocy w codziennym życiu, miałam metalowe szwy, dren… nie mogłam np. wnieść zakupów. Ale i z tym wszystkim nauczyłam się żyć, po jakimś czasie dren wrzucałam do torebki, zakładałam szerszy żakiet i biegłam na spotkanie. Nie jeździłam tylko metrem, bo się bałam, że ktoś mnie uderzy albo pociągnie ten sznurek. Mało kto wiedział, że mam w ciele 30 metalowych zszywek. (…)

Mówisz, że miałaś dwie operacje. To znaczy, że ta choroba trochę się rozpanoszyła w twoim organizmie.

– Na szczęście tylko trochę. W trakcie pierwszej operacji wycięto mi zmianę z dużym zapasem i węzły chłonne do badania. Niestety, okazało się, że są w nich przerzuty, dlatego była potrzebna druga operacja – usunięcie węzłów chłonnych. Okazało się też, że w wyciętym fragmencie skóry był przerzut satelitarny, co pogorszyło sytuację. Jak powiedział mój lekarz – zdążyliśmy w ostatniej chwili.

Natychmiast po operacji, by poprawić rokowania, powinnam była zostać włączona do nierefundowanego wtedy w Polsce leczenia. To ważne, bo czerniak lubi wracać, i to silniejszy. Obecnie w większości krajów europejskich, by nie było nawrotu, stosuje się nowoczesną technikę leczenia zwaną immunoterapią. To przełom, bo wcześniej na czerniaka nie było tak skutecznego lekarstwa, ktoś mi kiedyś powiedział, że można wlać chemię, można wlać wodę i na jedno wyjdzie. Immunoterapia polega na tym, że podkręca się organizm na 150%, by nasz własny układ odpornościowy skuteczniej zwalczał raka, identyfikował komórki nowotworowe i je rozbrajał. Nie każdy organizm to wytrzymuje. (…) Modliłam się, by otrzymać ten lek, bo wiedziałam, że pozwoli mi żyć może 10, może 15 lat dłużej. Jestem bardzo wdzięczna lekarzom, że zawalczyli o tę terapię dla mnie, niestety nie była ona oczywista i systemowa. Nie dostałam jej odpowiednio wcześnie, chyba przez niekompetencję urzędników w Ministerstwie Zdrowia. Odpowiedzi, które przysyłali na moje wnioski, zawierały błędy merytoryczne, pomylone dawki, to był dramat. Zastanawiałam się, czy osoba, która siedzi tam za biurkiem, w ogóle ma świadomość, że chodzi o ludzkie życie! Z dużym opóźnieniem, po wielkich nerwach, ale dostałam leczenie. Na razie czuję się dobrze i mam nadzieję, że tak pozostanie do końca terapii. (…)

Najważniejszy jest mój spokój psychiczny, bo głowa w chorobie nowotworowej odgrywa istotną rolę.

Masz poczucie, że praca to terapia dla twojej głowy? Pomaga ci uwierzyć, że jest normalnie, czy jesteś takim pracoholikiem, że nie możesz przestać?

– Na pewno nie jest to rodzaj ucieczki. Praca to element towarzyszący, a nie dominujący. Immunoterapia jest ryzykowna, jej skutki nie są do końca znane, ale na co dzień nie jest uciążliwa. Na początku leczenia rzeczywiście byłam słaba, teraz już mam więcej sił. Nawet mniej się stresuję, choć sama dobrze wiesz, że nawet jeśli już od kilku lat jesteś pacjentką Centrum Onkologii, to i tak za każdym razem, gdy tam wchodzisz, boli brzuch. Ale praca nie jest ucieczką, to po prostu moja codzienność.

Mówisz, że sprawa twojego leczenia dotarła aż do Ministerstwa Zdrowia. Jesteś dziennikarką, umiałaś zawalczyć o siebie. Co doradzisz pacjentom, którzy nie mają takiej siły przebicia i nie wiedzą, jaki list wysłać do jakiego departamentu w ministerstwie?

– Też tego nie wiedziałam, w tej chorobie wszystkiego się uczysz od zera. (…) Miałam szczęście, bo trafiłam na grono młodych, postępowych lekarzy, czasem ryzykownie myślących, ale kto nie ryzykuje, nie pije szampana. Oni poprowadzili mnie za rękę i pokazali możliwości. Choć przyznaję, że był taki moment, gdy miałam spakowane walizki, żeby wyjechać do Niemiec, bo tam leczenie immunoterapią jest bardziej zaawansowane i przede wszystkim refundowane. Jednej rzeczy chciałam uniknąć – publicznej zbiórki pieniędzy. Uważam, że państwo jest mi coś winne. Nie po to się płaci składki, nie po to jest cały system ochrony zdrowia, żebym musiała od obcych ludzi zbierać pieniądze, żeby żyć.

Jak dziś wygląda twoja terapia?

– Raz na dwa tygodnie jeżdżę na wlew, oszczędzam się, staram się mieć na tyle ruchu, na ile mam siły, i żyję w spokoju.

Nie po to się płaci składki, nie po to jest system ochrony zdrowia, żebym musiała od obcych ludzi zbierać pieniądze, żeby żyć.

Masz jakieś ograniczenia związane z chorobą?

– Myślę, że wiele kobiet po chorobie nowotworowej je ma. Podobnie jak osoby po raku piersi mam usunięte pachowe węzły chłonne. Ta ręka musi być odciążona, szybko się męczy, czasami puchnie. Początkowo nawet nie można nosić torebki po tej stronie, nie można spać na tym boku. Do pewnych rzeczy po prostu trzeba się przyzwyczaić. Nie mogę też robić zalecanego przez wszystkie popularne trenerki ćwiczenia typu deska, na razie, bo docelowo zamierzam normalnie funkcjonować. Natomiast nie można chojrakować.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Trochę próbowałam, ale organizm upomniał się o swoje. Teraz staram się go słuchać.

Jest jeszcze jedno ograniczenie, które jest dla mnie koszmarnie bolesne. Zawsze kochałam słońce, plażę, surfing, morze. Teraz to już niestety zakazane, w ogóle nie mogę się opalać. Muszę się obowiązkowo przed każdym wyjściem smarować kremami z filtrem, w lecie raczej noszę długi rękaw, coś na głowę. (…)

Zastanawiam się, jak tak aktywna osoba jak ty, cały czas szukająca dziury w całym i punktująca absurdy systemu, była w stanie się odnaleźć w roli pacjenta w Centrum Onkologii. To jednak wymaga pokory.

– Pytanie, jakiej pokory: pacjenta czy petenta? To zasadnicza różnica. Wykazuję pokorę wobec wiedzy lekarzy, co nie oznacza, że nie zadaję im pytań. Muszę komuś w chorobie zaufać, więc ufam moim lekarzom. Natomiast jeżeli chodzi o szeroko pojęte działania administracji, jestem w roli pacjenta, a nie petenta. Podam przykład: jeżeli pani w ruchu chorych[1] podnosi na mnie głos, to jej uświadamiam, że ona jest w tym ruchu chorych dla mnie, a nie ja dla niej. Pacjenci często boją się zwrócić uwagę, w poczuciu, że są zdani na łaskę i niełaskę systemu. Warto jednak pamiętać, że czym innym jest postawa roszczeniowa, a czym innym świadomość i egzekwowanie swoich praw. (…) Pacjent onkologiczny bardzo potrzebuje, żeby go ktoś czasem wysłuchał, poświęcił mu choć trochę uwagi. Nie potrzeba mu natomiast tego, by ktoś na niego podnosił głos, był nieprzyjemny, opryskliwy, dawał mu poczucie, że jest problemem i zakłóca paniom czas pracy. Tego typu zachowania powinny być absolutnie wyeliminowane.

Dobry dermatolog zauważy zmianę, która jest zmianą nowotworową, ale jeszcze nie złośliwą.

Czasami wystarcza zwyczajna ludzka uprzejmość...

– Po prostu. Odnalezienie się w roli pacjenta nie jest łatwe. Zacznijmy od tego, że w szpitalu można się pogubić w gąszczu korytarzy, samo to potwornie stresuje. (…) Dla mnie każda wizyta w szpitalu to stres. Nawet się nad tym ostatnio zastanawiałam, dlaczego tak się boję tego miejsca, skoro idę tam po raz trzydziesty któryś. Przecież tam ratują moje życie, a mimo to jest w nim coś odpychającego. Dlatego życzliwość ludzka i poczucie humoru są takie ważne. Zwykły uśmiech, powiedzenie „proszę się nie denerwować", żarty powodują, że łatwiej się znosi chorobę. (…) To gesty, które nie wymagają pieniędzy czy wysiłku. To największe deficyty w onkologii, które można wyeliminować dość szybko i bez większych nakładów finansowych, dzięki czemu pacjenci będą mieć większe poczucie komfortu. (…) Kolejnym problemem jest brak komfortu organizacyjnego. Nie ma jednego, usystematyzowanego nawet na poziomie krajowym schematu postępowania z pacjentem onkologicznym, podobnego do tego stworzonego przy koronawirusie. Żeby człowiek wiedział, gdzie się zgłosić, do kogo, że musi założyć kartę DiLO[2]. (…)

Na leczenie jesteśmy kierowani przy wsparciu lekarza, a pierwsze kroki w chorobie onkologicznej zawsze stawia się samemu. Zazwyczaj pacjent uczy się na własnych błędach, a nie powinien.

Krąży od gabinetu do gabinetu, od lekarza do lekarza. (…) Musi się strasznie napracować, nim trafi do onkologa. Do tego dochodzi jeszcze jeden element: pacjenci są przekonani, że będą musieli długo czekać na leczenie, co jest nieprawdą.

– Ludzie nie wiedzą, że mogą założyć kartę DiLO i wtedy trafią na skróconą ścieżkę onkologiczną. Pacjenci też nie wiedzą, że w przypadku czerniaka po usunięciu pieprzyka kolejna operacja nie musi być wykonana natychmiast, są na to cztery miesiące (taką informację usłyszałam od swojego lekarza, czekając na termin wizyty). Takich informacji powinien udzielać lekarz pierwszego kontaktu. (…) Zresztą głód wiedzy wśród pacjentów onkologicznych nie dotyczy tylko procedur. Osoby chore na raka mają dużo wątpliwości, zadają dużo pytań i na te pytania niestety nikt nie odpowiada. (…)

Jak dziś wygląda twoje codzienne życie? Wróciłaś do normalności?

eprasa.pl 2b0bcd76fd

– Kilka godzin po drugiej operacji, która, mam nadzieję, była ostatnią, bo nie ma dalszych przerzutów, zaczęłam walczyć o powrót do normalności i codzienności. Normalnie pracuję, jeżdżę samochodem, tyle że z automatyczną skrzynią biegów (…). Stosuję filtry i unikam słońca, nawet jak siedzę w knajpce na zewnątrz, zawsze wybieram miejsce w cieniu. Nigdy nie lubiłam być w cieniu, a teraz muszę… (śmiech). Więcej odpoczywam, jak czuję, że organizm mówi „stop", idę spać nawet o godz. 20 i jem mało słodyczy. Wszystko inne biegnie tak jak dotychczas.

Po kilku tygodniach wróciłaś do pracy.

– Fizycznie pojawiłam się w niej już po trzech tygodniach, wcześniej pracowałam zdalnie. Bardzo szybko się zregenerowałam, chyba dlatego, że potraktowałam leczenie zadaniowo. Nie chciałam się zanurzyć w chorobie, nawet nie chciałam o niej rozmawiać. Wiele osób zastanawiało się, czy mogą pytać, jak się czuję. Zawsze odpowiadałam: „A jak ktoś ma grypę, to go pytasz czy nie?". Czym to się różni? Przecież to nie jest zaraza, to choroba cywilizacyjna, jedna z wielu. I z tej perspektywy na nią patrzę. Natomiast unikam czytania o czerniaku w internecie... (…)

Jakie masz plany?

– Mam ich całe mnóstwo! Z utęsknieniem czekam na zakończenie leczenia, bo chcę zacząć realizować plany wyjazdowe. Jest wiele miejsc, które chciałabym odwiedzić. Niedługo będę obchodzić 40. urodziny. Ponieważ odpadają kierunki związane ze słońcem, mam większą motywację, żeby zobaczyć Islandię, gdzie klimat sprzyja moim potrzebom. Wróciłam też do nauki arabskiego, zawsze chciałam poznać ten język. (…)

Choroba nie tylko nie przerwała realizacji twoich planów, ale jeszcze bardziej cię nakręciła, jak widzę.

– Nie jest też tak, że chcę zrobić wszystko tu i teraz, bo czeka mnie tylko 10 lat. Zawsze byłam zadowolona ze swojego życia, natomiast choroba sprawiła, że stało się ono spokojniejsze i bardziej interdyscyplinarne. Otworzyła nowe możliwości, pokazała mi, że właściwie nie ma granic, człowiek jest w stanie wiele doświadczyć, przejść przez ten proces i pójść krok dalej. Dotychczas często drobne rzeczy wydawały mi się przeszkodą, za bardzo się na nich skupiałam, niekiedy mnie irytowały czy przytłaczały, dzisiaj widzę, że warto mieć wyraziste plany na przyszłość, konkretne punkty. Trzeba do nich dążyć, łączyć te kropki w jeden duży cel. Mam sporo planów na najbliższą dekadę, a co będzie później, nie wiem. (…)

Ta rozmowa jest dla mnie bardzo ważna, wiem, że ludzie tak bardzo boją się czerniaka, że nie chodzą się badać… Z czym powinniśmy się wybrać do lekarza i co nas powinno zaniepokoić?

– Do lekarza nie idzie się po to, żeby coś znaleźć, tylko żeby wykluczyć. Takie podejście pomaga w świadomej profilaktyce. Zachęcam, żeby przynajmniej raz w roku zbadać sobie całą skórę, trwa to ok. 20 minut. I jeszcze jedna informacja – nawet jeśli coś znajdą, w przeważającej liczbie przypadków leczenie czerniaka kończy się usunięciem znamienia, kilkoma szwami, które wyjmują po dwóch tygodniach, i to wszystko, cała historia choroby. Ludzie, którzy mają bardziej zaawansowane stadium, też mogą funkcjonować, co widać na moim przykładzie. To leczenie jest dość komfortowe, bo nie obejmuje chemii, w związku z tym nie wypadają włosy czy rzęsy. Nawet jeśli ktoś ma leczenie uzupełniające, oznacza to jeden dzień w szpitalu raz na dwa tygodnie.

Co powinno nas zaniepokoić? Wszelkie znamiona, które zmieniają kształt czy kolor, a także coś nowego, co się pojawia i rośnie. Im szybciej rośnie, tym jest bardziej niepokojące. I ważna informacja dla pań – wzrasta odsetek czerniaka pod paznokciem, jeśli robicie manicure hybrydowy, zwróćcie uwagę, by lampy były bezpieczne, a salon sprawdzony i z odpowiednią higieną. Warto być czujnym, bo ktoś, kto ma raka, nie musi być słaby, chudy i słaniać się na nogach. Czerniaka nie wychwyciły u mnie też badania krwi. Dlatego tak ważna jest profilaktyka. Często dobry dermatolog zauważy zmianę, która jest zmianą nowotworową, ale jeszcze nie złośliwą, usuwa ją i problem z głowy. Ale żeby o tym wiedzieć, musimy pójść się zbadać.

I podkreślam jeszcze dwa elementy. Po pierwsze, standardowa rada w XXI w., czyli nie stresować się, ponieważ stres potwornie osłabia organizm. Warto zawczasu zadbać o siebie, o potrzeby ciała i umysłu, pamiętać o nich w codzienności i dużo spać. Druga rzecz, o której się mało mówi: kosmetyki. Ekokosmetyki to nie jakaś fanaberia. Niewątpliwie na skórę wpływa chemia, którą w nią wcieramy czy której dostarczamy jej w ubraniach. Trzeba też pamiętać o dzieciach, by je smarować kremami z filtrem, a najlepiej przed słońcem chronić. Bo w przypadku dużej ekspozycji w dzieciństwie szansa na zachorowanie w przyszłości rośnie.

Zachęcam, żeby przynajmniej raz w roku zbadać sobie całą skórę, trwa to ok. 20 minut.

[1] Ruch chorych – jednostka organizacyjna w Narodowym Instytucie Onkologii w Warszawie. Zajmuje się przyjmowaniem pacjentów skierowanych na leczenie szpitalne, radioterapię ambulatoryjną i chemioterapię.

[2] Karta DiLO, czyli Karta Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego, to priorytetowe skierowanie dla osoby z podejrzeniem nowotworu. Dzięki niej pacjent ma prawo do szybszej diagnostyki i leczenia (okres diagnostyki jest skrócony do kilku tygodni). Może wystawić ją lekarz rodzinny lub specjalista w przychodni, która ma kontrakt z NFZ, nie może jej wystawić lekarz w gabinecie prywatnym. Choć zwana jest zieloną kartą, tak naprawdę jest w kolorze białym.

Fragmenty rozmowy z książki Agnieszki Witkowicz-Matolicz i Adrianny Sobol *Oswoić raka*, Znak Horyzont, Kraków 2020

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2b0bcd76fd

CZARNA PRZYSZŁOŚĆ BIAŁEGO SZALEŃSTWA

Ostatnie zimowe igrzyska rozegrano w całości na sztucznym śniegu – nie po raz ostatni

Mateusz Mazzini

Ostatnie zimowe igrzyska olimpijskie rozegrano w mieście, w którym prędzej niż biały puch z nieba sypią się drobinki sadzy, średnia temperatura w lutym rzadko spada poniżej 0 st. C i w którym nie ma ani historycznych obiektów sportowych, ani tradycji związanych ze sportami zimowymi. Olimpiada w Pekinie odbyła się w całości na sztucznie wytworzonych nawierzchniach i wszystko wskazuje, że ten trend się utrzyma. Co to oznacza dla sportów zimowych jako takich?

Dla porządku – tegoroczne 100% nie szokuje, jeśli wpisać je w kontekst najnowszej historii igrzysk. W 2018 r. w koreańskim Pjongczangu sztuczny śnieg stanowił 98% podłoża na zawodach, a przecież Korea Południowa naturalnych kurortów narciarskich ma akurat sporo. Cztery lata wcześniej w rosyjskim Soczi sztuczna mieszanka pokryła stoki i trasy w 80%. Już wtedy było widać, że proces przyznawania prawa do organizacji zimowych igrzysk ma coraz mniej wspólnego z logiką geograficzną. Soczi to, owszem, kurort, ale znany bardziej z letniej oferty niż z atrakcji dostępnych zimą. Góry tam są, ale w oddali, samo miasto tonie w roślinności raczej śródziemnomorskiej, a na pocztówkach prędzej widać palmy niż zaśnieżone szczyty i stoki. Śnieg sztuczny mieszano w Soczi z naturalnym, ale ogólny koszt operacji był jeszcze wyższy niż w Pekinie. Igrzyska sprzed ośmiu lat do dziś pozostają najdroższymi w historii – rząd Rosji wydał na nie ponad 50 mld dol. Oficjalny koszt tegorocznej imprezy nie jest znany, Pekin mówi o rekordowo niskiej kwocie 3,8 mld dol., zachodnie media każą przemnożyć ją przez dziesięć, ale nawet jeśli ten drugi scenariusz miałby się okazać prawdziwy, i tak rozmach Xi Jinpinga przegrywa z rozrzutnością Władimira Putina.

W kończącym się sezonie w Cortinie nie było ani jednego miesiąca, w którym śnieg padałby częściej niż trzy razy.

Co to wszystko mówi o przyszłości zimowych igrzysk? Nic dobrego. Które kraje mogłyby je zorganizować bez konieczności pokrywania stoków w 100% sztucznym śniegiem? Oslo, które gościło zawody już dwukrotnie, z walki o igrzyska w 2022 r. wycofało się osiem lat wcześniej na ostatniej prostej. Przeciwko były niemal wszystkie partie polityczne, ale też społeczeństwo. Powód: za drogo i zbyt nieekologicznie. Podobne reakcje wywołał pomysł igrzysk w szwajcarskim Sankt Moritz. Z kolei Monachium z pomysłem olimpiady flirtowało bardzo krótko, opozycja społeczna pojawiła się tu natychmiast i okazała się nie do przejścia. Honor krajów o bogatych tradycjach w sportach zimowych uratowali Włosi, którzy imprezę zorganizują w 2026 r., wspólnym wysiłkiem Mediolanu i stacji narciarskiej w Cortina d'Ampezzo. Tylko jakim kosztem?

Komitet organizacyjny zarzeka się, że rekordowo niskim. Budżet igrzysk wynosi zaledwie 1,7 mld dol., a więc mniej niż połowę konserwatywnych szacunków Pekinu. Mottem zawodów ma być ekologia i wielofunkcyjność. W dodatku Włosi sami sobie nakładają ograniczenia, w statut zawodów wpisując zasadę, że każdy wydatek przekraczający budżet będzie musiał zostać zrekompensowany nowymi źródłami przychodów. Na razie nie ma powodu, żeby im nie wierzyć. Szczególnie że zamierzają wykorzystać część obiektów zbudowanych na potrzeby igrzysk w Turynie w 2006 r. Nie mówiąc o tym, że w przeciwieństwie do Koreańczyków, Rosjan i Chińczyków mają własne góry, trasy i śnieg. W Cortinie co

eprasa.pl 2b0bcd76fd

roku odbywają się zawody pucharu świata w narciarstwie zjazdowym, a południowa strona Alp pozostaje jednym z niewielu miejsc na planecie, w których śnieg pada jeszcze w miarę regularnie.

Problem w tym, że dzieje się to coraz rzadziej. W kończącym się sezonie nie było ani jednego miesiąca, w którym opad zdarzyłby się częściej niż trzy razy. Jak już padało, to solidnie, po kilkanaście-kilkadziesiąt centymetrów, ale działo się to niezwykle rzadko. Dopiero we wrześniu pokrywa śnieżna na szczytach tras przekroczyła metr, w grudniu wynosiła średnio 66 cm na górze i zaledwie 18 cm w niższych partiach. To nie są warunki, by rozgrywać igrzyska wyłącznie dzięki temu, co ma do zaoferowania natura.

Śnieg trzeba będzie dorabiać nawet w Cortinie, co do tego nie ma wątpliwości. A to koszt nie tylko finansowy, ale i środowiskowy. Do wyprodukowania śniegu na igrzyska w Pekinie zużyto 185 mln litrów wody. Tego nie zmienią żadne broszury o zawodach przyjaznych środowisku ani napędzanie maszynerii odnawialnymi źródłami energii. Liczby te w przypadku włoskiej imprezy będą zapewne niższe, ale trend się utrzyma. Zwłaszcza że chętnych do przygotowania miejsca na zimowe igrzyska jest już coraz mniej. Oprócz Pekinu chęć organizacji tegorocznych zawodów zgłosiła jedynie dawna stolica Kazachstanu, Ałmaty. A więc kandydatura równie daleka od naturalnych predyspozycji do goszczenia zimowych sportowców. Igrzyska w 2030 r. jeszcze gospodarza nie mają, ale już widać, jak karkołomne będzie jego wyłonienie. Faworytem na razie jest japońskie Sapporo, które imprezę organizowało w 1972 r., ale już teraz coraz głośniej mówi się o możliwości wycofania tej kandydatury z powodu presji społecznej. Japonia dopiero co miała igrzyska, horrendalnie drogie i deficytowe przez pandemię koronawirusa i brak wpływów od zagranicznych fanów. Japończycy kręcą nosem na kolejną drogą zabawkę dla elit. Możliwe, że zawody polecą do Kanady, gdzie gościć je chce duet Vancouver-Whistler, a więc powtórka z 2010 r. Trzecim poważnym kandydatem jest Salt Lake City, czyli gospodarz z 2002 r. O Europie nie słychać. Projekt przeprowadzenia igrzysk w Pirenejach, czyli połączona kandydatura Hiszpanii, Francji i Andory, wydaje się w tej chwili myśleniem życzeniowym. Już ta wyliczanka pokazuje, że krąg potencjalnych organizatorów, i tak naturalnie ograniczony, staje się coraz węższy. Igrzyska od dekad są niesłychanie drogim przedsięwzięciem, a koszty rosną, jeśli trzeba dodatkowo tworzyć sztuczny mikroklimat i krajobraz. Tam, gdzie nie jest to potrzebne, opozycja społeczna jest zbyt duża. Istnieje więc ryzyko, że w najbliższych dekadach igrzyska będą się odbywać rotacyjnie pomiędzy dwiema-trzema lokalizacjami.

Do wyprodukowania śniegu na igrzyska w Pekinie zużyto 185 mln litrów wody.

Albo w ogóle przestaną się odbywać. Bo problem ze śniegiem to nie tylko problem igrzysk, ale i całego świata sportów zimowych. W Europie, głównej arenie pucharów świata i pojedynczych zawodów w trakcie sezonu, o dobre warunki coraz trudniej. Normą jest oglądanie podczas corocznego Turnieju Czterech Skoczni białych plam zeskoków skoczni kontrastujących z zielonym tłem zboczy Alp. A mowa przecież o Austrii i Niemczech. W krajach nordyckich problemem są nagłe zmiany pogodowe. Cytowany przez „The Economist" Mikko Martikainen, światowej sławy fiński ekspert od sztucznego śniegu, zauważa, że jeszcze pod koniec ubiegłego wieku zima trwała tam nieprzerwanie od października do kwietnia. A teraz przebiega z przerwami, są okresy, gdy ciepły wiatr przegania chmury i topi śnieg, przez co prawie nigdy nie udaje się bezproblemowo rozegrać m.in. zawodów w skokach narciarskich w Ruce i Kuusamo. Liczby mówią same za siebie. Pomiędzy 1925 a 1950 r. średnia lutowa temperatura w miastach organizatorach zimowych igrzysk wzrosła o 0,4 st. W XXI w. było to już 6,1 st. Planeta się ociepla, naturalny śnieg będzie rzadkością. W konsekwencji to samo czeka sporty zimowe. Lada moment staną się drogą ekstrawagancją, zapewne też nieekologiczną. Z ideą sportu powszechnego nie będzie to miało nic wspólnego.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Alusia potrzebuje Twojej pomocy!
Bez Ciebie nie ma szans na przeżycie!

Alusia całe życie pracowała dla człowieka. Nie to, że chciała. Nikt jej nie pytał. Bo koni nikt nie pyta, czy mają swój plan na życie. Zresztą, nawet gdyby miały, niczego to nie zmienia. Człowiek decyduje, człowiekowi służą, człowiek je zatrudnia i zwalnia. Alusię właśnie zwolniono z tej służby. Raz na zawsze. Odprawy nie było. Nawet pożegnania.
Patrzę w wielkie, ciemne oczy starej, wysłużonej klaczy. O nic nie prosi, o nic nie ma żalu. Jakby rozumiała swój los. Za moment wiosna, potrzebne są konie w pełni sił. A nie te na resztkach. Alusia ze swoimi resztkami została wgoniona po trapie samochodu, który wiezie konie do nikąd. Bo tam, gdzie Alusia się wybiera, nie ka dalej już nic. Nie ma nieba, Tęczowego Mostu ani całej reszty. A przynajmniej Alusia w to nie już nie wierzy. Bo człowiek ograbił ją najpierw przez lata z godności, a potem z wiary.

A handlarz ją zabrał. Chwilę planował potrzymać, zebrać stawkę kilkunastu koni, pozbyć się. Taki biznes. Gdy pytamy z jakiej stajni słyszymy tylko, że gdzieś pod Warszawą, duży ośrodek. Handlarz milczy, nic więcej nie powie. W tym biznesie trzeba trzymać język na wodzy, żadna stajnia nie przyznaje się przecież do oddawania koni na rzeź. Legendy o zielonych pastwiskach dla emerytów krążą między ludźmi, a stare konie ulatują często jak kamfora. Słuch po nich ginie. I po temacie.
Nie dociekamy więc. I tak się nie dowiemy póki co. Patrzymy w koło, na smętne podwórko gdzie ni widu ni słychu ani metra tych zielonych pastwisk. A emerytka Alusia wtula nam wilgotne, ciepłe chrapy w dłonie i zamyka potulnie oczy w niemym błaganiu o życie.
Bo błagać Cię o życie to jedyne, co jej zostało. Bo czasu na to błaganie też nie ma dużo.
Musimy zebrać 9800 zł, aby opłacić wykup i transport Alusi do nas. Mamy czas do 30 marca. Pomożesz?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem ALUSIA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści ALUSIA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze
Regulamin: https://centaurus.org.pl/#klim

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Mimowolni obrońcy przyrody

W Namibii większość rezerwatów przyrody nie pokryłaby kosztów działalności bez dochodów z polowań

Henry Mance

Zabijanie ma dalekosiężne efekty. Wśród słoni starsze zwierzęta odgrywają pewną rolę społeczną. Kiedy w Parku Narodowym Addo Elephant przeprowadzono odstrzał redukcyjny starych samców, badacze zaobserwowali później u młodszych gwałtowny wzrost śmiertelności, złamań kłów oraz ran kłutych. Pewien słoń próbował kopulować z nosorożcem. Wybicie starych samców pozostawiło młodsze pokolenie bez męskich mentorów.

Nawet zwierzętom, które wyewoluowały jako ofiary, polowania mogą przysparzać dodatkowych cierpień. Koniec końców, nie wyewoluowały one jako obiekt naszych polowań. Jelenie i sarny wydają się bardziej zestresowane na terenach sporadycznie odwiedzanych przez ludzi niż na obszarach zamieszkanych przez swoje naturalne drapieżniki. (…)

Zwierzęta, jak się wydaje, wnikliwie obserwują myśliwych. Pewna kobieta powiedziała mi, że jelenie w jej szkockiej posiadłości przychodzą po jedzenie pod koniec października, gdy tylko się zakończy sezon łowiecki. „One po prostu wiedzą. Mają po 10-12 lat. Kojarzą sezony". Słyszałem historię o pewnym szwedzkim myśliwym, który zabierał do lasu piłę łańcuchową, ponieważ – jak wierzył – łosie nauczyły się nie obawiać drwali. W Kenii słonie potrafią odróżnić Masajów, którzy atakują je włóczniami, od innych tubylców po barwie ich strojów.

Nawet jeśli zabijanie pomaga zachować równowagę ekologiczną, prawdopodobnie zmienia też zwierzęta. Kiedy Darwin odwiedził Galapagos, stwierdził, że „strzelba jest tu zbyteczna, skoro za pomocą lufy strąciłem z gałęzi drzewa drapieżnego ptaka". Polując, eliminujemy te osobniki, które nam ufają; tym samym wpajamy gatunkom lęk przed nami. Ponieważ myśliwi zabijają największe stworzenia, mogą też popychać populacje ku zmniejszeniu rozmiarów. W Kanadzie jest zakaz strzelania do niedźwiedzic z młodymi. W rezultacie, jak odkryto, niedźwiedzie matki trzymają młode przy sobie o rok dłużej, zapewniając tym sobie ochronę. (…)

Miłość do zwierząt nie może oznaczać fantazjowania o idealnym świecie – bez śmierci, bez cierpienia. Jej istotą jest znajdowanie równowagi między naszymi potrzebami a dobrostanem i obfitością zwierząt. Nie musimy polować dla jedzenia. Jeśli cenimy jedynie jelenie i dziki, możemy

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2b0bcd76fd

pozwolić tym zwierzętom mnożyć się bez ograniczeń. Ale jeśli cenimy także szerzej pojęte życie lasu, to musimy kontrolować ich liczbę. Jeśli inni ludzie są skłonni płacić tysiące euro za kontrolowanie populacji dzikich zwierząt, nie zamierzam sprzeciwiać się temu dla zasady. Jest jednak jeszcze lepszy argument na rzecz myślistwa: chroni ono dzikie tereny, na których zwierzęta mogą żyć i się rozmnażać.

•

Lwa Cecila spotkał straszliwy koniec. Gdyby został trafiony ze strzelby w klatkę piersiową, śmierć mogłaby być natychmiastowa. Zamiast tego jego zabójca, Walter Palmer, użył łuku bloczkowego – znacznie mniej pewnej broni. Dobry myśliwy, strzelając z karabinu wielkokalibrowego, potrafi zabić zwierzę z 300 jardów (nieco ponad 270 m – przyp. red.). Palmer podobno ufał łukowi bloczkowemu do 100 jardów (ponad 90 m). Cokolwiek dokładnie się stało, dentysta spartaczył sprawę. Lew konał przez wiele godzin.

Jednak szum wokół śmierci Cecila – zalew postów, petycje, demonstracje pod gabinetem dentystycznym Waltera Palmera w Minnesocie – był dość przypadkowy. Cecil, który żył w Parku Narodowym Hwange, nie był pierwszym lwem upolowanym na tym terenie: w latach 1999-2015 zastrzelono tam 65 osobników. Cecil nosił obrożę nałożoną przez badaczy. Kiedy słoń z podobną obrożą został zabity przez myśliwych w 2019 r. w Botswanie, reakcja była znikoma.

Aferę Cecila podsycało też kilka nieporozumień. Być może najważniejszym jest to, że śmierć Cecila zagroziła populacji lwów. Nietrudno dostrzec, skąd się wzięło to wyobrażenie. Lwy, jak większość dużych ssaków, są na okropnej trajektorii. Straciły 90% swego historycznego terytorium – są tam teraz ziemie uprawne i ludzkie osiedla. Nie jest to problem odległej przeszłości: pomiędzy premierą oryginalnego Disnejowskiego „Króla Lwa" w 1994 r. i remake'u w 2019 r. całkowita liczba dzikich lwów spadła mniej więcej o połowę. Jednak w południowej Afryce, gdzie odbywają się polowania i gdzie zastrzelono Cecila, liczba lwów nie maleje, a wręcz wzrasta. Republika Południowej Afryki ma 200 tys. km kw. prywatnych rezerwatów myśliwskich – co równa się jednej szóstej kraju. Sytuacja lwów była znacznie gorsza w Kenii, gdzie polowań zakazano w 1977 r.

Kiedy Jimmy Kimmel (komik amerykański) oburzał się zabiciem Cecila, wyświetlił na ekranie adres strony internetowej WildCRU – zespołu badawczego na Uniwersytecie Oksfordzkim, który śledził lwa – prosząc widzów o datki. Wpłynęło przeszło milion dolarów; strona internetowa się zablokowała. WildCRU bada populację lwów w Hwange od ponad 20 lat. Widzowie Kimmela mogliby być zaskoczeni, gdyby się dowiedzieli, że zespół nie sprzeciwia się polowaniom. Mało tego, w 2019 r. jedna z jego członkiń, Amy Dickman, stanęła na czele grupy 128 naukowców, którzy oświadczyli publicznie, że polowania dla trofeów nie powinny zostać zakazane. Zakaz, jak argumentowali, stworzyłby zagrożenie dla wielkich obszarów zwierzęcych siedlisk; pozbawiłby też miejscową ludność dochodów, które dają jej alternatywę dla zabijania dzikich zwierząt.

Polując, eliminujemy te osobniki, które nam ufają. Tym samym wpajamy gatunkom lęk przed człowiekiem.

Sądząc po danych dotyczących importu i eksportu, łowcy trofeów zabijają mniej niż 200 dzikich lwów rocznie. W ostatecznym rozrachunku największym ryzykiem dla wielu dużych ssaków nie są zagraniczni myśliwi; są nim tubylcy niewidzący żadnej ekonomicznej korzyści z obecności zwierząt. Ludzie ci ponoszą niedogodności życia obok dużych ssaków, które mogą zjadać ich plony, zabijać ich żywy inwentarz, a nawet atakować ich dzieci. David Macdonald, szef WildCRU, podkreśla, że zakaz komercyjnych polowań nie oznacza, że lwy nie są zabijane – w wielu wypadkach oznacza zapewne, że są zabijane przez innych ludzi, mianowicie rolników. Dickman, sam wegetarianin, zwraca uwagę, że te śmierci nie są nagłaśniane w mediach społecznościowych. Zdaniem WildCRU komercyjne polowania w pewnych okolicznościach przyczyniają się do ochrony środowiska.

Okolicznością numer jeden jest to, że myśliwi przynoszą pieniądze. Właściciel terenu musi zarobić dość, żeby pozostawić go w naturalnym stanie, a okoliczne społeczności również muszą zobaczyć korzyści. Myślistwo przynosi krajom Afryki Subsaharyjskiej prawdopodobnie ponad 200 mln dol. rocznie; Palmer zapłacił podobno 50 tys. dol. za prawo zabicia lwa. Część z tego idzie dla rządów, część dla organizatorów polowań. Wyprawy myśliwskie, oraz ich dolary, docierają do bardziej odludnych terenów niż turyści zainteresowani dziką przyrodą. Przy wszystkich wadach maczyzmu prawdopodobnie to właśnie on sprawia, że myśliwi są skłonni tolerować wyboiste drogi i uprzykrzone muchy tse-tse. Można się uśmiać.

W Namibii większość zarządzanych przez społeczności rezerwatów przyrody nie zdołałaby pokryć kosztów swej działalności bez dochodów z polowań, zwłaszcza na słonie. W ostatnim ćwierćwieczu liczba słoni się potroiła. Turyści i myśliwi odstraszają kłusowników poprzez finansowanie strażników parkowych i lokalnych społeczności, a także przez samą swoją obecność na odludnych terenach. Wiele krajów nie ma możliwości organizowania polowań ani powstrzymania kłusowników. W Tanzanii populacja lwów stopniała do tego stopnia, że w rezerwatach łowieckich prawie nie ma już do czego strzelać. Jeśli zabitych zostaje zbyt wiele zwierząt, myślistwo staje się zagrożeniem dla równowagi ekologicznej.

Nawet jeśli zabijanie pomaga zachować równowagę ekologiczną, prawdopodobnie zmienia też zwierzęta.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Jak wiele zwierząt to zbyt wiele? Trudno stwierdzić, jak liczna jest populacja lwów, a tym samym jaki byłby właściwy limit. Niektórzy eksperci proponują praktyczną regułę – jeden lew rocznie na 2 tys. km kw. Innymi słowy, potrzebny byłby rezerwat łowiecki niemal dwa i pół razy większy od Nowego Jorku, żeby zabić jednego lwa rocznie. Ponieważ myśliwi są skłonni płacić tak wielkie sumy za upolowanie lwa, wciąż stanowiłoby to wystarczającą motywację, by nie przeznaczyć tej ziemi pod uprawy. I pozwoliłoby przeżyć lwom, a także wszystkim innym gatunkom zamieszkującym ten obszar.

Ryzykiem dla wielu dużych ssaków nie są zagraniczni myśliwi, są nim miejscowi niewidzący korzyści z obecności zwierząt.

Tereny łowieckie zajmują w Afryce Subsaharyjskiej powierzchnię większą niż parki narodowe – 1,4 mln km kw., czyli dwa razy więcej niż Teksas. Za ich sprawą zwierzęta, oraz dzikie przestrzenie, nabierają wartości dla ludzi, którzy w przeciwnym razie mogliby mieć niewiele powodów, żeby je chronić.

•

Krótko przed wyprawą myśliwską do Polski byłem służbowo w Mongolii, gdzie najdroższym legalnym trofeum łowieckim jest argali ałtajski, dzika owca o kręconych rogach. Mongolia ma proporcjonalnie mniej ludności niż jakikolwiek inny kraj na Ziemi – pięć osób na milę kwadratową (2,59 km kw.) w porównaniu do ok. 90 na milę kwadratową w Stanach Zjednoczonych lub przeszło siedmiu setek na milę kwadratową w Wielkiej Brytanii. Powinno więc być tam mnóstwo miejsca dla innych gatunków. W rzeczywistości znaczną część kraju zajmują pastwiska, a na domiar złego Mongołowie, którzy uwielbiają polować, zdziesiątkowali większość dzikich zwierząt. Skóry i futra były gospodarczym kołem ratunkowym w chaotycznych latach po rozpadzie Związku Radzieckiego. Na obrzeżach stolicy, Ułan Bator, pasły się niegdyś jelenie – dziś to już przeszłość. Pewien człowiek powiedział mi, że dawniej widywał wilki biegnące wzdłuż drogi – to też już przeszłość. Po upadku komunizmu liczba argali także spadła na łeb, na szyję.

W ostatnich latach Mongolia próbowała chronić argali, wydając ograniczoną liczbę zezwoleń na odstrzał – poniżej 100 rocznie. Myśliwi płacą za ten przywilej nawet 150 tys. dol. Zastanawiałem się, czy w tej kwocie nie brakuje przecinka. Owszem, argali jest największą owcą świata. Ale to wciąż jest owca. Kto dałby tyle pieniędzy za zabicie owcy?

Mongolski organizator polowań o imieniu Tugso próbował naprowadzić mnie na właściwy trop. „Donald Trump junior. Nie mogę powiedzieć, czy to nasz klient, czy nie. Ale tu jest skan jego paszportu".

Włączył swojego iPhone'a, żeby pokazać zdjęcie czegoś wyglądającego na paszport Donalda Trumpa juniora. „Bywają tu też niektórzy z waszych książąt". Napomknął również, że „szósty najbogatszy Rosjanin" – nie podał nazwiska – jest zadowolonym klientem jego firmy. „Nie wszyscy bogacze to dobrzy ludzie", dodał filozoficznie.

Polowanie na argali jest tak drogie, że już kilka ofiar może sprawić wielką różnicę. Na YouTubie można zobaczyć filmy z amerykańskimi myśliwymi podchodzącymi pieszo – i konno – do zwierzęcia, a następnie oddającymi pojedynczy strzał w brzuch. Jak wspominał jeden z myśliwych: „Z bliska autentycznie zaskoczyło mnie, że dzika owca może być taka wielka […] na oko, lekko licząc, ważyła 180 kg".

Nic nie wywołuje takiego oburzenia mediów społecznościowych jak zdjęcie upolowanego wielkiego zwierzęcia. Duże osobniki są najbardziej prestiżowe. Jeśli się nad tym zastanowić, jest to dość absurdalne – im większe zwierzę, tym łatwiejszy cel. A kiedy strzela się do owcy z 200 m, to nawet największa nie jest groźna.

Ale Tugso argumentował, że wielkie samce – te z dużymi kłami lub porożem – są najlepszymi kandydatami do odstrzału. Stary argali może nie przeżyć zimy. „Wybieramy najstarszego barana, który nie przeżyje następnego roku", powiedział. „Zamiast pozwolić mu paść ze starości, zabijamy go i kasujemy pieniądze". Wyświetlił na swoim iPhonie zdjęcie wielkiego samca z podwiniętymi rogami. „Ten jest mocno, mocno skręcony. Znakomity".

Co czują ludzie, gdy zabijają argali? – pytam Tugso. „Niektórzy czekali całe życie, marząc o tym. Więc co mogą czuć? To łowy marzeń. Pewna kobieta, ona nie była myśliwym, zmarł jej mąż. Lista trofeów nie była kompletna. Ona nauczyła się strzelać. Kiedy dopadła argali z Gobi, rzuciła prochy męża w niebo, mówiąc: Spełniłam twoje marzenie".

Polowania na argali to historia udanego ratowania gatunku. W 2003 r. na obszarze chronionym Gulzat, gdzie odbywają się łowy, żyło tylko 161 osobników. W 2010 r., kiedy rozpoczęto polowania, było ich 724. Cztery lata później ich liczba przekroczyła 1,5 tys.

Tugso był zadowolony z interesów. „Wyprzedaliśmy już zezwolenia na trzy lata naprzód", powiedział.

Kilka miesięcy po naszym spotkaniu amerykański portal internetowy ProPublica ujawnił, że Donald Trump junior faktycznie zastrzelił argali w Mongolii, a zezwolenie otrzymał dopiero po fakcie. Historia ta wpisuje się w schemat Trumpów wykorzystujących swoje wpływy polityczne, by uzyskać specjalne względy: Donald junior wepchnął się do kolejki po licencję na odstrzał argali. Jego wycieczka do Mongolii kosztowała też amerykańskich podatników 77 tys. dol. Kilka miesięcy później ujawniono, że Walter Palmer, dentysta, który zastrzelił Cecila, również zapłacił za zabicie argali.

Miałem jednak wrażenie, że krytykom umyka bardziej dobroczynny efekt uboczny. Płacąc tak wiele za zabicie owcy, Donald Trump junior i Walter Palmer stali się mimowolnymi obrońcami przyrody.

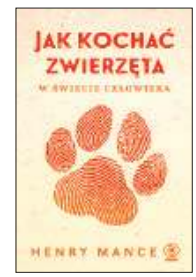

Fragmenty książki Henry'ego Mance'a *Jak kochać zwierzęta w świecie człowieka*, przekład Norbert Radomski, Rebis, Poznań 2022

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Operacja Samsung

Nasz tytuł nawiązuje oczywiście do filmu Władysława Pasikowskiego „Operacja Samum". Dlaczego, wyjaśniamy poniżej.

Biblioteka przy ulicy Koszykowej w Warszawie organizuje spotkania na temat Azji. Moderatorem jest Krzysztof Szumski. To absolwent handlu zagranicznego SGH (dawniej SGPiS) oraz paryskiej ENA (École Nationale d'Administration), założonej przez gen. de Gaulle'a i kształcącej elity polityczne, urzędnicze i dyplomatyczne Francji. Szumski jest też absolwentem pierwszego rocznika szkoły wywiadu w Kiejkutach. Za zatajenie tej ostatniej informacji na początku ubiegłej dekady dostał wyrok pięciu lat zakazu kandydowania w wyborach parlamentarnych, samorządowych i do Parlamentu Europejskiego. Wyrok bardzo łagodny, ale niesmak wobec działań państwa zostaje.

Krzysztof Szumski zapisał, pracując w MSZ, piękną kartę. Ambasadorował na Filipinach, w Tajlandii, Indonezji i Chinach. Był także dyrektorem Departamentu Konsularnego, dwa razy dyrektorem Departamentu Azji, dyrektorem Biura Spraw Zagranicznych Sejmu. Wróćmy jednak do spotkań na Koszykowej. Otóż podczas dyskusji jeden z zabierających głos określił go jako „specjalistę od Azji". Szumski odpowiedział na pytanie, ale potem wyjaśnił, że jego zdaniem „specjaliści od Azji" nie istnieją. Ze względu na obszar i zróżnicowanie polityczne, gospodarcze, kulturowe czy religijne kontynentu. Zdaniem ambasadora są specjaliści od Azji Centralnej, Bliskiego Wschodu, południowego Kaukazu, Azji Południowo-Wschodniej, Chin lub Indii. Przy czym zrobił to w sposób, który kazał pytającemu wierzyć, że to jego własna wiedza. Pan ambasador tak po prostu ma i gdyby posłał np. załogę okrętu wojennego Rosji tam, dokąd posłali go obrońcy Wyspy Węży, rosyjska załoga poczułaby, że została skierowana na wczasy na Malediwy jachtem Abramowicza.

Piotr Dejmek, producent filmu „Operacja Samum", opowiadał, że w jednej z wersji scenariusza była, jego zdaniem autentyczna, scena, w której pracownicy Departamentu Konsularnego MSZ RP ewakuowali agentów USA w pudłach po telewizorach Samsung. Działo się to w 1991 r., w trakcie operacji Pustynna Burza, przy okazji ewakuacji ambasady w Bagdadzie do Damaszku, na granicy syryjsko-irackiej. Telewizory – wtedy jeszcze kineskopowe – były wielkie i ważyły ponad 60 kg. Ewakuację prowadziła specjalna ekipa przysłana z MSZ RP z tegoż departamentu. Niektóre chłopiska miały po 2 m i ponad 100 kg wagi. Dyrektorem departamentu był wtedy Krzysztof Szumski, czyli musiał swoim pracownikom podpisać delegację. Przynajmniej. Nie sądzimy, by potwierdził, że o akcji wiedział, bo to człowiek dyskretny. Może kiedyś o tym opowie... O innych sprawach również.

Krzysztof Szumski jest jednym z wielu pracowników wywiadu PRL i III RP, którym wyrządzono krzywdę. Może w przyszłości, oby jeszcze za ich życia, zostaną oni przynajmniej przeproszeni. Bo pracowali dla Polski i dla Polski nadstawiali głowę. Warto pamiętać, że przynajmniej dwóch polskich dyplomatów i funkcjonariuszy wywiadu, którzy uczestniczyli w ewakuacji członków CIA, DIA i NSA w 1990 r. z Bagdadu, zginęło kilka lat później w niewyjaśnionych okolicznościach na Bliskim Wschodzie. Oddajemy im hołd!

Attaché

Dunin zwycięzcą – 400-letni dąb z podlaskich Przybudek wygrał w konkursie na Europejskie Drzewo Roku 2022. Otrzymał prawie 180 tys. głosów.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2b0bcd76fd

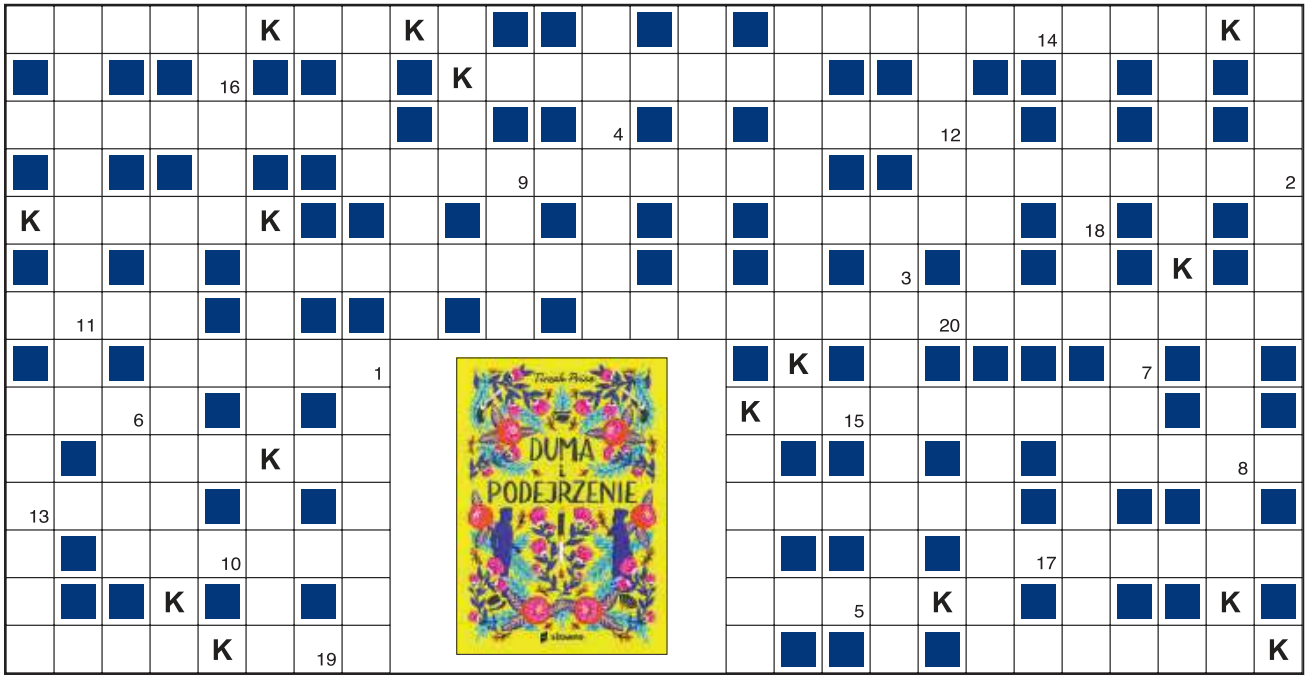

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- car, syn Michała I Romanowa
- wyzwał d'Artagnana na pojedynek z powodu chusteczki
- starania o względy
- „My, Pierwsza…"
- Aleksander, podróżnik, kajakarz
- na niej droga nad terenem zabudowanym
- ekspert od historii rodów
- system poglądów, pojęć
- menedżer, agent artysty
- urząd portowy kierujący ruchem statków
- w tym mieście Spodek
- wiedeński (jeden z trzech) to Haydn
- odbitka dokumentu
- artyzm, mistrzostwo
- w Nohant lub Muminków
- „…z pociągu" w reżyserii Kutza
- nienaganne cechują dżentelmena
- prasowy, dowodowy lub wybuchowy
- o małym na Marien-sztacie piosenka
- trydencka – w wersji sprzed II soboru watykańskiego
- z melisy – na uspokojenie
- rzeka w Tykocinie i Łomży
- Padańska albo Nadkaspijska
- sprytny, kto kuty na cztery
- biograficzna lub dyplomatyczna
- poprzednik Trumpa
- żądany przez porywaczy
- nadmierna tusza, tęgość
- bilet potrzebny, by odprowadzić podróżnego
- superszybki struś
- bałagan jak pole bitwy
- fortel, wybieg
- gdy wiadomo, jak rozwiną się wydarzenia
- obrazu lub ograniczony zakres
- nad nim Arles
- polskie „salami" z PRL
- miasto u ujścia Żegliny do Warty
- stopień żeglarski niższy od kapitana
- rybne lub nabiałowe w sklepie
- oparcie dla stopy jeźdźca
- makaron lub zakręcone lody
- temat, którego nie wolno poruszać
- pole długo nieuprawiane
- ideał społeczeństwa szczęśliwego
- reżyser „Kanału"
- rozrywkowe widowisko muzyczne, śpiewogra
- niegdyś czekoladopodobny
- nieszkodliwe psoty, figle
- wołowe po nelsońsku

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1058". Do rozlosowania książki „Duma i podejrzenie" ufundowane przez Wydawnictwo Słowne. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 kwietnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1055" z nr. 11: ***Wiedza to także broń.***
Nagrody otrzymują: Krystyna Keler z Woźnik, Krystyna Pleszczyńska z Wrocławia, Teresa Szczęśniak z Warszawy.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

PENETRACJE

KRAKÓW

JERZY TRELA,
AKTOR

Jestem z natury sceptykiem. Optymizm daje mi scena. Nawet w czasach tak ciężkich jak obecnie ja uciekam do życia na scenę. Tam się chronię. Tam spotykam z ludźmi. To wielkie szczęście być dzisiaj z ludźmi. Nie zadaję sobie pytań, czym jest dla aktora starość. Chcę być potrzebny i czuję, że jestem nadal. Występuje w STU, gram w Starym Teatrze w „Trąbce do słuchania", nowym spektaklu Agnieszki Glińskiej. To daje mi napęd, to pozwala żyć.

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

O tym, że PiS i rząd wykorzystują gorliwców z mediów narodowych, wiemy od dawna. Dzięki kolejnym wyciekom ze zhakowanej skrzynki pocztowej ministra Dworczyka poznajemy nazwiska co bardziej oddanych sprawie dziennikarzy, a Dominika Ćosić z TVP Info jest najnowszym przykładem. Lecz dla władzy pracują także dziennikarze mediów komercyjnych. Opisujemy przekaz, który płynie z „Super Expressu" i programów informacyjnych Polsatu. Tam nie ma już propagandowego walenia kłonicą po głowie, jak w programach TVP Info. Jest zręczne niuansowanie, niezauważanie tematów niewygodnych dla rządu, ocieplanie wizerunku ludzi z kręgów władzy, rozbrajanie bomb medialnych konkurencji. Wysługiwanie się władzy jest tam bardziej wyrafinowane.

charaktery magazyn psychologiczny

PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI,
PSYCHOLOG

W procesie upraszczania wszystkiego za wszelką cenę mamy rzesze nauczycieli objaśniających, jaki jest ten świat; rozliczni coachowie i liderzy sądzą, że posiedli wiedzę o tym, jak jest i jak w związku z tym należy żyć. Tu znajdziemy też polityków, rozmaitych kreacjonistów, miłośników płaskiej Ziemi, wyznawców prostych teorii spiskowych, wyjaśniających wszystko i natychmiast. W procesie upraszczania są też duchowni i różnego rodzaju autorytety moralne głoszący jedynie słuszne prawdy i wyznaczający jedynie słuszną drogę postępowania.

na szczycie

JERZY SIODŁAK,
NACZELNIK GOPR

985 lub 601 100 300 to dwa numery alarmowe, których nie wolno blokować pytaniami o pogodę lub o warunki na szlakach. Bezcenna jest też aplikacja „Ratunek", powinien ją zainstalować sobie w telefonie każdy turysta, a nawet grzybiarz szukający szczęścia w górach. Ta aplikacja działa w dwie strony – pozwala zarówno osobie zaginionej, jak i ratownikom pokazać precyzyjnie pozycję telefonu na mapie.

Międzynarodowe Targi Bursztynu i Biżuterii AMBERIF 2022 w hali Ergo Arena w Gdańsku, 22 marca 2022 r.

FOT. KAROLINA MISZTAL/REPORTER

Aby język giętki…

JERZY BACZYŃSKI O PROPOZYCJI JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO
W swoim stylu zaproponował ni mniej, ni więcej, tylko III wojnę światową.

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ O WOJNIE W UKRAINIE
Niebawem okaże się, dla kogo ukraińskie społeczeństwo poniosło ofiary. Czy nie będą to „przypadkiem" amerykańskie wielkie korporacje i ich właściciele, udziałowcy i akcjonariusze?

RAFAŁ MATYJA O MEDIACH
Trzeba mediom powiedzieć, że roztkliwianie nas, dręczenie obrazami nieszczęść sześć razy dziennie może działać destrukcyjnie.

PROF. MACIEJ MROZOWSKI O ZYGMUNCIE SOLORZU
Prezes traktuje media biznesowo. Polsat nie jest ani pisowy, ani platformerski. Solorz nie zadziera z władzą. Żadną.

SZCZEPAN TWARDOCH O SPISIE POWSZECHNYM
Ciekaw jestem, ilu Ślązaków wyjdzie w spisie. Ilu nas się pokaże. Wszyscy moi znajomi wpisywali jako jedyną tożsamość śląską.

MAGDALENA RÓŻCZKA O FUKSÓWCE
Do dziś żałuję, że nie miałam odwagi powiedzieć, że w tej idiotycznej imprezie nie będę brała udziału.

KINGA DĘBSKA O ZBIGNIEWIE DOMAGALSKIM
Jest jak opoka. Przy nim uwierzyłam, że facet może mnie z różnych stron wesprzeć, zrozumieć, podtrzymać i ukochać.

ZBIGNIEW DOMAGALSKI O KINDZE DĘBSKIEJ
Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy razem na festiwal filmowy do Gdyni, nikt Kingi nie znał. Teraz jestem osobą towarzyszącą. Ona gwiazda i jej mąż.

WOJCIECH FIBAK O IDZE ŚWIĄTEK
Iga jest osobą wrażliwą, energiczną, radosną, młodą. Ale też pracowitą, profesjonalną.

eprasa.pl 2b0bcd76fd

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Zielona i przepłacona

Jest afera o sprzedany za ponad pół miliona dolarów obrazek z żabą wypinającą pośladki. Niejaki Halston Thayer wylicytował od jego twórcy Matta Furie cyfrowy oryginał, a dokładnie mówiąc, tzw. niewymienialny token (NFT). Miało powstać jeszcze tylko 99 tokenów reprezentujących ten sam wizerunek (ogólnodostępny w sieci!) i miały one nigdy nie trafić na sprzedaż, dlatego mężczyzna uznał zakup za dobrą inwestycję. Sęk w tym, że Furie, który zachował pełne prawa autorskie do swojego dzieła, 46 tokenów z kultowym bohaterem memów rozdał za darmo. Thayer czuje się oszukany i żąda zwrotu pieniędzy oraz odszkodowania. Jeśli przegra, będzie musiał jakoś zjeść tę żabę…

Łoże, co wiele może

Zwyczajne łóżka powoli stają się przeżytkiem? Model Sleep Number 360 obiecuje nie tylko komfortowy sen, który zapewnia choćby opcja podgrzewania stóp, ale także m.in. pomiar temperatury ciała i pulsu, wykrywanie problemów z sercem czy automatyczną modyfikację geometrii, by ułatwić oddychanie, gdy użytkownik zaczyna chrapać. Producent zapewnia, że dzięki kolejnym aktualizacjom oprogramowania jego wyrób będzie oferował jeszcze więcej możliwości. W tym zapewne takie, o których nie śniło się naszym filozofom!

Wyglądaj cudnie, a i portfel schudnie

Nasi filozofowie, może poza Zygmuntem Baumanem, mogli także nie wyśnić nowego produktu Ewy Chodakowskiej, która zwłaszcza dla żeńskiej części społeczeństwa jest wyrocznią w sprawach związanych ze zdrowym stylem życia. Trenerka, która dorobiła się ogromnej popularności i pokaźnego majątku m.in. dzięki programom ćwiczeń i obozom fitness, od pewnego czasu firmuje także catering dietetyczny. Na panie marzące o sylwetce jak z Instagrama czeka pakiet Metamorfoza, obejmujący posiłki na 60 dni, indywidualne konsultacje dietetyczne oraz dostęp do platformy internetowej BeActiveTV. Wszystko to za jedyne 5388 zł, z możliwością rozłożenia na 12 rat. Po takiej metamorfozie konieczność zaciśnięcia pasa gwarantowana.

CO SIĘ KRYJE W NAZWISKACH

W naszych nazwiskach kryje się historia, nie tylko prywatna – także historia miejsca, z którego pochodzi nasza rodzina, zawód wykonywany przez jakiegoś naszego przodka albo jego przezwisko. Skąd się wzięło nasze nazwisko?

Tusk – to nazwisko pochodzenia kaszubskiego. Tus to po kaszubsku zwyczajowe imię psa, ale i sam „pies" (podobnie jak po polsku „Burek" to imię psa, ale „burek" to pies podwórzowy). „Tusk" to zdrobnienie od „tus", w którym zniknęło „e" (powinno być „tusek"). Czemu zniknęło? Widocznie tak się Kaszubom wygodniej wymawiało (tak się zresztą zdrabnia na Pomorzu: „synek" to synk, „domek" to domk).

Fragment z książki Michała Rusinka *Podbipięta, czyli co się kryje w nazwiskach*, Znak Emotikon, Kraków 2022

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Reprezentantka Kanady Madeline Schizas w krótkim programie na mistrzostwach świata w łyżwiarstwie figurowym. Montpellier, Francja, 23 marca 2022 r.

Wielkie im halo

Wyjątkowo nachalna była akcja promocyjna zrealizowana nad miastem Austin w Teksasie. Na nocnym niebie rój 400 dronów utworzył wysoką na ok. 90 m i szeroką na 180 m zapowiedź serialu „Halo", opartego na słynnej grze komputerowej. Latające maszyny ułożyły się m.in. w nazwę i datę premiery nowej produkcji oraz kod QR, który po zeskanowaniu smartfonem przekierowywał do strony z jej zwiastunem. Wychodzi na to, że choć reklamy są wszędzie, mogą być jeszcze wszędziej.

Nie będzie nas, będzie las

Cmentarz Roques Blanques Papiol w Barcelonie podąża za proekologicznymi trendami. Już dekadę temu pojawiły się tam elektryczne karawany, a teraz stworzono sektor łączący funkcję miejsca pochówków i parku. Ma powierzchnię 8,6 tys. m kw., powstał z naturalnych, lokalnie pozyskanych materiałów, a sosnom i dębom towarzyszą tam m.in. rośliny szczególnie lubiane przez motyle. Najciekawszy jest przyszły los tej części nekropolii – będzie zarastać i mniej więcej za 30 lat stanie się częścią lasu. Nawet wybierając się na tamten świat, można jeszcze zrobić coś dla tego, nieprawdaż?

Wiedzieć, rozumieć, działać.

TYGODNIK ANGORA
PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA, AP/EAST NEWS

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR:
Piotr Ciszewski **e-mail:** p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 2b0bcd76fd

Tamara Łempicka – kobieta w podróży

Saint-Moritz

Autoportret w zielonym bugatti

Wystawa to zaproszenie do lat 20. i 30. XX w., epoki podporządkowanej nowemu stylowi, art déco. „Życie jest jak podróż. Spakuj tylko to, co najbardziej potrzebne, bo musisz zostawić miejsce na to, co zbierzesz po drodze", twierdziła Tamara Łempicka. Jej życie było nierozerwalnie związane z podróżowaniem, wypełnione mieszanką romansów, pragnienia szczęścia, strachu przed porzuceniem i samotnością oraz wojennego niepokoju i tułaczki po świecie. Wykreowała postać artystki wszech czasów; umiejętne manipulowanie faktami z jej życia w połączeniu z wrodzonym wdziękiem i elegancją sprawiały, że oczarowywała każdego, kto pojawił się na jej drodze.

Muzeum Narodowe w Lublinie
ul. Zamkowa 9
do 14 sierpnia

Kizette na balkonie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ucieczka albo Gdzieś w Europie

eprasa.pl 2b0bcd76fd

eprasa.pl 2b0bcd76fd

SOS UKRAINA

Z powodu wojny ludzie muszą uciekać ze swoich domów. Pomóżmy im przetrwać najtrudniejszy czas.

www.pah.org.pl/wplac

pah
Polska Akcja Humanitarna

Kacper Pempel/Reuters/FORUM